

Kristin James

DIABEL I ANIOŁ





Prolog

W banku panowała cisza, niemal jak w grobowcu. Mąciło ją jedynie tykanie zegara. Slater z natury nie był rozmowny, a i pozostali byli zbyt spięci, by się odezwać.

Szeryf pocił się pod długą brezentową peleryną, którą włożył wyłącznie po to, by ukryć strzelbę. Urzędnik za ladą nerwowo przestępował z nogi na nogę, a jego rozbiegane oczy bez przerwy wędrowały od drzwi do tarczy zegara. Drugi urzędnik, siedzący za biurkiem, chował pod blatem ciężki rewolwer.

Z całego towarzystwa jedynie Slater zachowywał niewzruszony spokój. Obserwujący go spod oka szeryf Clayton pomyślał, że słynny teksański zwiadowca zbyt wiele razy musiał stawać oko w oko ze śmiercią, by cokolwiek było w stanie go poruszyć. Niestety, nie mógł tego samego powiedzieć o sobie. Serce łomotało mu gwałtownie, a nerwy miał napięte jak postronki. Santa Clara było senną i spokojną miejsciną, gdzie obowiązki stróża prawa ograniczały się do wyłapywania pijaczków i drobnych złodziei. Ujęcie groźnej bandy Brody'ego to było zadanie dla kapitana Slatera.

Szeryf nie mógł się powstrzymać, by raz po raz nie zerkać na twardy zarys szczęki tego mężczyzny, jego ręce, zaciśnięte na rękojeści broni i napiętą w wyczekiwaniu sylwetkę. Dopatrzył się w nim nawet lęku - ale nie był to lęk przed niebezpieczeństwem, tylko obawa,

czy informacje okażą się prawdziwe i czy Brody nagle nie zmieni zamiaru.

Slater czekał na tę chwilę dwa lata. Przez ten czas wytrwale tropił przeciwnika i wyznaczył wysoką nagrodę za wiadomość o nim. Nigdy jednak nie udało mu się znaleźć kryjówki Brody'ego i jego bandy ani nawet zastawić na nich pułapki. Nieuchwytny bandyta zdawał się kpić sobie z najlepszego zwiadowcy w Teksasie.

Kiedy jednak trzy dni temu zgłosił się Dave Vance, donosząc, że Brody chce obrabować bank w Santa Clara, Slater wiedział, że upragniona chwila nadeszła. Informacje brzmiały wiarygodnie. Vance był drobnym złodziejaszkiem, który jakimś cudem wkradł się w łaski szefa, i to tak dalece, iż został dopuszczony do udziału w skoku. Jednak Dave uznał, że bardziej opłaca mu się zdradzić i wziąć nagrodę niż ryzykować głowę dla większych pieniędzy.

Nagle Slater drgnął. Zza okien nie dobiegł żaden dźwięk, ale jego wyczulone zmysły wychwyciły ledwo dostrzegalną zmianę w atmosferze sennej ulicy. Ostrożnie uchylił firankę i szybko odskoczył do tyłu.

- Uwaga! Jada! - szepnął do pozostałych.

Siedmiu mężczyzn nadjechało do miasteczka od zachodu i skręciło w główną ulicę. Posuwali się szybkim kłusem, pewnie kierując końmi. Było coś niepokojącego w sprawności ich ruchów i skupieniu, z jakim bezustannie rozglądali się na boki. Ich ciemne, skromne ubrania pokrywał pył dalekiej drogi. Brody nie uznawał ochronnych peleryn. Zbyt ograniczały ruchy, gdy trzeba było szybko dobyć broni.

Z pozoru byli zwykłą grupą jeźdźców. Uważny obserwator dostrzegłby jednak, że ich konie należą do najlepszej i najbardziej wytrwałej rasy, a uzbrojenie jest imponujące. Każdy z mężczyzn oprócz strzelby zawieszanej u kulbaki miał ogromnego colta przytroczonego do uda.

Posuwali się w dwóch rzędach, z Samem Brodym na czele lewego. Zawsze jechał po tej stronie, gdyż najcelniej strzelał z lewej ręki. Siedział w siodle nieruchomy i milczący, z pozoru wpatrzony przed siebie, choć żaden szczegół nie uszedł jego spojrzeniu. Rosło w nim dziwne, nieokreślone poczucie zagrożenia, którego dotąd nie odczuwał przed żadną akcją.

Zajechali pod bank i ściągnęli wodze. Jeszcze zanim stanęli, Brody zsunął się z siodła i jako pierwszy dopadł drzwi banku. Kiedy naciskał klamkę, dręczący niepokój dał o sobie znać nagłym mrowieniem w krzyżu. W tym samym momencie kątem oka dostrzegł podejrzany ruch. To Vance, nowy członek bandy, został z tyłu i chyłkiem uskoczył za róg. Jednocześnie w oknie mignął błysk metalu.

Instynkt zadziałał szybciej niż myśl.

- To pułapka! - krzyknął Brody, rzucając się na ziemię.

Jeszcze toczył się po chodniku, kiedy przeszklone drzwi banku rozprysły się pod gradem kul. Odłamek szkła rozplątał mu ramię, inny rozciął policzek, ale Sam nawet nie czuł bólu. Myślał tylko o tym, by dopaść konia i uciekać.

Na odgłos palby zwierzęta nerwowo podrzuciły głowami, ale, przyzwyczajone do strzelaniny, nie uciekły. Czterech ludzi z bandy zdążyło skryć się za swoimi

wierzchowcami i w pośpiechu wskakiwało na siodła. Ten, który podążał tuż za hersztem, miał mniej szczęścia. Zdążył odwrócić się i zbiec ze schodów, ale następna salwa powaliła go.

Brody wylądował w ulicznym pyłe, podniósł się i schylony ruszył biegiem ku koniom, ostrzeliwując się z rewolweru. Kula świsnęła mu koło ucha, a następna boleśnie ukaśliła w udo. Biegł, nie zwalniając tempa. Usłyszał przekleństwa, a potem jęk i gwałtowny łomot kopyt, cichnący w oddali. Kątem oka zobaczył, jak na chodniku zwija się Stanton, na próżno usiłując się podnieść. Jego twarz wyglądała jak krwawa maska. Bandyta dopadł swego konia i chwycił wodze, ale piekielny grzechot karabinowego ognia wystraszył nawet to zaprawione w bojach zwierzę. Wierzchowiec odskoczył i stanął dęba. Sam zdołał ściągnąć go w dół i uchwycić się kulbaki. W tym momencie kula trafiła zwierzę, które chrapnęło boleśnie i poniosło, ciągnąc jeźdźca, na próżno usiłującego wdrapać się na siodło. Następny strzał był celniejszy. Koń upadł na kolana, potem na bok i znieruchomiał.

Impet tego upadku odrzucił Brody'ego w bok i wytrącił mu z ręki rewolwer. Błyskawicznie podczołgał się do padłego wierzchowca i wyciągnął strzelbę z pochwy przy kulbace. Na ulicy zapadła nagła cisza. Sam odwrócił się w stronę banku, mając zamiar strzelać zza osłony końskiego ciała.

Ale było już za późno. Wiedział o rym, nim jeszcze zdążył unieść lufę. Niepostrzeżenie tuż przy nim pojawił się na chodniku mężczyzna, patrzący na niego znad lufy colta. Jednym kopnięciem wytrącił mu strzelbę z ręki i zniżył broń ku jego twarzy.

Brody zamarł, czekając na śmiertelną kulę.

Ale mężczyzna stał nieruchomo, mierząc go lodowatym spojrzeniem zielonych oczu. Wreszcie jego wargi drgnęły, rozciągając się w drapieżnym uśmiechu.

- Jestem Slater. W końcu cię dopadłem, ty łajdaku
- powiedział.



Wszyscy w okolicy wiedzieli, że Victoria i Amy są oczkiem w głowie Eda Stafforda. Kochał je obie, choć każdą inaczej, bo takich dwóch dziewczyn jak one nie było w całym Teksasie.

Victoria, jego córka, była dzika i nieujarzmiona, jak zachodni wiatr. Uparta, bystra i odważna, współzawodniczyła z mężczyznami, nie ustępując im ani na krok. Dosiadała konia jak najlepsi kowboje i po mistrzowsku potrafiła obchodzić się z bronią. O pracy na ranchu wiedziała niemal tyle co sam Ed i jego zarządca. Stafford mógł spać spokojnie, wiedząc, że ma w niej godną następczynię, której z całym zaufaniem będzie mógł powierzyć zarządzanie majątkiem. Martwił się jedynie, że ta szalona dziewczyna może wcześniej zginąć w jakiejś strzelaninie.

Natomiast Amy, jego bratanica, była słodkim, posłusznym i łagodnym, nigdy nie sprawiającym kłopotów stworzeniem. Wychowywała się razem z Victoria i tak jak ona była doskonałym jeźdźcem. Zresztą uwielbiała zwierzęta, w szczególności konie. Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Amy zupełnie nie interesowała się sprawami rancha. Z daleka obchodziła biuro wuja z opasłymi księgami rachunkowymi i nie mogła patrzeć, kiedy wypalano piętno na cielakach. Nigdy też nie tknęła broni. Victoria uwielbiała objeżdżać pastwi-

ska wraz z Edem i jego kowbojami, wypytyując ich o wszystko, co dotyczyło hodowli. Amy wolała samotne przejażdżki dla przyjemności. Potrafiła jeździć godzinami, podziwiając piękno otaczającego ją świata, albo też siadywać na huśtawce pod wielkim dębem, bujając się leniwie i marząc. Z poświęceniem pielęgnowała też chore zwierzęta na farmie i pomagała w pracach domowych.

Nawet z wyglądu dziewczyny stanowiły zupełne przeciwieństwo. Amy, drobna i delikatna, ze swoją słodką twarzą w kształcie serca, błękitnymi oczami i miękkimi, złotymi włosami, w wieku dwudziestu lat przypominała księżniczkę lub wróżkę z bajki. Natomiast Victoria, choć młodsza od niej o rok, była uosobieniem bujnej kobiecości. Wysoka i postawna, nosiła się dumnie, a jej pełne piersi i wąska talia przyciągały męskie spojrzenia. Włosy miała czarne jak krucze skrzydło, a oczy żywe, o intensywnie niebieskim odcieniu. Była piękna, ale nie tak łagodnie kobieca jak Amy. Śmiałe, wyraziste rysy podkreślała linia czarnych, gęstych brwi i czerwień pełnych, zmysłowych warg.

Ed Stafford zasiadł do śniadania u końca długiego stołu, z zachwytem patrząc na obie dziewczyny i błogosławiąc łaskawy los, który obdarzył go tak wspaniałymi córkami. Traktował bowiem Amy jak własne dziecko - od czasu tamtego strasznego dnia, gdy przed piętnastu laty przyprowadzono ją na ranczo, bladą, drżącą i zrozpaczoną. Rodzona siostra Eda została wraz z mężem i dziećmi zabita przez Indian, którzy napadli na ich farmę. Ocalała jedynie najmłodsza Amy,

którą matka zdążyła ukryć w piwnicy. Po dwóch dniach wyczerpane i zszokowane dziecko odnalazł sąsiad, który, na szczęście, znał Eda. Ów pocziwy człowiek odszukał go i przywiózł mu małą. Stafford, wówczas już wdowiec, przygarnął dziewczynkę i pokochał jak własną córkę.

- Zamierzam trochę za wami potęsknić - powiedział Ed swoim zwykłym, żartobliwym tonem, w którym krył się jednak prawdziwy żal. - Sam się zastanawiam, co też mi strzeliło do głowy, że wysłałam was do San Antonio.

- Wysyłasz nas, bo jesteś cudowny, tatku - odparła Victoria, obdarzając go olśniewającym uśmiechem, którym potrafiła podbić nie tylko ojcowskie serce.

Amy uśmiechnęła się również i dodała z dziecięcą naiwnością:

- I ponieważ chcesz, żeby wreszcie ktoś inny się z nami pomęczył.

- Aha, wyszło szydło z worka! - zachichotała Victoria.

- Właściwie powinienem osobiście odstawić was na miejsce, zamiast obciążać tym zadaniem zwariowaną panią Childers.

- Ależ ona jest znakomitą przyzwoitką! A poza tym, co nam się może stać w drodze do San Antonio? - wzruszyła ramionami jego córka. - Praktycznie cały ten czas spędzimy w dyliżansie.

Ed nie sprawiał wrażenia przekonanego.

- Znając was, a zwłaszcza ciebie, wprost boję się pomyśleć, co może się stać w drodze do San Antonio - mruknął.

Amy uśmiechnęła się tylko. Victoria często droczyła

się z ojcem, ale ona sama nie brała w tym udziału. Po prostu słuchała, wychytując z tonu ich głosów wszystko, czego nie wypowiedzieli słowami.

Victoria zrobiła komiczną minę i wstała od stołu.

- Wybaczcie, ale muszę dopilnować pakowania, inaczej dyliżans odjedzie bez nas.

Kiedy wchodziła na piętro, dobiegł ją gwar podekscytowanych głosów. Dwa trajkotały szybko po hiszpańsku, a trzeci strofował je po angielsku, z nieznośnym irlandzkim akcentem. To gospodyni, Mary Doherty, przywoływała do porządku meksykańskie służące. Sytuacja została wkrótce opanowana i przy pomocy Victoria szybko dokończono układania rzeczy w dwóch ogromnych kufrach. Oprócz tego dziewczyny miały jeszcze podręczne torby, również wypchane do granic możliwości. Dwóch kowbojów z rancza, którzy znosili bagaż, dosłownie ugięło się pod jego ciężarem.

- Ejże, panno Victorio! Nie za dużo tego jak na krótką wizytę? - jęknął jeden z nich.

- Nie wszystko jest moje - odparła ze śmiechem.

- Zresztą, nie wyobrażacie sobie chyba, że pojedę na wesele w jednej sukience?

- No, mając ich tyle w kufrze, zakasuje panienska samą pannę młodą!

- Kpicie sobie ze mnie, chłopaki! - prychnęła Victoria, idąc po schodach. Śmiała się razem z nimi i żartowała, tak jak ze wszystkimi innymi mężczyznami na ranczo. Uwielbiali ją i czuli się przy niej swobodnie, a jednocześnie szanowali i nigdy nie pozwalali sobie na poufałości. Kiedy wydawała im polecenia, wykonywali je posłusznie i bez szemrania, w razie potrzeby bowiem potrafiła być stanowcza.

Gdy już załadowano bagaże, poszła szukać Amy. Dla jej ciotecznej siostry czas płynął w zupełnie innym, zwolnionym tempie, a pojęcia takie jak pośpiech i rygor właściwie nie istniały.

Jeden rzut oka upewnił Victorie, że tym razem Amy nie siedzi na huśtawce pod dębem, skierowała się więc w stronę stajni, podejrzewając, iż siostra poszła pożegnać się z ulubioną kłaczą. Ale i tam jej nie było. Pogłaskawszy aksamitny pysk własnego wierzchowca, Victoria wspięła się na drabinę wiodącą na stryszek.

Amy siedziała ze skrzyżowanymi nogami na sianie, a na jej podołku kłębił się, piszcząc, cały miot kociąt. Jedną puchatą kulkę dziewczyna trzymała w dłoni, gładząc ją czule. Jasne, miękkie włosy, uwolnione ze spinek, niesfornymi pasemkami opadały jej na twarz. Spódnice miała pomiętą i zakurzoną.

Victoria westchnęła w duchu. Miała ochotę jednocześnie złajać to duże dziecko i przytulić je czule.

- Amy - powiedziała łagodnie.

Spojrzenie błękitnych oczu i uśmiech były tak niewinne i ujmujące, że zapomniała o złości. Amy tak się różniła od wszystkich znanych jej ludzi, że nie sposób było mierzyć jej zwykłą miarą. Niektórzy wręcz twierdzili, że bratanica Eda jest „nawiedzona”. Ale jeśli nawet była, to wyłącznie przez wróżki, jak uważała pani Doherty. Ta dziewczyna była po prostu kimś wyjątkowym. Naturalną dziecięcą radością i serdecznością zjednywała sobie wszystkich. Jej serce pełne było miłości i współczucia. Nie zdarzyło się, by zareagowała obojętnością na najmniejszą nawet krzywdę czy nieszczęście, zarówno człowieka jak i zwierzęcia. Natychmiast ofiarowywała pomoc, poświęcając się całkowicie

i bezinteresownie. Wystarczyło tylko, by Victoria choć przez chwilę poczuła się smutna, a już Amy pocieszająco wsuwała w jej dłoń swoją bądź obejmowała siostrę serdecznie, pocieszając promiennym uśmiechem.

Victoria odpłacała Amy równą miłością. Od pierwszego momentu, kiedy pólżywą ze strachu dziewczynkę przygarnął jej ojciec, stała się wiernym obrońcą i opiekunem swojej nowej siostry. To ona tuliła Amy w ramionach przez wiele nocy, kojąc jej ból. To ona prowadziła ją za rączkę, gdy szły do szkoły. A kiedy Ben Hartwell ośmielił się powiedzieć, że Amy jest wariatką, jednym ciosem pięści rozkwaśła mu nos.

Odmienność dziewczyny wydawała się czymś naturalnym i nie wywołującym sprzeciwu otoczenia. Nie było ważne, że nie umie pojąć najprostszych działań ani podejmować decyzji; że nie zdaje sobie sprawy z upływu czasu i nie potrafi prowadzić towarzyskich konwersacji. Victoria i Ed działali i myśleli za nią, pozwalając jej żyć tak, jak chciała. Bo sama obecność Amy była cudownym darem dla twardego, okrutnego świata.

- Popatrz, Victory, czy on nie jest śliczny? Nazwałam go Piorun - powiedziała Amy, podsuwając jej kociaka na dłoni.

- O tak, śliczny. I imię też pasuje - uśmiechnęła się Victoria i pogładziła puchatą kulkę. Zwierzątko, zadowolone, zaczęło mruczeć tak głośno, że całe jego drobne ciało drgało. Amy, rozpromieniona, sięgnęła drugą ręką po innego kotka.

- A ten biały będzie się nazywał... - zaczęła, ale siostra przerwała jej szybko.

- Kochana, zaraz odjeżdżamy. Musisz jeszcze iść do domu i przebrać się.

- Wiem, wiem. Dlatego przyszłam pożegnać się z kotkami - westchnęła Amy, wstając i usiłując uwolnić się od chwytających jej spódnice pazurków. - Kiedy wrócę, będą już tak duże, że ich nie poznam - powiedziała z żalem.

Victoria ujęła ją za rękę.

- Nie chcesz jechać? - zapytała z troską. Już wcześniej martwiła się, czy ruch i gwar San Antonio nie przeraża Amy, która najlepiej czuła się w zaciszu swojego ukochanego rancza.

- Ależ chcę - jasne oczy zaślniły entuzjazmem. - Chcę zobaczyć ślub. Dafne będzie wyglądała jak księżniczka w swojej ślicznej sukni, prawda?

Dafne Henderson uczyła się z Victoria na pensji w San Antonio. Amy, skończywszy swoją edukację na zwykłej szkółce, była przez te trzy lata sama, ale poznała Dafne, wiele razy zapraszaną na ranczo. Bardzo polubiła tę poczciwą, miłą dziewczynę i uradowała się niezmiernie, kiedy otrzymała zaproszenie na ślub.

- Dobrze, w takim razie pospieszmy się - ponagliła ją siostra. - Tata już pewnie wypatruje nas z werandy.

Szybko zeszły ze stryszku i pobiegły ku domowi. Ed Stafford rzeczywiście stał na werandzie i co chwila wyciągał z kieszeni zegarek, by zerknąć nań nerwowo. Dziewczyny wpadły do domu i w pośpiechu zaczęły się przebierać. Na szczęście podróżne suknie, proste i praktyczne, nie wymagały zbyt wielu zabiegów.

Co innego, gdy wypadało ubrać się wytwornie na przyjęcie bądź do kościoła. Wówczas toaleta stawała się długim i skomplikowanym procesem, który wymagał pomocy drugiej osoby. Nałożenie gorsetu z fiszbinami i tiurniury tak, by uzyskać modną „talię osy”, by-

ło nie lada sztuką. Na szczęście, wymagania dotyczące codziennego stroju nie były aż tak rygorystyczne. Po balu czy mszy gorsety i tiurniury wędrowały z powrotem do komody, ustępując miejsca prostym kaftanom i długim spódnicom lub spódnico-spodniom do konnej jazdy.

Dlatego udało im się zdążyć na czas. Spiesząc do powozu, zawiązywały po drodze czepki. Ed pomógł im wsiąść i sam wskoczył na kozioł obok woźnicy. Jazda do najbliższej stacji dyliżansu w miasteczku trwała dwie godziny. Dziewczęta plotkowały i chichotały niezadowolone przez całą drogę.

Wreszcie powóz zajechał przed mały, pomalowany na biało domek z klombem, na którym tłoczyły się bezładnie wszelkie możliwe rodzaje kwiatów. Na wygładzie posesji wyraźnie ciążyła osobowość jej właścicielki, pani Childers.

Frontowe okno otworzyło się natychmiast i wyrzała z niego dama w średnim wieku.

- Och, och, drogi pułkowniku Stafford! - wykrzyknęła afektowanym głosem. Zwrot nie był grzecznościowy. Ed rzeczywiście dosłużył się na wojnie stopnia pułkownika w armii konfederatów i wielu mieszkańców miasteczka nadal tak się do niego zwracało.

- Tak mi przykro, doprawdy - kontynuowała pani Childers. - Pan, jak zwykle, przybył punktualnie, a ja jeszcze nie jestem gotowa. Boże mój, jakże głupio muszę wyglądać w pana oczach - plotła z zalotnym uśmiechem, teatralnym gestem składając ręce na piersiach, jak gdyby owa głupota była najważniejszym atrybutem jej kobiecości.

Victoria zagryzła wargi, z trudem powstrzymując

zjadliwy uśmieszek. Było jasne, iż wdówka Childers ostrzy sobie zęby na jej biednego ojca i przyjęła niewdzięczną rolę przywoitki tylko dlatego, by mu się przypodobać. Na swoje nieszczęście, nie zdawała sobie sprawy, że słodka głupota wywiera na pułkowniku Staffordzie wrażenie zupełnie odwrotne do zamierzonego. Zgodził się na jej opiekę tylko dlatego, że z powodu wiosennych prac na ranczo nie miał czasu sam odwiedzić dziewcząt.

Ed wzdrygnął się w duchu i siłąc się na uprzejmy uśmiech, powitał panią Childers, dyplomatycznie posyłając córkę, by pomogła jej dopakować rzeczy. Wreszcie kufer i torba zostały pomyślnie załadowane. Przez następne kilka minut wdowa mocowała się z zamkiem u drzwi i tasiemkami swojego czepka.

Kiedy w końcu dotarli na stację dylizansów, Stafford ledwie zdążył kupić bilety, a potem ucałować dziewczęta, stojące już na stopniach. Kufry przypięto pasami na dachu, woźnica i konwojent ze strzelbą wskoczyli na wysoki kozioł. Rozległ się trzask bicia i ciężki wehikuł potoczył się po pylistej drodze. Amy wychyliła się z okna, machając wujowi na pożegnanie. Victoria zza jej ramienia rzuciła ostatnie spojrzenie na ojca.

Kiedy Ed zniknął im z oczu, usiadły grzecznie obok pani Childers i zaczęły przyglądać się współtowarzyszom podróży. Naprzeciwko siedziało dwóch mężczyzn - jeden chudy i zasuszony, a drugi, dla kontrastu, gruby i jowialny. Widząc, że kobiety zwróciły na nich uwagę, wykrzyknęli chórem: „Dzień dobry szanownym paniom!” Wkrótce nawiązała się rozmowa. Chudzielec okazał się przedsiębiorcą z San Antonio. Drugi przedstawił się jako prawnik, powracający na

Kapitol z podróży służbowej. Victoria chciała przedstawić siebie i Amy, ale pani Childers, wchodząc w rolę przyzwoitki, uciszyła ją i wzięła na siebie ciężar konwersacji. Wkrótce już plotkowali z prawnikiem jak para starych przyjaciół. Chudzielec, zrezygnowany, zasnął.

Victoria pochyliła się do Amy.

- Zdaje się, że pani Childers znalazła sobie nowego kandydata - szepnęła.

Amy uśmiechnęła się, ale nie odrywała wzroku od krajobrazu za oknem.

- Powiedz, czy to nie jest wspaniałe? - zapytała. Jej blade policzki zaróżowiły się z emocji.

- Co?

- Wszystko: ta podróż, te widoki, cały świat - pokazała gestem.

Siostra spojrzała na nią z czułością. Każda podróż była wydarzeniem, ale tę drogę przebywała wiele razy z ojcem, kiedy chodziła do szkoły w San Antonio. Nagle uświadomiła sobie, że Amy bardzo rzadko opuszczała farmę. Prawdopodobnie była tylko kilka razy na zakupach w Austin. Najwidoczniej wiedza o świecie nie była potrzebna tej łagodnej, rozmarzonej dziewczynie, która najlepiej czuła się w domowym zaciszu. Teraz jednak, widząc to ożywienie, pomyślała z żalem, że Amy pod wieloma względami została zaniedbana.

Tymczasem Amy, podziwiając uroki wiosennego krajobrazu, cieszyła się chwilą, wcale nie żałując, że wcześniej nigdzie nie wyjeżdżała. Ranczo było jej całym światem. Innego życia po prostu nie znała.

Nie pamiętała prawie niczego z dzieciństwa. Zachowała jedynie mgliste wspomnienie wysokiego, ciemno-

włosego mężczyzny o dudniącym głósie i cudownego poczucia bezpieczeństwa, kiedy brał ją w ramiona. Tu-liła wtedy twarz do jego piersi, słuchała równych ude-rzeń serca i wdychała zapach mężczyzny i końskiego potu. Dalej obrazy zacierały się i nawet nie chciała so-bie przypominać, co stało się z jej rodzicami. Natomiast pamiętała dobrze moment, gdy przybyła na ranczo Stafforda. Wpadła w objęcia wujka, a potem siostry i już wiedziała, że z nimi może czuć się bezpiecznie. Ta-ka była natura Amy - we wszystkim, co robiła, kierowa-ła się uczuciem, a nie rozsądkiem, przyjmując rze-czy takimi, jakimi są.

Przy tym zdawała sobie sprawę, że jej naiwny, pro-sty zachwyty nad życiem wielu ludzi postrzegało jako głupotę. Czuła, że mają rację, kiedy mówili, że nie jest zbyt bystra. Nie miała tej żywości umysłu i ciekawości świata, które cechowały Victorie. Nie cierpiała rachun-ków, a książki szybko ją nudziły. Bez żalu pozostawiała te rzeczy ludziom inteligentniejszym od siebie. Była szczęśliwa, żyjąc na swój sposób i nie pragnęła niczego zmieniać. Kiedyś usłyszała, jak wujek Edward powie-dział o niej, iż nie myśli głową, tylko sercem. To była prawda i wiedziała o tym. Nawet nie wyobrażała so-bie, że mogłoby być inaczej.

O zmroku dotarli do Austin i spędzili noc w hotelu przy Congress Avenue. Amy była kilka razy w tym mieście, ale wciąż na nowo się nim zachwycała. Fascy-nował ją widok sklepów i tłumów na ulicach. Z podzi-wem wpatrywała się w imponującą fasadę siedziby władz stanowych.

W jeszcze większy zachwyty wpadła pani Childers,

która paplała bezustannie o „wspaniałej metropolii”, którą może podziwiać dzięki nieskończonej uprzejmości pułkownika. Victoria klęła w duchu, z przerażeniem myśląc o perspektywie wysłuchiwania tej gadaniny przez cały miesiąc.

Wczesnym rankiem następnego dnia złapały dyliżans do San Antonio. Tym razem był tłok i ledwo wcisnęły się do wozu. Ogólna prezentaq'a ujawniła, że wśród pasażerów znajdowali się kolejny przedsiębiorca, reporter, który dostał pracę w gazecie w San Antonio, akwizytor oraz człowiek, który nie mówił nic o sobie, ale jego opalona, wysmagana wiatrem twarz i zrogowacenia na dłoniach świadczyły, że musiał pracować przy bydle.

Droga była nierówna i pylista, toteż ściśnięci w dusznym pudle powozu pasażerowie po dwugodzinnej jeździe z ulgą powitali postój w Santa Clara. Dla pani Childers skończył się on jednak fatalnie.

Stojąc już na stopniu, odwróciła się, upominając dziewczęta, by uważały przy wysiadaniu - i w tym momencie przydeptała sobie długą spódnicę. Upadła z krzykiem na ziemię, zanim Victoria zdążyła ją przytrzymać.

- Pani Childers! Czy wszystko w porządku? - zawołała, klękając przy leżącej i jęczącej kobiecie.

- N-nie wiem. Coś złego stało się z moją nogą...

Dziewczyna spojrzała na pasażerów, którzy otoczyli je kołem.

- Szybko, lekarza! - nakazała. Pierwszy zareagował kowboj i biegiem ruszył do kierownika stacji. Poszukała wzrokiem Amy i zobaczyła rozszerzone przerażeniem niebieskie oczy, patrzące na nią z pobladłej twarzy.

- Amy, kochanie, idź i odpocznij sobie. Ja zajmę się panią Childers - powiedziała łagodnie, jednocześnie mrugając znacząco do stojącego obok reportera. Na szczęście zrozumiał. Troskliwie wziął Amy pod rękę i poprowadził ją ku budynkowi stacji.

Czekanie przedłużało się w nieskończoność. Fani Childers jęczała i płakała z bólu. Victoria była już niemal pewna, że biedna kobieta złamała nogę. Wreszcie pojawił się kowboj, prowadząc lekarza, który przedstawił się jako doktor Bauer. Natychmiast nakazał pasażerom odejść, ale spojrzawszy na spokojną twarz Victorii, skinął, by została, i przystąpił do badania. Kiedy odsłonił nogi szacownej damy, dziewczyna stanęła tak, by swą szeroką spódnicą osłonić wstydliwą kobietę przed wzrokiem ciekawskich.

Po dokładnym badaniu, w czasie którego pacjentka krzyczała wniebogłosy, doktor Bauer ze zmartwioną miną oznajmił, że noga jest rzeczywiście złamana i chorą trzeba przenieść do izby. Pani Childers mimo bólu myślała przede wszystkim o zasadach przyzwoitości. Nie zgadzała się, by jakikolwiek mężczyzna poza doktorem patrzył na jej obnażoną nogę i zadartą halkę, toteż Victoria zaoferowała swoją pomoc. Na ranczu poznała podstawowe zasady pomocy medycznej, gdyż po lekarza trzeba było posyłać aż do Austin. Od dzieciństwa oswojona była z widokiem ran i chorób, a opanowanie i odporność na widok krwi sprawiły, że stała się zręczną i kompetentną pielęgniarką. Doktor zauważył to natychmiast, ale nie zdziwił się zbyt. W tym surowym kraju nie było miejsca dla słabych ludzi; dotyczyło to również kobiet.

Kiedy wreszcie kość została nastawiona, a noga uję-

ta w łupki, zaimprovizowano coś w rodzaju noszy i przeniesiono panią Childers do hotelu. Tam legła wreszcie spokojnie na łóżku, mając obok siebie dziewczęta.

- Och, to jest okropne! Okropne! - łkała. - Co teraz powie wasz ojciec?

- Na pewno będzie mu bardzo przykro z powodu pani wypadku.

- Nie, raczej będzie na mnie wściekły. O Boże, jakaż byłam głupia!

- To nie pani wina - powiedziała łagodnie Amy, ujmując leżącą za rękę. - Wypadki się zdarzają. Ja też złamałam kiedyś palec i wujek Ed wcale nie był na mnie wściekły.

- Amy ma racje. To był wypadek - przytaknęła Victoria.

- Ale jaki niefortunny! Co my teraz zrobimy? Czekają przecież na nas w San Antonio, a my utknęliśmy w jakiejś dziurze. Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy.

- W Santa Clara. Dobrze, że przynajmniej mają tu hotel. A do ślubu został jeszcze cały miesiąc. Niech się pani nie martwi, zostaniemy, dopóki pani nie wyzdrowieje.

- Niemożliwe, będę przez całe tygodnie przywiązana do tego łóżka. A ty i Amy potrzebujecie przyzwoitki. - Biedna kobieta była kompletnie roztrzęsiona. - Boże, przecież musicie zaraz zapłacić za pokój, a potem iść na obiad. Same!

Victoria omal nie parsknęła śmiechem, widząc przerażoną minę opiekunki. Perspektywa samodzielności wcale jej nie przerażała, a nawet wydawała się atrakcyjna. Od początku miała dosyć tej gaduły, która czuwała nad nimi jak kwoka.

- Damy sobie radę - zapewniła. - Będziemy uważać i na pewno nic nam się nie stanie. Teraz niech pani sobie odpocznie, my pójdziemy wysłać telegram do taty.

- Tak, tak, pan pułkownik musi wiedzieć, co się stało. Może przyśle kogoś do opieki nad wami.

Prawdę mówiąc, Victoria nie była pewna, co zrobi jej ojciec. Mógł odwołać całą podróż i ściągnąć je z powrotem. Przez moment zastanawiała się, czy nie poczekać z wysłaniem telegramu choć kilka dni, ale szybko zarzuciła tę myśl. Ed wpadłby w szal, gdyby nie zawiadomiono go o takim nieszczęściu. Westchnęła z rezygnacją i przypomniała Amy, by nałożyła toczek. I tak zyskają chociaż kilka dni wolności, pocieszyła się. Będą mogły robić tylko to, na co będą miały ochotę.

Recepcjonista wytłumaczył im, jak mają dojść do biura Western Union, które znajdowało się na głównej ulicy, obok posterunku szeryfa. Wybiegły z hotelu, uszczęśliwione, ale dalej szły już powolnym krokiem, rozglądając się ciekawie wokół i rozmawiając. Telegram miał być nadany jeszcze dzisiaj, ale nikt nie powiedział, że natychmiast.

Wreszcie, zobaczywszy biuro szeryfa, skręciły ku niemu, przecinając ulicę. Kiedy znalazły się na drewnianym chodniku po drugiej stronie, drzwi biura otworzyły się nagle i wyłoniło się z nich trzech mężczyzn. Jednym z nich był bez wątplenia szeryf. Drugi mógł być wojskowym, choć nie nosił munduru. W klapie kurtki miał srebrną odznakę z gwiazdą w kole, a u pasa parę śmiertelnych coltów czterdziestek piątek. W jednym ręku niósł karabin, a drugą mocno ścisnął ramię trzeciego z mężczyzn, który bez żadnych wątpli-

liwości był przestępcą. Ręce miał skute z przodu ciężkimi obręczami, połączonymi długim, mocnym łańcuchem.

Zatrzymały się gwałtownie, zaskoczone tym niespodziewanym widokiem. Na odgłos damskich obcasów stukających po drewnianym podeście więzień i jego strażnik odruchowo unieśli głowy. Victoria poczuła się nieswojo pod przeszywającym spojrzeniem dwóch par oczu. Jedne były jasne, o zimnym spojrzeniu, zielonkawe jak liście ścięte lodem. Drugie - czarne, nieprzeniknione i bezduszne, jak sama śmierć. Po raz pierwszy w życiu dzielna dziewczyna poczuła dreszcz strachu. Nigdy dotąd nie widziała tak groźnie wyglądających mężczyzn.



Przez długą chwilę cała piątka po prostu patrzyła na siebie. Niezrozumiały lęk obezwładnił Victorię, ale za wszelką cenę usiłowała go ukryć. Nie chciała pokazać tym mężczyznom, że drży na widok pojmanego przestępcy, nawet jeśli ten wyglądał jak wcielenie zła.

Jego ubranie było brudne, jakby nie zmieniał go przez wiele dni. Oberwany rękaw, nasiąknięty krwią, zwisał w strzępach. Również przód koszuli pokryty był czerwonymi plamami. Na twarzy jeżył się dawno nie golony zarost, a policzek przecinała krwawa szrama. Ta twarz była nieprzenikniona i nieruchoma jak maska, a oczy... Dziewczyna nigdy nie widziała tak złowrogich i czarnych. Nic dziwnego, że skuto go łańcuchami.

Człowiek o wyglądzie wojskowego przerażał ją niewiele mniej. Był, co prawda, ogolony i umyty, ale w jego twarzy była ta sama surowość, a oczy patrzyły równie zimno. Victoria przez całe życie obracała się wśród twardych mężczyzn; Teksas był ich pełen. Żaden z nich jednak nie sprawiał wrażenia tak niebezpiecznego. Tego odczucia nie była w stanie złagodzić nawet srebrna odznaka. W porównaniu z nim stojący z boku szeryf wyglądał jak uosobienie anielskiej dobroci.

W zielonych oczach mężczyzny pojawił się błysk

i Victoria nagle sobie uświadomiła, że stoi przed nim ubrana w prostą, brązową podróżną suknię, wymiętą i zakurzoną, a na głowie ma czepek, starannie zawiązany pod brodą na kokardkę.

Pomyślała, że musi wyglądać jak kwakierka i zaczęła żałować, że nie przebrała się w hotelu. Wiedziała, że może się podobać, ale, jak na złość, teraz właśnie przypominała wyglądem szarą mysz.

Jakiś cień tego żalu musiał pojawić się na jej twarzy, gdyż wargi mężczyzny drgnęły w lekkim uśmiechu, a spojrzenie złagodniało. Victoria poczuła, że palą ją policzki. Co też jej przychodzi do głowy?! Co ją w ogóle obchodzi zdanie mężczyzny, którego wcale nie zna i nie ma ochoty poznać? Od takich typów lepiej się trzymać z daleka.

A jednak nie mogła się powstrzymać od zerkania na jego przystojną twarz, zmysłowe wargi pod zawadiackim wąsem i szerokie, muskularne ramiona. Zanim zdążyła się opamiętać, jej spojrzenie powędrowało niżej, ku długim nogom i biodrom, których smukłość podkreślał szeroki pas z rewolwerami.

Nie poznawała samej siebie. Zaczęła oddychać szybciej, zaciskając nerwowo palce. Po raz pierwszy w życiu czuła się niepewnie w obecności mężczyzny.

Niezręczną sytuację przerwał gwałtowny gest Amy. Victoria błyskawicznie wyciągnęła rękę, by przytrzymać ją za ramię, ale było już za późno.

Amy nigdy nie postrzegała spraw tak jak inni ludzie. Tym razem było podobnie. Dla Victorii człowiek w kajdanach był złoczyńcą, słusznie ujętym przez stróżów prawa. Dla niej - nieszczęsną, poranioną ludzką istotą, która potrzebowała pomocy. Jego ręce opadały

pod ciężarem oków, których obręcze okrutnie wrzynały się w przeguby. Czułe serce dziewczyny kazało jej działać natychmiast. Minęła siostrę i podeszła do więźnia.

- Mój ty biedaku - powiedziała miękko, przesuając ku górze żelazną obręcz, aż odsłoniła obtartą do krwi skórę. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła chusteczkę i troskliwie owinęła nią przegub mężczyzny.

Sam Brody był kompletnie oszołomiony. Nigdy w życiu nie widział kobiety tak pięknej i delikatnej. Była cała złota, różowa i biała, jak aniołki, które zapamiętał z dzieciństwa, z katedry w Saint Louis, gdzie schronił się pewnej zimowej nocy. Zasnął w ciepłe, śniąc o ich, dopóki nie znalazły go zakonnice i nie wygoniły.

Smukła ręka tego anioła była miękka i ciepła, a jej dotyk tak cudownie łagodny, że Sam zamarł z wrażenia. Dotykały go ręce wielu kobiet, ale prawdziwa dama nigdy nawet nie zbliżyła się do niego. Nie wyobrażał sobie, że kobieta może być tak delikatna i czuła. Dziewczyna spojrzała na niego poważnie ogromnymi, błękitnymi oczami.

- Teraz nie będzie obcierać - stwierdziła.

Brody dał się ponieść fali nie znanego mu, czystego pragnienia, nie mającego nic wspólnego z brutalnym pożądaniem, jakie zwykle wywoływały w nim kobiety.

- Czy pani nie wie, kim jestem? - zapytał zdławionym głosem, patrząc na nią tęsknie, gdyż wydawała mu się równie nieosiągalna jak gwiazda na niebie.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Przepraszam, ale naprawdę nie wiem.

Słodycz tego głosu była jak dotyk jej dłoni, łagodził bolesne rany duszy więźnia.

Slatera zaskoczył widok Amy podchodzącej do bandyty. Widział, że z tyłu stoi jakaś blada dziewczyna, ale prawie nie zwrócił na nią uwagi, oszołomiony widokiem czarnobrewej piękności. A kiedy ujęła Brody'ego za rękę, był zbyt zdumiony, by zareagować. Nie mógł uwierzyć, że panna z dobrego domu może zniżyć się do rozmowy z takim kryminalistą, nie mówiąc już o dotykaniu go. Dopiero dźwięk słów Brody'ego wytrącił go z transu. Gwałtownie odepchnął rękę Amy.

- Co ty sobie, u licha, wyobrażasz? - warknął, zepominając o grzeczności. - Zostaw go natychmiast!

Dziewczyna popatrzyła na niego wielkimi, niewinnymi oczami dziecka. Nie było w nich złości, tylko zaskoczenie i zdziwienie. Za to Brody naprężył mięśnie, ściągając górną wargę jak wilk szykujący się do ataku. Slater puścił jego ramię i ujął karabin w obie ręce, gotów do strzału. Ale atak przyszedł z najmniej oczekiwanej strony.

Czarnowłosa piękność skoczyła nagle pomiędzy nich, jakby chciała odgrodzić swoją towarzyszkę od Slatera. Niebieskie oczy płonęły wściekłością.

- Precz z łapami od niej! - wrzasnęła. - Jak śmiesz?! - Jej głos, choć drżący z furii, był dźwięczny i głęboki.

Dreszcz pożądania przeszył uda Slatera, co zirytowało go jeszcze bardziej. Kiedy miał przeciwko sobie dwie zwariowane baby i groźnego, choć skutego złoczyńcę, takie doznania były najmniej potrzebne.

- Kobieto, nie doprowadzaj mnie do szału - syknął.
- Zabieraj ją i jazda stąd!

- Amy nic ci nie zrobiła. Nie musisz na nią wrzeszczeć - odparowała Victoria, również wytrącona z równowagi dziwnymi reakcjami swojego ciała.

- Nie muszę? Ona utrudnia mi konwojowanie areztanta! Czy wiesz chociaż, kim on jest?

- Nie, i nic mnie to nie obchodzi! A ty nie masz prawa...

- Mam wszelkie możliwe prawa. Moim obowiązkiem jest doprowadzić więźnia do Austin, na południowy dyliżans, a ty i ta dziewczyna utrudniacie mi wypełnienie rozkazu. A swoją drogą, co z nią jest? Czy ma źle w głowie? Przecież to Sam Brody, na Boga!

Szczerze mówiąc, Victoria nie bardzo rozumiała, co podkusiło Amy, i sama była na nią wściekła. Dlatego skłonna byłaby ustąpić. Ale kiedy Slater zaczął wątpić w równowagę umysłową jej siostry, na nowo obudził się w niej instynkt opiekuńczy.

- Ona jest zupełnie normalna! - wybuchnęła.
- Wyobraź sobie, że są jeszcze osoby, które nie mogą znieść, kiedy inny człowiek cierpi. Nie każdy jest zwierzęciem, które pozwoli drugiemu wykrwawić się na śmierć!

Oczy mężczyzny zwięziły się groźnie. Postąpił krok do przodu.

- Czy przypadkiem masz mnie na myśli?

- Jeśli uważasz, że opis pasuje...

Przez moment miał ochotę złapać ją i mocno potrząsnąć. O co tu chodziło? Była równie szalona jak tamta, ale tak piękna, że gotów był jej wszystko wybaczyć. Kim ona jest, do licha? Nagle przyszło mu na myśl, że Sam Brody mógł zainscenizować to dziwne spotkanie jako część planu ucieczki, mającą odciągnąć

jego uwagę. Szybko zerknął na więźnia, ale ten stał nieruchomo jak posąg. Jasnowłosa dziewczyna obwiązywała mu chusteczką drugi przegub, a Brody wpatrywał się w nią tak, jakby nigdy przedtem nie widział kobiety.

- Dobrze, przepraszam - Slater postarał się, by jego głos ociekał ironią. - Nie wiedziałem, że mam do czynienia z damą. Myślałem, że trafiłem na sprytną współniczkę złodziejskiej bandy.

- Jak śmiesz?! - Victoria z lubością wyobraziła sobie, że za chwilę uderzy go w twarz. - Wcale się nie dziwię, że nie potrafisz rozpoznać damy. Założę się, że żadna nie zaszczyliła cię swoim towarzystwem. Zresztą, dżentelmen nie uderzyłby kobiety.

- Ja jej nie uderzyłem! - zaperzył się.

Dla Brody'ego głosy Slatera i Victorii brzmiały jak odległy szum. Cały świat stał się dla niego jednym odczuciem, wzbudzonym przez delikatne muśnięcia palców Amy, bandażującej mu drugą rękę. Stał nieruchomo, bojąc się, że spłoszy ją najmniejszy ruch. Była tak piękna, tak łagodna i dobra. Jakim cudem nie lękała się go? Jak mogła go opatrywać/współczuć mu, kiedy ciężkie okowy co chwila przypominały, kim jest? Przecież, jeśli nawet o nim nie słyszała, musiała się domyślać, co ma na sumieniu. A jednak stała tuż przy nim, ufna jak dziecko. Pragnął dotknąć jej twarzy, ale powstrzymał się, by nie spłoszyć pięknej, ulotnej chwili.

Pochłonięty swoimi przeżyciami, Brody przestał zwracać uwagę na to, co dzieje się na ulicy. A powinien, zważywszy na plan, który zawczasu ustalił ze swoimi ludźmi. Dlatego nie zauważył, że mężczyzna, który stał na rogu ulicy, znudzonym wzrokiem obserwując

otoczenie, w pewnym momencie wszedł do saloonu i po chwili wyszedł stamtąd w towarzystwie dwóch mężczyzn. Nie widział, jak cała grupa dosiadła koni i ruszyła ulicą w ich kierunku, prowadząc ze sobą luzaka.

Dopiero kiedy nagle podcięli konie i wyciągnęli broń, szósty zmysł ostrzegł Sama, przypominając mu o planie. Błyskawicznie zerknął do tyłu i zobaczył ich, ale tętent kopyt zaalarmował także szeryfa i Slatera. Kiedy Slater odwracał się, unosząc strzelbę, Brody rzucał się na ziemię, pociągając za sobą Amy. Nie myślał. Po prostu reagował instynktownie. Nie było innego sposobu uchronienia tej kobiety.

Jeden rzut oka na jeźdźców wystarczył, by Slater zorientował się, co się dzieje. Normalnie poszukałby osłony i zaczął strzelać. Ale tym razem była jeszcze kobieta. Victoria stała tuż za nim. Była tak zaskoczona, że nie poruszyła się, nawet kiedy huknęły pierwsze strzały. Slater chwycił ją za ramię i pchnął na chodnik. Sam przetoczył się po ziemi i przykleknąwszy, otworzył ogień.

Na ulicy rozpętało się piekło. Kanonada była ogłuszająca. Spłoszone konie rżały, a ludzie krzyczeli i uciekali, szukając osłony. Szeryf właśnie składał się do strzału, kiedy z jękiem wypuścił broń. Brody zerwał się i skoczył do koni, nie puszczać ręki Amy. Była kompletnie oszołomiona i bezwolna. Sam pochwycił wodze wspinającego się konia i ostro je ściągnął, a potem, znów pod wpływem nagłego impulsu, podrzucił dziewczynę na jego grzbiet. Była lekka i nie stawiała oporu, więc udało mu się to pomimo skutych rąk. W ułamku sekundy sam znalazł się w siodle.

Slater, strzelając bez przerwy, przesuwał się w kierunku osłoniętej werandy. Victoria, nisko pochylona, posuwała się za nim. Teraz już aż za dobrze wiedziała, co się dzieje. Kula trafiła mężczyznę w ramię, ale w ferworze walki nawet nie poczuł bólu. Naciskał spust i kłął, wściekły, że dał się tak głupio zaskoczyć. I to teraz, kiedy wreszcie miał w ręku Brody'ego!

Gdy zobaczył, że bandyta zrywa się i pędzi ku koniom, poderwał karabin do strzału. Ale Victoria zauważyła, że łotr ciągnie za sobą Amy.

- Nie! - krzyknęła, podbijając lufę. Strzał poszedł w powietrze.

- Niech cię szlag trafi! - Slater odepchnął ją wściekle, lecz uczepliła się jego ręki.

- Nie! Nie! Trafisz w Amy!

Tym razem pchnął ją z całej siły, aż uderzyła o ścianę. Ale było już za późno - banda Brody'ego uciekała galopem. Slater poderwał się, wybiegł za róg i stanął, celując dokładnie. Jeden z bandytów zachwiał się w siodle, ale jechał dalej. Nie był to Brody.

Mężczyzna zaklął paskudnie i cisnął strzelbę na ziemię. Za jego plecami Victoria chwiejnie wstała na nogi i z pobladłą twarzą patrzyła za oddalającymi się jeźdźcami.

- O Boże, oni mają Amy! Musimy ich gonić!

- Powiedz mi wreszcie, kim jesteś! Taką samą wariatką jak ona? A może pomagierką Brody'ego, co? - Slater ruszył ku niej, trzęsąc się z wściekłości. Nawet nie czuł, że krwawi.

- Tamta jest pewnie jego kobietą, a ty... śpisz z którymś z jego ludzi. A może i z samym Brodym? No, gadaj!

- Coo?! Masz czelność podejrzewać, że jestem...
- W ostatniej chwili powstrzymała się od słów, które nie przystają damie. - Jesteś niespełna rozumu! Stoisz tutaj i wyzywasz mnie od ostatnich, zamiast ich gonić. Zresztą, czego innego można się po tobie spodziewać, nieudaczniku? Nie dość, że nie upilnowałeś więźnia, to jeszcze pozwoliłeś, by porwał moją siostrę!
- zakończyła zjadliwie i odwróciła się na pięcie. Nagle zamarła.

- Szeryfie...? Pan jest... Boże, trafili go!

Mężczyzna leżał nieruchomo na chodniku zbryzgany krwią.

Przypadli do niego jednocześnie. Victoria szybko oderwała rąbek halki i zrobiwszy z niego tampon, przycisnęła do zakrwawionego brzucha leżącego. Slater z niepokojem popatrzył na upiornie bladą twarz rannego i zbadał jego puls.

- On już odchodzi - westchnął.

Dziewczyna poczuła mdlący ucisk w dołku, choć nie pierwszy raz zetknęła się ze śmiercią. Kiedyś stała u łóżka umierającej matki, do końca trzymając ją za rękę. Była też świadkiem agonii kowboja stratowanego przez konia. Nigdy jednak nie widziała, jak jeden mężczyzna kona na rękach drugiego.

Slater klęczał przy szeryfie. Uświadomiła sobie, że on również jest dziwnie blady. Nagle zachwiał się i chwycił balustrady. Wówczas dostrzegła krew sączącą się z przestrelonego ramienia.

- Boże wielki, ty też jesteś ranny - szepnęła.

Slater przytaknął, całym ciężarem opierając się o barierkę. Czuł się dziwnie, jak na rauszu. Dziewczyna nie namyślając się oderwała kolejny pasek z halki i mocno

owinęła nim ramię, żeby powstrzymać krwawienie. Po raz pierwszy rozejrzała się dokoła. Teraz dopiero dostrzegła, że ludzie zaczęli wychodzić z ukrycia i gromadzić się wokół nich, zachowując jednak lękliwy dystans.

- Chyba ktoś powinien zawołać doktora! - warknęła, zirytowana ich obojętnością. - Nie widzicie, że on potrzebuje pomocy?

Zdawało się, że jej słowa zdjęły z ludzi zakłęcie. Tłumek zafalował, a dwóch mężczyzn wystąpiło do przodu.

- Luther już pobiegł po lekarza - powiedział pierwszy.

- Czy panienka dobrze się czuje? - zapytał drugi.

- Oczywiście, że dobrze - prychnęła. O co chodzi tym ludziom? Czy nie widzą, kto ucierpiał? Nie здаwała sobie sprawy, że jej twarz jest równie blada jak twarz jej towarzysza. Ponadto chłodne opanowanie dziewczyny brano za przejaw szoku, który lada chwila przerodzi się w histerię.

Odwróciła się i popatrzyła na Slatera. Cierpiał wyraźnie, ale nie wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

- Masz jeszcze jakąś ranę? - zapytała rzeczowo.

- Nie - pokręcił głową. - Ale jeszcze minutę temu nie wiedziałem nawet, że zostałem trafiony.

- Ranni najczęściej nie zdają sobie sprawy, że krwawią - zauważyła.

Wargi mężczyzny skrzywiły się w grymasie, który z trudem można by nazwać uśmiechem.

- Twarda jesteś.

- Muszę, jak wszystkie kobiety tutaj - odparła obojętnie.

- One nie są aż takie.

- Zaręczam ci, że nie jestem współniczką tego gangu, bo o to zapewne mnie podejrzewasz - stwierdziła kwaśno.

- Nie, nieprawda - zaprzeczył. Teraz widział wyraźnie, że nie spodziewała się takiego rozwoju wydarzeń. Przecież musiał rzucić ją na ziemię, by uchronić przed kulami. Przerazenie, jakie wzbudził w niej widok martwego szeryfa, nie było udawane. Ta dziewczyna miała zimną krew, ale nie serce. Nie potrafiła patrzeć obojętnie na rany i cierpienie. Ponadto sama pognąła go, by gonił bandytów i uwolnił Amy. Zresztą kobieta tej klasy nie zadawałaby się z ludźmi pokroju Brody'ego. Tego przynajmniej był pewien. A jednak nadal go intrygowała.

W pewnym momencie przez gęstniejący tłum przedarł się jakiś człowiek. Kiedy zobaczył martwe ciało szeryfa, z rozpaczą złapał się za głowę, a potem usiadł na schodkach i schował twarz w dłoniach. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia parę lat i nosił odznakę zastępcy szeryfa.

Na ten widok duch upadł w Victorii. Miała jeszcze nadzieję, że zastępca natychmiast zarządzi pogoń, ale widać było wyraźnie, że ten roztrzęsiony młodzik nie jest zdolny podjąć żadnej decyzji. Zadrżała na samą myśl, co może się stać z jej naiwną, niewinną siostrą.

Czujny wzrok Slatera dostrzegł zmianę w jej twarzy. Chwycił je dłoń zdrową ręką i ścisnął z niepokojem.

- Czyżbyś miała zamiar zemdleć?

- Nie, skądże. Uświadomiłam sobie tylko, jakie to

straszne. Jesteś moją jedyną nadzieją na odnalezienie Amy, a tymczasem nie nadajesz się do niczego.

- Daj spokój, to tylko postrzał. W dodatku w lewą rękę, a ja nie jestem mańkutem.

Uniosła brew z powątpiewaniem, ale nim zdążyła wyrazić własną opinię na ten temat, ciżba rozstała się, by przepuścić lekarza. Szybko klęknął przy szeryfie, na moment ujął go za przegub, po czym odwrócił się ku nim. Na widok Victorii w jego oczach pojawił się dziwny wyraz.

- To znów pani?

Przytaknęła, podtrzymując opaskę na ramieniu ranego. Doktor Bauer delikatnie odsunął jej rękę i uniosł strzep rękawa.

- Dobrze, że zatamowała pani krew - pochwalił i dalej badał ranę. - Nie widzę wylotu - stwierdził.

- Trzeba zanieść go do mnie i wyjąć kulę - stwierdził.

Slater znów zaklął szpetnie. Victoria z niepokojem dostrzegła pot, kropliście występujący mu na czoło.

- Dostałem w ramię, a nie w nogi. Sam pójdę - burknął.

- Daj spokój, nie musisz udawać bohatera - zaoponowała.

- Nie o to chodzi. Będzie mnie mniej bolało.

Na szczęście gabinet znajdował się niedaleko. Przy każdym kroku twarz mężczyzny wykrzywiał grymas bólu, jego palce zaś mocno wbijały się w ramię dziewczyny. Była pewna, że rano będzie miała siniaki. Kiedy wreszcie doszli, z ulgą padł na kozetkę.

- Skoro pani już tu jest, mogłaby pani mi pomóc - poprosił Bauer.

Zgodziła się chętnie. Potrzebowała jakiegoś zajęcia - czegokolwiek, co odciągnęłoby jej myśli od Amy.

- Proszę przemyć ranę - polecił, wskazując gazę, miskę i dzbanek z wodą.

Slater śledził jej poczynania spod przymkniętych powiek, sycząc z bólu. Jeszcze bardziej podejrzliwy stał się na widok doktora zbliżającego się z buteleczką i tamponem z waty.

- Co to jest? - zapytał nieufnie.

- Chloroform. Sprawzi, że nie poczuje pan bólu.

- O, nie. Nie chcę wpaść w czarną dziurę.

- Kapitanie Slater, proszę być rozsądnym. Sondowanie rany jest niezmiernie bolesne.

- Wiem. Wyciągali mi kulę z nogi, kiedy dostałem pod Shiloh, i wtedy musiało mi wystarczyć parę łyków bimbrowu. Jakoś przeżyłem. Chloroform też znam. Kiedyś mi go zaaplikowali i odpłynąłem na kilka godzin, a jak się obudziłem, rzygałem jak kot. Teraz nie mogę sobie pozwolić, żeby tak się wyłączyć.

- A co ma pan pilnego do zrobienia, jeśli wolno spytać? - zagadnął doktor cierpliwym tonem, jakim przemawia się do upartych chłopców czy szaleńców.

- Muszę gonić Sama Brody'ego.

Lekarz i Victoria wymienili spojrzenia.

- Pozwoli pan, że nie będę się wypowiadał na temat konowałów, w których ręce pan trafił. Ze swojej strony mogę zapewnić, że zostanie pan potraktowany z największą dbałością. Proszę mi wierzyć, mam wycucie i zastosuję wyłącznie niezbędną dawkę, po której szybko dojdzie pan do siebie - obiecał Bauer, nasączając wacik płynem. - Panno Stafford, będę potrzebował pani pomocy.

Victoria skinęła głową i stanęła u wezgowia ranego, mocno unieruchamiając mu ramiona. Doktor szybko przyłożył Slaterowi tampon do ust i nosa, tłumiąc jego wściekły bulgot. Po chwili oczy ranego zamknęły się, a ciało opadło bezwładnie. Ostatnim widokiem, jaki zapamiętał, były niebieskie oczy w jasnej twarzy.

- Piękna - wyszeptał i zanurzył się w ciemność.

Doktor Bauer szybko pochwycił skalpel i długą pin-cetę, po czym precyzyjnymi ruchami zaczął sondować ranę. Niemal od razu natrafił na kulę i triumfalnie pokazał ją dziewczynie.

Oboje spojrzeli na uspionego mężczyznę.

- Mówią, że kapitan Slater jest jednym z najlepszych zwiadowców w Teksasie. Jego przybycie wywołało w naszym miasteczku niezłe poruszenie - stwierdził doktor.

- Zapewne chodziło o bandę Brody'ego?

- Właśnie. A wie pani chociaż, kim jest Sam Brody?

- O, to chyba wie każdy w Teksasie. Od lat rabował banki i napadał na dyliżanse, ale dotąd uchodził za nieuchwytnego.

- Zgadza się. Kapitan Slater ścigał go od lat. I złapał przedwczoraj. Właśnie tu, w Santa Clara. - Mężczyzna był wyraźnie dumny z nagłej sławy, jaka spłynęła na jego ciche miasteczko.

Pocziwiec gotów był rozwodzić się nad tym wyjątkowym wydarzeniem, ale Victoria umyła się szybko i tłumacząc się ważnymi sprawami, wybiegła z gabinetu. Trzeba działać, żeby ratować Amy. W pierwszym odruchu chciała pobiec do hotelu i opowiedzieć wszystko pani Childers. Natychmiast jednak porzuciła tę

myśl. Nie miała czasu do stracenia. Należało iść do biura szeryfa.

Zastała tam obu zastępców. Jednego już poznała. Drugi, choć starszy, sprawiał wrażenie równie niezadowolonego i przerażonego. Oprócz tego stało tam kilku mężczyzn z miasta, zastanawiając się nad możliwością wszczęcia pogoni. Na jej widok wszyscy odwrócili głowy i zamilkli jak na komendę.

- Proszę, mówcie, panowie - poprosiła. - Chciałabym usłyszeć, jak zamierzacie odbić Amy.

- Kogo?

- Amy. Jest moją cioteczną siostrą. To ta kobieta, którą porwał Brody.

- Och. - Ich spojrzenia nagle uciekły w bok. Wreszcie odezwał się jakiś starszy mężczyzna.

- Bardzo nam przykro z powodu pani siostry. Zrobimy wszystko, żeby ją znaleźć.

- Wszystko, to znaczy co? Jakie macie plany?

- Hm... pani zapewne nie jest z naszych stron?

- Nie. Jechaliśmy do San Antonio.

- Ale mogłaby pani zawiadomić ojca albo na przykład kogoś z rodziny, kto...

- Owszem, mam zamiar wysłać telegram do ojca i nie wątpię, że pojawi się tu jak najszybciej. Kłopot w tym, że nasze ranczo leży o dwa dni jazdy stąd. A im później ruszy pogoń, tym mniej znajdzie śladów.

- Ma pani stuprocentową rację. Planujemy wyruszyć, kiedy tylko porozumiemy się z kapitanem Slaterem.

- Ze Slaterem? On będzie spał przez parę najbliższych godzin!

- Ale jest jednym z najlepszych zwiadowców. Nie zrobimy niczego, dopóki się z nim nie naradzi-

my. Wszyscy tak uważają. Victoria westchnęła z rezygnacją i bez słowa wyszła z biura. Ponure obawy sprawdziły się. Wiedziała, że te mięczaki nie ruszą się, jeśli nikt ich nie poprowadzi. Tymczasem Slater był w tej chwili niewiele bardziej użyteczny niż martwy szeryf.

Wyglądało na to, że musi ratować Amy na własną rękę.



Kiedy Brody pchnął Amy na ziemię, niezbyt zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. W ułamku sekundy naokoło zaczęły gwizdać kule, a ogłuszający huk otępił jej zmysły, paraliżując strachem. Ciepły, żywy ciężar ciała mężczyzny stał się dla niej jedynym azylem w piekle śmiertelności ognia. Nieraz słyszała huk wystrzałów, ale ta gwałtowna strzelanina była koszmarem doświadczeniem. Miała wrażenie, że trwa całą wieczność, a co gorsza, towarzyszyły jej krzyki rannych ludzi i kwik przerażonych koni. Wróciły kosmary z dzieciństwa, przerażające, pełne nie nazwanych odczuć, kojarzących się z przemocą, śmiercią i zamętami. Miała ochotę krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobył się przez ściśnięte gardło. Strach dławił ją jak upiorny całun.

Gdy ciężar mężczyzny przestał ją przygniatać i chronić zarazem, poczuła się dziwnie naga i wystawiona na niebezpieczeństwo. Nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Nie była w stanie myśleć. Mogła tylko leżeć, czekając na najgorsze.

Kiedy zamęt sięgnął szczytu, mężczyzna schylił się, poderwał ją z ziemi, wrzucił na siodło i sam dosiadł konia. Amy pozwoliła na wszystko. Nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby stawiać opór. Wszystko, co robił ten człowiek, wydawało się konieczne i zbawien-

ne. Groza dawnych wspomnień i obecnych przeżyć zlały się w jej odczuciach w jeden koszmar, w którym ów człowiek jawił się jako jedyny zbawca i łącznik z rzeczywistością. Przez moment była tamtą małą dziewczynką, ukrywającą się w piwnicy, z drzeniem nasłuchującą upiornego wycia Komanczów, błagalnych zaklęć matki i ogłuszającego grzmotu strzałów trzech ludzi, desperacko broniących się w małym domku. Potem słyszała już tylko krzyki, okropne, rozpaczliwe.

Silne ramiona Brody'ego opiekuńczym uściskiem otoczyły jej napięte ciało. Koń skoczył do przodu, unosząc ich spośród zgiełku i huku. Amy przylgnęła do swego zbawcy, kurczowo trzymając się jego koszuli i tuląc twarz do twardej piersi.

Po chwili nie słyszała już strzałów, tylko równy tętent kopyt, z rzadka przerywany urywanymi komentarami. Powoli zaczynała dochodzić do siebie, ale nadal niezdolna była uczynić ruchu ani tym bardziej zwolnić uścisku rąk. Było coś znajomego, kojącego w mieszaninie zapachów, którą wdychała, tuląc się do mężczyzny - potu, końskich derek i tytoniu. Coś, co kazało jej myśleć o dzieciństwie, kiedy obejmowały ją inne silne ramiona, gdy nasłuchiwała równego, silnego bicia czyjegoś serca. Tatuś. Ciepło, bezpieczeństwo i miłość...

I jak kiedyś w ojcu, tak teraz instynktownie szukała oparcia w tym człowieku. Dopiero kiedy strach zaczął mijać, uświadomiła sobie, że porwał ją i oddzielił od Victorii. Nie wiedziała nawet, kim jest ani, tym bardziej, dlaczego zabrał ją ze sobą.

Była wyjątkowo naiwna, nawet jak na czasy, w których ideał stanowiła kobieca niewinność. Od dnia, kie-

dy trafiła na farmę Stafforda, była otoczona czułą opieką i chroniona przed okrutnym światem. Dla drugiej rodziny, pracowników rancza i sąsiadów była nadal dzieckiem, pomimo swych dwudziestu lat. Dzieckiem głupiutkim, naiwnym i wrażliwym, o którym nigdy nie myślano jak o kobiecie. Rzadko oddalała się z bezpiecznego kręgu rancza i niedalekiego miasteczka Bennett, stanowiących jej naturalny, bezpieczny azyl. Nawet twardzi, nieokrzesani kowboje nie pozwalali sobie wobec niej na zaczepki. Była dla nich inna, zbyt dziwna i nieżyciowa. Na zabawach zapraszali ją do tańca wyłącznie starsi panowie, ale nawet oni traktowali ją jako istotę bez płci, przyjmując postawę dobrodusznym wujaszków. Nie zdarzyło się, by mężczyźni próbowali z nią flirtować. Nie rzucali w jej stronę znaczących spojrzeń, nie odwracali się, by śledzić ją wzrokiem. Takie zachowania rezerwowali dla Victorii i Amy nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby być podobnie pożądana.

Lubiła zwierzęta i wiedziała o nich zbyt dużo, by nie orientować się, jak i dlaczego przychodzą na świat młode. Często zastanawiała się, czy podobnie jest z ludźmi, jednak nie była pewna. Kiedyś zagadnęła o to panią Doherty, ale gospodyni spojrzała na nią z taką zgrozą, że Amy raz na zawsze odechciało się pytań. Najwidoczniej było w tym coś dziwnego i strasznego, o czym nie należało mówić głośno. Odtąd, choć dręczyła ją ciekawość, jak mają się sprawy pomiędzy mężczyzną a kobietą, nie próbowała tego dociekać, milcząco godząc się z rolą głupiutkiego dziecka, które nie powinno się wtrącać w sprawy dorosłych.

Dlatego, w przeciwieństwie do siostry, nie dręczył

jej lęk przed gwałcicielami z gangu Brody'ego. Zastanawiała się tylko, dlaczego ten mężczyzna wziął ją z sobą.

Podobne pytanie zadawał sobie Sam Brody. Zabierając Amy, działał pod wpływem impulsu. Wiedział jedynie, że musi mieć przy sobie tę kobietę. Teraz jednak, kiedy jego umysł zaczął chłodno rozważać sytuację, uznał, że postąpił bezsensownie. Ta krucha, delikatna istota opóźni ucieczkę. Nie wytrzyma przecież szaleńczej jazdy przez teksańskie bezdroża. Zaraz zacznie płakać, błagać o litość albo szarpać się i krzyczeć, z nadzieją czekając, aż doścignie ich jej tatuś, braciszek albo mąż. To gorsze niż pogoń zorganizowana przez szeryfa. Będą go ścigać do upadłego, gotowi na wszystko.

Powinien zostawić ją tu, na środku drogi. Kiedy by ją znaleźli, część musiałaby wrócić z nią do San Antonio, co osłabiłoby ich siły.

Tak właśnie by zrobił - gdyby był mądry.

Ale spryt i chłodna kalkulacja nie miały szans wobec słodkiego ciepła, które przepełniało mu pierś, kiedy tulił do siebie tę dziewczynę. Przyłgnęła do niego ufnie, jakby znała go od dawna. Miała prawo być wściekła albo śmiertelnie wystraszona - ale nie wyczuwał w niej żadnego z tych uczuć. Jakby wiedziała, że należy do niego.

I naprawdę będzie do niego należała. Żaden szeryf, żaden tropiciel, żadna rodzina ani banda ochotników z miasteczka nie odbierze mu jej. Był gotów na śmierć, ale zawsze istniała szansa. Ktoś, kto tak jak on był dzieckiem nędzy z Nowego Orleanu, wiedział, jak wygrywa się w potyczkach z losem. Zwłaszcza kiedy nagrodą jest piękna księżniczka.

Niechętnie myślał o wypuszczeniu jej z ramion choć na chwilę. Tym razem jednak głos rozsądku przeważył. Jimmy oberwał w potyczce i coraz częściej chwiał się na koniu. Należało go opatrzyć. A tę kobietę trzeba wsadzić na luzaka, którego Pardonowi cudem udało się zabrać. Jego własny koń zaczynał się męczyć niosąc podwójny ciężar, choć dziewczyna ważyła niewiele.

Brody westchnął i ściągnął wodze, dając znak pozostałym. Galopowali nieprzerwanie od Santa Clara i z ulgą powitali możliwość odpoczynku.

- Teraz cię zsadzę - szepnął łagodnie do Amy. Spojrzała na niego i przytaknęła posłusznie. Pomógł jej zsunąć się na ziemię. Miał dziwne uczucie, że niechętnie uwalnia się z jego ramion.

Dziewczyna rozejrzała się wokół, odgarniając z twarzy zwichrzone kosmyki włosów. Poza mężczyzną, który ją wiozł, było jeszcze trzech innych. Jeden z nich prowadził zapasowego konia. Wierzchowce były spienione, a ludzie pokryci kurzem i zmęczeni. Wyglądali na twardych, zdecydowanych na wszystko zabijaków. Jeden trzymał się za ramię. Dostrzegła krew, przesączającą się między palcami.

Widząc ich spojrzenia, po raz pierwszy poczuła lęk. Nadal nie wiedziała, czemu zabrali ją z sobą, ale teraz ogarnęły ją złe przecucia. Obejrzała się na smagłego mężczyznę, który zsiadł z konia i stanął za nią. Jemu jednemu ufała i instynktownie przysunęła się do niego. Nie przerażały jej ostre rysy jego twarzy ani nieprzenikniony, zimny wzrok. Zbyt dobrze pamiętała, jak własnym ciałem osłaniał ją przed kulami.

- No, Brody - jeden z mężczyzn postąpił krok ku nim, bezczelnie taksując Amy wzrokiem. - Główka

pracuje, jak zwykle. Nie dość, że wyciągnąłeś nas z kotła, to jeszcze nie zapomniałeś o laleczce do zabawy! - zaśmiał się chrapliwie.

Brody jednym ruchem stanął przed swoją branką, zasłaniając przed nachalnym kompanem. Nie tknął broni, ale samo spojrzenie wystarczyło, by zabijaka cofnął się, speszony.

- Ona jest moja - oznajmił zimno Sam, czekając, czy któryś się sprzeciwi. Żaden jednak nie miał ochoty na dyskusję. - Zrozumiałeś, Purdon?

Mężczyzna zagryzł wargi z wściekłości i upokorzenia. Nie znosił, kiedy Brody poniżał go wobec kumpli.

- Dobra, szefie, ja tylko żartowałem - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- Więcej tego nie rób. - Kiedy indziej Sam dałby Purdonowi odprawę, na jaką zasługiwał. Trzymał swoich ludzi żelazną ręką, nie pozwalając im ani na chwilę zapomnieć, kto tu rządzi. To między innymi zapewniało jego bandzie sukcesy. Teraz jednak nie chciał ryzykować i przywoływać Purdona do porządku. Spojrzenia, jakie ten drań rzucał na Amy, doprowadzały go do białej gorączki. Bał się, że sprowokowany, może go zabić. Nigdy przedtem nie czuł tak silnego instynktu posiadania wobec kobiety.

Jego zastępca wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie, udając obojętność. W rzeczywistości upokorzenie wycisnęło palące piętno na jego męskiej ambicji. Nie był jednak na tyle szalony, by otwarcie przeciwstawić się hersztowi.

Brody wyraźnie się odprężył i skinał w kierunku mężczyzny ze zranionym ramieniem.

- Mocno dostałeś, Jimmy? - spytał z szorstką troską.

- Tak, ale kula przeszła na wylot.

- Dobrze i to. Ominie cię dłubanie w mięsie - powiedział Sam i zbliżył się, by obejrzeć ranę. Kiedy ściągał rannemu koszulę, twarz młodego człowieka zbladła i pokryła się potem. Brody kazał mu usiąść na skale i zaczął odrywać rękaw własnej koszuli. W tym momencie poczuł na ramieniu lekkie dotknięcie kobiecej ręki. Obejrzał się, zaskoczony, i zobaczył Amy podającą mu długi pas czystego, białego materiału. Zrozumiał, że oderwała rąbek swojej halki. Ta dziewczyna ciągle go zdumiewała. Przecież dla niej byłoby lepiej, gdyby jeden z nich osłabł, zwalniając tempo ucieczki. Dlaczego więc pomagała Jimmy'emu?

Wziął z jej rąk płótno, rozdarł na pół i wprawnie zbandażował ranę. Prawdę mówiąc, wyglądała paskudnie i wątpił, czy Jimmy wytrzyma dalszą jazdę.

- Dobrze, a teraz załatwimy się z tym - zdecydował, wstając i potrząsając okowami.

Niestety, brakowało im narzędzi, by rozciąć ogniwa. Sam rozpostarł naprężony łańcuch na skale i kazał jednemu z ludzi przestrzelić go. Amy obserwowała z przerażeniem te niebezpieczne poczynania. Wystarczył rykoszet, by straciła swego jedyne go obrońcę. Słyszając huk, drgnęła i przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, wydała westchnienie ulgi, widząc, jak ciemnowłosa mężczyzna wstaje z klęczek, a z jego rąk zwisają luino końce łańcucha.

- W porządku, teraz zabieramy się stąd, i to szybko - rzucił. Ktoś podał mu rewolwer. Wsadził go w olstro i skinał na dziewczynę.

- Jedziesz z nami - nakazał krótko.

Skinęła głową bez słowa sprzeciwu. Nie wyobrażała sobie, że mogłoby być inaczej. Gdyby ją zostawili tu, na drodze, nie wiedziałyby nawet, gdzie się znajduje. Nie miała konia, wody ani żywności. Victoria na pewno dałaby sobie radę w takiej sytuacji, ale nie ona.

Sam popatrzył na nią. Odpowiedziała mu jasnym, ufnym spojrzeniem błękitnych oczu. Miał wrażenie, że tonie w ich słodkiej głębi. Jak mogła tak patrzeć na niego, na zbira, który ją porwał?

Wiatr zwiął jej z głowy czepek, który trzymał się teraz na wstążkach, zawiązanych pod szyją. Miękkie jasne włosy wiły się wokół szczupłej twarzyczki w uroczym nieładzie. Brody nie mógł się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie odsunąć z czoła jedwabistego pasma. Najchętniej ująłby tę jasną główkę w dłoń i przycisnął do piersi.

Amy dojrzała błysk w jego oku. Z wrażenia zaparło jej dech. Patrzył na nią tak, jak inni mężczyźni patrzyli na Victorie, tylko jeszcze bardziej otwarcie i namiętnie. Nigdy dotąd żaden mężczyzna tak na nią nie spojrział! Ogarnęła ją fala nagłego gorąca. Jakież to było dziwne - trochę przerażające i ekscytujące zarazem.

Brody nasunął jej czepek na głowę, drżąc, gdy jego palce muskały miękkie sploty. Blade policzki dziewczyny zabarwił gorący rumieniec. Wstydliwie opuściła wzrok, ciaśniej zawiązując wstążki.

- Dam ci konia, który został po Franku - powiedział, wskazując na luzaka. - Umiesz jeździć?

- O, tak. - Jazda konna była jedyną rzeczą, w której Amy mogła dorównać innym.

Mężczyzna nie wydawał się przekonany. Dbał, by jego ludzie mieli najlepsze konie, ale ogier, którego kiedyś dosiadał Landers, mógł się wydawać dziką bestią w porównaniu z łagodną klaczką, na której zapewne jeździła ta panienka. Nie miał jednak wyjścia. Będzie musiał jechać obok niej i uważać.

Amy powoli podeszła do wielkiego gniadosza i przemówiła łagodnie do nieufnego zwierzęcia, gładząc je po chrapach.

- Jak on ma na imię? - zapytała, odwracając się z uśmiechem do Sama.

- Kto?

- Ten koń.

Brody uniósł brwi, zdumiony. W takiej chwili ona dopytuje się, jak ma na imię jakaś szkapa? Ale rozbroiła go i uśmiechnął się mimo woli.

- Nie mam pojęcia. Pewnie zapomniano mu je dać.

- On musi mieć imię. Wymyślę coś.

- Dobrze - powiedział Sam, marząc, by ucałować czubek jej zgrabnego noska, a potem oczy, policzki i te słodkie, och, jak słodkie usta. Powiódł końcem języka po wargach i szybko odwrócił wzrok, by nie zdradzić swoich pragnień. Dopiero łagodny głosik przywrócił go do rzeczywistości.

- Przepraszam, czy możesz mnie podsadzić?

- Co takiego? Ach... - Ujął wodze i podstawił jej dłoń. Nie nawykł do przejażdżek z damami.

Lekko wskoczyła na siodło i wprawnym ruchem zebrała cugle. Sam dosiadł konia i ruszył, wysuwając się na czoło. Amy jechała tuż za nim.

Victoria pospieszyła do biura pocztowego i nadała telegram, po czym zaczęła zastanawiać się nad dalszymi krokami. Nie miała zamiaru tracić cennego czasu, czekając na przybycie ojca.

Wiedziała, że musi coś zrobić, ale nie miała żadnego pomysłu. Może należało kupić konia i wrócić do Austin, by tam wynająć ludzi do pogoni? Ale to zwiększyłoby tylko opóźnienie. Mogła też ścigać Brody'ego sama. Wiedziała, że podoła trudom jazdy, a strzelać potrafiła nie gorzej od mężczyzn, choć nigdy nie zdarzyło się jej celować do człowieka. Cóż, kiedy nie miała najmniejszego doświadczenia w tropieniu. Poza tym występowanie w pojedynkę przeciwko bandzie gotowych na wszystko zbirów było szaleństwem.

Co jej zatem pozostało? Slater? Powiedział, że ruszy w pościg za Brodym, gdy tylko doktor wyjmie mu kulę. Ale czy byłby w stanie to zrobić? Osłabł i stracił wiele krwi. Z drugiej strony, zwiadowcy tacy jak on ulepieni są z twardszej gliny niż większość ludzi. Ponadto czuła w nim zjadły upór gończego psa, gotowego ścigać zwierzynę do upadłego. Jeśli ktoś zdolny był odnaleźć Brody'ego i odbić Amy, to tylko on. Tego była pewna. Minie jednak trochę czasu, nim Slater zdoła stanąć na nogi. Postanowiła wykorzystać ten czas na załatwienie niezbędnych spraw. Najważniejszą był zakup konia. Musi być gotowa, kiedy ruszy pościg.

U miejscowego handlarza uważnie obejrzała zwierzęta. Okazały się wyjątkowo mizerne. W grę wchodził tylko jeden wałach, który sprawiał wrażenie na tyle energicznego i mocnego, by mógł wytrzymać trudy forsownej jazdy. Właściciel żądał za niego nedorzecznie wysokiej sumy, ale w tej sytuacji nie mogła się tar-

gować. Nabyła konia razem z siodłem i uzdą, wydawszy prawie wszystkie pieniądze, które dostały od ojca na pobyt w San Antonio. Na szczęście, niewiele więcej pozostało już do kupienia. Jedynie derka do spania, żelazna racja żywności i strzelba z zapasem naboju. Co prawda miała w swoim bagażu pistolet, ale życie na ranczu nauczyło ją, że prawdziwe poczucie bezpieczeństwa daje dopiero długa broń.

Kiedy wróciła do hotelu, nieszczęsna pani Childers była już niemal w stanie hysterii z powodu przedłużającej się nieobecności podopiecznych. Wyjaśnienia Victorii wywołały kolejny potok łez i ostre spazmy. Jednak dziewczyna nie zamierzała tracić czasu na uspokajanie swojej przyzwoitki i nie przyjmowała do wiadomości żadnych zakazów ani błagań. Wyjęła po prostu pistolet z torby, naładowała strzelbę, zrolowała koc i spakowała żywność. Pozostało jedynie przygotować strój jeździecki. Odszukała w kufrze swoje spódnico-spodnie i przez moment zastanawiała się nad koszulową bluzką o intensywnie niebieskiej barwie. Kolor doskonale pasował do jej oczu i ciemnych włosów. Uśmiechnęła się. Było to o niebo lepsze niż skromne podrózne ubranie. Nagle zdała sobie sprawę, że pragnie podobać się temu mężczyźnie, i zganiła się ostro. Jak można w takim momencie pozwalać sobie na kobiecą próżność? Zdecydowanym ruchem odłożyła bluzkę i postanowiła przejść się do doktora, by zobaczyć, jak czuje się Slater.

Bauer rozpromienił się na jej widok.

- Pewnie jest pani ciekawa, jak się miewa nasz pacjent, co? - zapytał z uśmiechem. - No cóż, mam nadzieję, że może pani zdoła przemówić mu do rozumu.

- Czyżby już się obudził?

- O, tak. Całkowicie. I pytał o panią - dodał znacząco lekarz.

Szybko przeszła do drugiego pokoiku. Spodziewała się, że Slater leży jeszcze w łóżku, tymczasem zastała go na nogach, choć stał nieco chwiejnie. Spojrzał na nią, mrużąc oczy, jakby miał trudności ze skoncentrowaniem wzroku.

- To ty - stwierdził tonem, w którym było wszystko oprócz radości.

- Tak. Widzę, że wstałeś.

- Bystra jesteś - mruknął. - Nie dość, że wstałem, to jeszcze pozbyłem się zbędnych resztek z żołądka.

- Spojrzał na nią z wyraźną wrogością. - Zawdzięczam tę przyjemność tobie i temu konowałowi.

- Oszczędź sobie wyrazów wdzięczności. Nie liczyłam, że podziękujesz nam za ocalenie twojej cennej skóry.

- Boże, za co mnie każesz?! - Slater boleściwie złapał się za głowę. - Gdyby posłuchać ciebie i Bauera, można by pomyśleć, że mając kulkę w ramieniu, byłem o krok od spotkania z kostuchą. Przyjmij do wiadomości, moja pani, że zwiadowcy mają twarde życie. Twoja zaszczytna rola ograniczyła się do zabandażowania mnie i podsunęcia mi tego paskudztwa, które narobiło w mojej głowie zamętu nie gorszego niż podczas oblężenia Vicksburga.

Victoria zacisnęła pięści, przywołując na pomoc wszystkie zasady dobrego wychowania, jakie jej wpojono. Co za gbur i cham! Gdyby nie potrzebowała go tak bardzo, nauczyłaby go moresu. Zamiast tego zapytała z lodowatym spokojem:

- Czy nadal masz zamiar ścigać Brody'ego?

- Oczywiście.

- Och, to naprawdę świetna myśl - odezwał się od drzwi doktor Bauer. - Ten człowiek jest zupełnie szalony, mówię pani. Usiłowałem mu wytłumaczyć, że nie musi zaraz wskakiwać na konia, bo chłopcy z miasteczka już organizują pogoń, ale nawet nie chciał o tym słyszeć.

Zwiadowca wydał pogardliwe chrząknięcie, doskonale wyrażające jego opinię o miejscowych zuchach.

- Obawiam się, że kapitan Slater ma rację - poparła go niespodziewanie Victoria. - Rozmawiałam z zastępcą szeryfa i wątpię, czy on i jego ludzie mają w ogóle pojęcie o tropieniu.

Slater zerknął na nią, zaskoczony i rozbawiony razem.

- Chyba nie chce pani powiedzieć, że on powinien ścigać tę bandę! - oburzył się doktor.

- Właściwie nie powinien. Stracił wiele krwi i ciągle jeszcze odczuwa skutki chloroformu, ale...

- Ale co?

- Ale nikt poza nim nie jest w stanie podołać temu zadaniu. A przecież ktoś musi ratować Amy! - wykrzyknęła z przejęciem. - Jej życie jest w niebezpieczeństwie.

Bauer spoglądał bezradnie to na jedno, to na drugie.

- Ona ma rację, doktorze - powiedział zwiadowca beznamytnym tonem. - Tylko ja mogę to zrobić.

- Pan jest za słaby, by dosiadać konia!

- Dlatego ja z nim pojedę - oświadczyła Victoria.

- Co?! - wykrzyknęli jednocześnie, patrząc na nią w osłupieniu.

- Panno Stafford, pani chyba żartuje?!

- Zwariowałaś!

Victoria ze spokojem przyjęła te okrzyki, przyzwyczajona do podobnych reakcji mężczyzn, którzy jej nie znali.

- Kiedy wyruszasz? - zapytała rzeczowo Slatera.

- Jutro rano?

- Jeszcze dzisiaj, gdy tylko miną mi zawroty głowy. Zresztą, to już nie twoja sprawa.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, ale powstrzymała się od komentarzy. Nie było sensu się spierać.

- Dobrze, zaraz będę gotowa.

- Ty nie pojedziesz.

- Pojadę.

- Nie ma mowy! Boże, za jakie grzechy zesłałeś na mnie tę babę...

- Zgadzam się, że panna Stafford nie powinna jechać - poparł go doktor Bauer. - A panu radzę odczekać jeszcze dzień czy dwa.

- Nie mogę - warknął Slater przez zęby. - Jadę dzisiaj i jadę sam.

- Jak to, przecież musi pan wziąć ze sobą uzbrojonych ludzi. Słyszałem, że kilku się szykuje.

- W tej waszej miejscinie nie ma ani jednego tak zwanego mężczyzny, którego chciałbym wziąć ze sobą. Lepiej poradzę sobie bez nich.

- Ciekawe - Victoria kpiąco pokręciła głową. - I ja mam powierzyć życie Amy człowiekowi/który nawet nie jest w stanie przejść prosto kilku kroków, nie mówiąc o tym, że nie włada jedną ręką?

- Nie muszę chodzić, tylko jechać. A chloroform zaraz ze mnie wywietrzeje. Poradzę sobie.

- Uhm... Jedną ręką osiodłasz konia, rozpalisz ogień, ściągniesz buty, zrolujesz koc. I ciekawe, co zrobisz z wodzami, kiedy będziesz musiał strzelać z konia.

- W każdym razie będę spał w butach.

- Tak, i umrzesz w butach. Bardzo zaszczytny koniec - szydziła.

Slater ruszył do wyjścia, rzucając jej mordercze spojrzenie.

- Zostaniesz tutaj - warknął.

Spojrzała na niego niewinnie i pokręciła głową. Gwałtownie szarpnął klamkę i wypadł na ulicę. Oszczędził sobie tylko trzaśnięcia drzwiami.

Doktor westchnął ciężko.

- Cóż, zrobiła pani, co mogła. Nawet się dziwiłem, skąd te szalone zamiary, ale teraz rozumiem. Chciała mu pani uświadomić, jak bzdurny jest pomysł, żeby...

- Swoje zamiary traktuję najzupełniej poważnie - ucięła, idąc do drzwi. - Pan Slater łudzi się, że pojedzie sam, ale czeka go rozczarowanie - powiedziała do osłupiałego Bauera.

W hotelu nie traciła czasu. Szybko przebrała się, tym razem bez wahania sięgając po niebieską bluzkę. Zostawiła część pieniędzy pani Childers, licząc, że później zajmie się nią ojciec. Swoją zwitek banknotów włożyła do woreczka schowanego pod paskiem. Ustaliła jeszcze z właścicielem hotelu, że sprowadzi kogoś do opieki nad chorą, a potem wróciła na górę, by się pożegnać.

Jak było do przewidzenia, nieszczęsna kobieta znów wybuchnęła płaczem i błagała Victorie, by się opamiętała. Dziewczyna wzięła bagaż i wyszła szybko, by

przerwać ten nie kończący się potok ostrzeżeń i przykazań.

Kiedy zjawiła się w stajni, Slater właśnie wyprowadzał konia. Na jej widok zatrzymał się gwałtownie.

- Co tu robisz? Chyba wyraziłem się wystarczająco jasno?

- Owszem - wzruszyła ramionami. - Ale żyjemy w wolnym kraju, a drogi należą do wszystkich. Nie zabronisz mi podróży.

Mężczyzna odprowadził ją wzrokiem, gdy szła do boksu po konia. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, w skromnej brązowej sukni, pomyślał, że wygląda ślicznie. Ale dopiero teraz jej uroda ujawniła się w całej pełni. Wąska jeździecka spódnica ponętnie opinała biodra, a szeroki skórzany pas podkreślał wąską talię. Strome piersi ostro rysowały się pod niebieską bluzką, która pogłębiała barwę jej oczu. Był pewien, że ta piękność dobrze wiedziała, jakie wrażenie wywiera na mężczyznach, zwłaszcza w tym stroju. Z irytacją poczuł, że zbiera w nim fala pożądania.

- Nie pojedziesz - powiedział twardo, jednocześnie z podziwem patrząc, jak sprawnie i szybko siodła konia.

Dociągając popręg, odwróciła się ku niemu z wyzywającym uśmiechem.

- A jak masz zamiar mnie zatrzymać? Zaareztujesz mnie? Czy może zastrzelisz?

- Nie będę na ciebie czekał. I nie licz na moją pomoc. Rozumiesz? Jedziesz na własną odpowiedzialność.

Zaśmiała się i zgrabnie wskoczyła na konia. Rozdrażniony, dosiadł swojego - i o mało nie spadł. Nagły

ruch wywołał falę mdłości. Ciemne plamy zawirowały mu przed oczami. Kurczowo uchwycił się kulbaki, czekając, aż minie słabość. Gdy tylko poczuł się lepiej, gwałtownie wbił ostrogi w boki wierzchowca.

Victoria ruszyła za nim, trzymając się w odległości kilku metrów.



Brody prowadził swoją grupę na północ, przez bezdroża z rzadka porośnięte suchymi krzewami, unikając szlaku. Przez dłuższy czas posuwali się kamienistym korytem wyschniętego strumienia, gdzie podkowy nie zostawiały śladów. Poza tym jednak nie czynił specjalnych starań, by zatrzeć trop.

Kiedy Purdon wreszcie ośmielił się go o to zagadnąć, wzruszył ramionami.

- Widziałem, jak Slater dostał, ale pewnie szybko się z tego wylize. To twardy kawał sk... - urwał, zerknąwszy na Amy. - Jest twardy i szybko ruszy za nami w pogoń - kontynuował. - Wie, że skierujemy się w górzyste strony, więc nie ma sensu udawać, iż jest inaczej. Dopiero kiedy będziemy bliżej kryjówki, zaczniemy się martwić, jak go zgubić.

Purdon spojrzał na niego spod w półprzymkniętych powiek. Co się działo z tym cholernym Brodym? Połknął przekleństwo tylko dlatego, że ta dziewczyna słuchała? Nie do wiary! Zawsze był ostry dla bab, a teraz ten błady kwiatusek zupełnie zawrócił mu w głowie. Bardzo mu się to nie podobało, zwłaszcza że uważał się za prawą rękę szefa. Kto w końcu zebrał ludzi rozproszonych po napadzie na bank i wprowadził w życie plan ucieczki, jeśli nie on? A Brody, zamiast mu podziękować, upokorzył go wobec ludzi z powodu byle dziewczki.

Z zaciekawieniem popatrzył na Amy, zastanawiając się, kiedy herszt wreszcie się opamięta. Uśmiechnął się skrycie. Po raz pierwszy tego faceta naprawdę wzięło. I to z powodu jakiejś chudej kotki, która pewnie będzie krzyczeć i płakać, kiedy chłop weźmie ją w obroty. Na ile zna szefa, to pewnie będzie miał jej dosyć po jednej nocy. I dobrze, niech ją wreszcie zostawi. Uśmiechnął się oblesnie. Kto wie, może puści ją w obieg, a on, Purdon będzie pierwszy... Wtedy się odegra.

Sam dostrzegł ten uśmiech i spojrzenie. Ogarnęła go wściekła, zaborcza zazdrość. Pośle tego bydlaka do piekła, jeśli tylko dotknie Amy! Nie mógł znieść, kiedy tamten na nią patrzył. W ogóle nie mógł znieść, kiedy mężczyźni na nią patrzyli. Ale wiedział, jak trudno było oderwać od niej wzrok. Jechała na koniu po męsku, co sprawiało, że spódnica, podsuwając się do góry, odsłaniała kształtne łydki w cienkich pończochach. Sam bez przerwy zerkał na te nogi, marząc, by ich dotykać, by sunąć dłonią ku górze, tam gdzie przebłyskiwały białe koronki, a potem odpiąć podwiązkę, zsunąć pończochę i...

Gwałtownie wyprostował się w siodle. Musi przegnać te myśli, bo doprowadzą go do szaleństwa. Jeszcze zdąży się przekonać, jak gładka i ciepła jest jej skóra. Znów ogarnęło go niepowstrzymane pożądanie, przenikając dreszczem uda, pierś, wreszcie całe ciało.

Ponownie zerknął na Amy, zastanawiając się, czy wyczuwa jego pożądliwe myśli. Nie sprawiała takiego wrażenia. Siedziała swobodnie na koniu, rozglądając się wokół pełnym zachwytu wzrokiem, jakby przejazdka sprawiała jej wielką przyjemność. Znakomicie dawała sobie radę z narowistym ogierem Landersa i wca-

le nie wyglądała na zmęczoną. Po prostu jechała sobie bez troski, nieświadoma męskich spojrzeń.

Ale nie domyślał się całej prawdy. Rzeczywiście, Amy miała cudowną umiejętność cieszenia się chwilą i odsuwania od siebie trosk o przyszłość. Cieszyła ją jazda, ciekawiły nowe okolice. Nie bała się. Wiedziała z niezachwianą pewnością, że Victoria i wujek Edward odnajdą ją wcześniej czy później. A na razie czuła się bezpieczna pod opieką jadącego obok mężczyzny.

Wbrew temu jednak, co przypuszczał Sam, doskonale zdawała sobie sprawę, w jaki sposób na nią patrzy. Wyczuwała też zainteresowanie pozostałych mężczyzn, ale ono się nie liczyło. Tylko spojrzenie ciemnych oczu tego człowieka wywoływało dziwny zamęt w jej myślach.

Patrzył na nią jak na kobietę. Nie jak na dziecko albo „nawiedzoną”. I po raz pierwszy Amy poczuła się kobietą. Znów zaczęła się zastanawiać, co może dziać się pomiędzy dwojgiem ludzi. Z całą pewnością wiedziała tylko, że się całują. Nieraz słyszała, jak dziewczyny chichocząc szeptały o tym po kątach. Co by czuła, gdyby pocałował ją mężczyzna? Nie „jakiś” mężczyzna, tylko ten, którego palące spojrzenie zmuszało ją do spuszczenia oczu. Szorstki zarost mógłby drapać, ale wargi...

Ukradkiem przyjrzała się jego ustom. Były wyraziście, lecz twarde. Czy stałyby się miękkie? Och, to bez sensu, przecież nawet nie wie, czy chciałby ją całować. To tylko domysły, wynikłe z nadziei, że skoro dostrzegł w niej kobietę, to zapragnął jej tak, jak inni mężczyźni pragnęli Victorii.

Nieświadomie przygryzła wargę, zmagając się z za-

mętem nowych, dziwnie grzesznych myśli. Przecież musi być coś więcej niż całowanie. Co robiłyby jego ręce, kiedy dotknąłby ustami jej ust? A co ona by robiła? Musiało być coś o wiele ważniejszego, o czym nikt nigdy nie chciał jej powiedzieć - nawet Victoria. Uważali, że nie powinna wiedzieć, że nigdy jej to nie będzie potrzebne, bo nie jest normalna.

Ale ten mężczyzna tak nie uważał. Nawet o tym nie wiedział. I pragnął jej.

Zapadał już zmrok, gdy przecięli koryto płytkiej rzeki. Konie z coraz większą trudnością wyszukiwały drogę w skalistym terenie. Wreszcie Brody zarządził postój. Amy z westchnieniem ulgi zsunęła się z siodła. Bardzo lubiła konne wyprawy, ale tak długa jazda w zwykłej spódnicy i pończochach nie należała do przyjemności. Obtarta wewnętrzna strona łydek piekła boleśnie. Amy obejrzała dziury w pończochach i zafrasowana pokręciła głową.

- Pani Doherty będzie na mnie zła. Stale mi wymawia, że niszczę pończochy - powiedziała, odwracając się do Sama. Zobaczyła, że patrzy na nią z dziwną miną, i natychmiast się zawstydziła. Jak zwykle powiedziała coś głupiego. Teraz ten człowiek domyśli się, że nie jest normalna i przestanie traktować ją jak kobietę. Zawstydzona, obciągnęła spódnicę.

- Przepraszam - wyjąkała.

- Za co?

- Za wszystko.

Uśmiechnął się, choć mięśnie jego twarzy nie nawykły do takiego odruchu. Widać rzadko się na niego zdobywał. Ale ta dziewczyna wywoływała w nim reakcje, o jakie nigdy by siebie nie podejrzewał. Była tak

piękna i kobieca, że pragnął jej aż do bólu, a jednocześnie było w niej coś z niewinności dziecka. Niemożliwe, by była mężatką. Z drugiej strony, wydawało się niepojęte, że żaden mężczyzna nie dostrzegł dotąd tak cudownej istoty. Sam delikatnie ujął jej dłoń i zaczął oglądać ją ze wzruszeniem.

Jego dotknięcie całkowicie zaskoczyło Amy. Ręka mężczyzny był duża i silna. Szorstki dotyk wywołał niespodziewane mrowienie w jej gładkiej skórze.

- Nie jesteś mężatką - stwierdził, gładząc kciukiem wnętrze jej dłoni.

Z rozbawieniem pokręciła głową. Pieszczota sprawiła jej przyjemność. Nagle drgnęła, bo jego palec dotknął obolałego miejsca.

- Co się stało? - zaniepokoił się Brody.

- Och, nic takiego. Nie jestem przyzwyczajona do jazdy bez rękawiczek. Wodze są twarde i zrobił mi się pęcherz.

Obejrzał dokładnie jej dłonie i z niepokojem popatrzył na obtarte miejsca. Nie chciał, by ta delikatna istota cierpiała ból.

- Nie mam rękawiczek dla ciebie.

- Przyzwyczaję się, a skóra stwardnieje.

- Nie. Na pewno coś wymyślę - powiedział, niechętnie puszczając jej rękę. Musiał wydać polecenia swoim ludziom.

Jimmy siedział bezwładnie oparty o skałę, z bladą twarzą i przymkniętymi oczami, obojętny na wszystko. Grimes i Purdon stali, gapiąc się na nich.

- Jeśli nie masz zamiaru dać nam tej laleczki do zabawy, to niech chociaż coś ugotuje - stwierdził kwaśno ten ostatni.

- Zrobi wszystko, co ja jej każę - odparł zimno Brody.

- Ale ja nie potrafię. Nigdy nie gotowałam na ognisku - spieszyła się Amy. Czy po to wziął ją ze sobą? Żeby gotowała i obsługiwała ich? Jeśli tak, zostawi ją, kiedy zobaczy, że do niczego się nie nadaje. Na myśl o tym ogarnęło ją przerażenie. Nerwowo zaczęła się zastanawiać, w czym może być przydatna.

- Za to znam się dobrze na koniach. Mogę pomóc - zaproponowała skwapliwie i szybko podeszła do swego wierzchowca. Rozpięła popręg, ale kiedy zaczęła ściągać siodło, zatoczyła się pod jego ciężarem. Przyzwyczajona była do lekkich, damskich siodeł. Sam podbiegł i wyjął jej z rąk brzemię. Spojrzała na niego rozszerzonymi lękiem oczami.

- Dam sobie radę - wyjąkała. - Muszę tylko stanąć na skale albo na czymś wysokim. A może są inne rzeczy do zrobienia?

Grimes i Purdon zachichotali kpiąco.

- Gratulacje, Brody. Nie dość, że ładna, to jeszcze głupia. W sam raz kobita dla ciebie. I dobrze cię obsłuży - rechotali.

Amy zaczerwieniła się po uszy i wbiła wzrok w ziemię. Czemu nie trzymała języka za zębami? Znowu powiedziała jakieś głupstwo. Nigdy nie mogła pojąć tego, co dla innych było oczywiste.

- Stulcie pyski! - ostry głos Brody'ego ciął jak bicz. Zbliżył się do mężczyzn, powoli i groźnie.

- Może nie wyraziłem się dość jasno? - wycedził.
- Ona należy do mnie, a to oznacza, że nie macie prawa powiedzieć na nią ani słowa. Zrozumiano?

Wbił okrutne spojrzenie czarnych oczu w Purdona,

aż tamten cofnął się, jakby popatrzył w śmiercionośną lufę colta.

- Dobra, nie denerwuj się. Tak sobie tylko żartowałem - wykrztusił.

- No, myślę - powiedział cicho Brody. - Najwyższy czas zająć się końmi, przegryźć coś i iść spać.

- Jasne - przytaknął z ulgą Grimes. Szybko rozsiodłali wierzchowce i puścili je wolno. Grimes wyjął z juków zapas suszonego mięsa i rozdzielił go między wszystkich.

Brody kazał Amy, by usiadła pod skałą, i przyniósł bukłak z wodą do popicia. Usłuchała potulnie, choć jego głos stracił już ostry, okrutny ton, którego się bała. Sam usiadł obok niej i podał jej suchy, słony pasek pemikanu.

- Nie musisz gotować - odezwał się łagodnie. - I tak nie rozpalilibyśmy ognia, bo mógłby się ściagnąć pogon.

- Tak, rozumiem. Nie pomyślałam o tym - prze-rwała i zmieszana zaczęła oglądać swoje dłonie. - On miał rację... Nie jestem zbyt mądra.

Brody zmarszczył gniewnie brwi.

- Purdon to idiota. On wcale tak nie myślał, tylko chciał odegrać się za to, że go ostro ustawiłem.

Zaczęła się uśmiechać, jak zwykle szybko odzyskując pogodny nastrój.

- W takim razie on jest jeszcze bardziej głupi niż ja - stwierdziła.

Brody spojrział na nią, zaskoczony, po czym również się uśmiechnął.

- O, nie, moja pani. To nieprawda - zaprzeczył żywo. - Nie jesteś głupia. Jesteś po prostu inna. Ale co

w tym złego? To nudne, kiedy się jest takim samym jak wszyscy.

Nie mógł się powstrzymać. Wyciągnął rękę i powiódł palcem po jej gładkim policzku. Na tle jasnej skóry ten palec wydawał się niemal czarny. Teraz dopiero Sam zdał sobie sprawę, jaki jest brudny. Moja dusza także jest brudna, pomyślał gorzko. Gdybym wszedł w jej życie, zostawiłbym na nim ciemną smugę.

Z ciężkim sercem odsunął się od niej. Amy żuła swoją porcję i zerkała na profil mężczyzny, wysrebrzony blaskiem księżyca. Ten człowiek rozmawiał z nią zupełnie inaczej niż inni, nawet Victoria i wuj Edward.

Przez chwilę trwali w milczeniu, jedząc i popijając wodą z bukłaka. Wreszcie dziewczyna zdobyła się na śmiałość.

- Nie wiem, kim jesteś.

- Co? Aha. Jestem Brody.

- I...?

- Sam Brody.

- Sam... Miłe imię - uśmiechnęła się.

Poczuł dziwny ucisk w piersi. Nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś nazywał go Samem.

- Och, jaka jestem niewychowana - sploszyła się.

- Nie zapytałam, czy mogę mówić do ciebie po imieniu.

- Uważasz, że powinnaś tytułować mnie „panem Brody”? - zachichotał.

- Tak myślę.

- Nie. Mów do mnie Brody albo Sam. Wystarczy.

- Wobec tego będziesz dla mnie Samem. A ja nazywam się Amy Wallace.

- Amy... - wyszeptał, ujmując ją za rękę. Luźny ko-

niec łańcucha szczęknał metalicznie. Wzięła go w palce.

- To ci musi bardzo przeszkadzać. Szkoda, że nie możesz go zdjąć.

- Trudno, jakoś wytrzymam.

Nagła myśl rozjaśniła twarz dziewczyny. Uniosła spódnicę i oderwała kolejny pas z nadszarpniętej już halki. Rozdarła go na pół, przesunęła każdy z pasków przez ostatnie ogniwo łańcucha i podwiązała je tak, by nie kołysały się przy każdym ruchu.

- Teraz lepiej?

- Tak. Dzięki - popatrzył jej głęboko w oczy. - Dlaczego to robisz? - zapytał cicho.

- Co?

Gestem pokazał na okowy.

- Dbasz o mnie. I pomogłaś Jimmy'emu. - Zamilkł na moment. - Tam, w mieście, podeszłaś do mnie i opatrzyłaś mi przeguby - dodał cicho.

- Ten chłopak krwawił, a ty cierpiałeś. Jak mogłam nie pomóc? - wyjaśniła z prostotą. W ogóle nie rozumiała, czemu Sam pyta o tak oczywiste rzeczy.

- Większość ludzi nie zrobiłaby tego.

- Wiem. Ja zawsze postępuję inaczej niż inni. Victoria na pewno była na mnie wściekła.

- Kim jest Victoria?

- Moją kuzynką. Odkąd pamiętam, mieszkam z nią i z wujkiem na ranczo. Była ze mną dziś rano.

- Nie zwróciłem na nią uwagi.

- Jak to? - Amy nie mogła uwierzyć. - Przecież ona jest piękna!

- Naprawdę?

- Oczywiście!

- Nie tak piękna jak ty.

Jego słowa wywołały burzę w sercu dziewczyny. Czy on naprawdę myślał, że jest piękniejsza niż Victoria? Rumieniąc się, pokręciła głową.

- To niemożliwe. Ona jest najpiękniejszą kobietą, jaką znam.

- W takim razie powinnaś spojrzeć w lustro.

Brody wpatrywał się w nią jak w obraz. Zdjęła czepek i długie, złote sploty lśniły w blasku księżyca. W ślicznej, jasnej twarzy wielkie oczy błyszczały jak dwa jeziora. Nie rozumiał, czemu zrazu wydawała się speszona jego słowami, a potem tak zachwycona. Przecież musiała wiele razy słyszeć podobne słowa od innych mężczyzn.

Ujął jej podbródek. Drgnęła pod tym dotknięciem. Zrozumiał, że się boi. Gdyby mógł być innym człowiekiem, takim, którego Amy by pragnęła! Tak chciał jej dotykać, wszędzie, gładzić skórę, miękką jak płatek róży. Chciał rozpuścić jej włosy i przesiewać je przez palce. Chciał smakować ją ustami, językiem... Nagle wyobraził sobie przeraźliwie jasno, z jakim lękiem patrzyłyby na niego te piękne oczy, gdyby rzucił się na nią. Jak rozpaczliwy krzyk wydałyby te słodkie usta, gdyby zaczął zdierać z niej suknię. Pomyślał o swoich kompanach, świadkach jej upokorzenia, którzy nasłuchiwaliby, jak gwałci ją w ciemności.

Pod wpływem tych obrazów Sam Brody porwał się na nogi.

- Lepiej się prześpijmy - powiedział dziwnie drżącym głosem. - Ruszamy o świcie.

Rozciągnął na ziemi koc, który wiozł zrolowany u siodła. Amy patrzyła na niego niepewnie. Nie wie-

działa, co ma robić. Czuła na sobie wzrok pozostałych mężczyzn. Tymczasem Brody gestem wskazał jej ciemniejące w oddali skały.

- Jeśli chcesz, możesz iść tam, ale nie oddalaj się za bardzo. Nie chciałbym sprowadzać cię z powrotem.

Amy z lękiem skrzyżowała ręce na piersi.

- Mam tam spać? Sama? - szepnęła i ze zdumieniem usłyszała, że mężczyzna tłumii śmiech.

- Ależ nie! Myślałem, że... no, wiesz, takie kobiece potrzeby...

- Och, dziękuję - odparła z wdzięcznością i ruszyła w ciemność.

- Amy?

- Tak? - spojrzała przez ramię.

- Będziesz spała tu. Koło mnie.

Skinęła głową, zadowolona. Bałaby się śmiertelnie, gdyby musiała spać sama. Kiedy wróciła, zobaczyła, że Sam leży na połowie koca, mając rewolwer w zasięgu ręki. Druga połowa była wolna. Amy zastanawiała się, czym może się skończyć spanie obok niego. Wiedziała, że nieżonaci mężczyźni i kobiety nie powinni spać razem, bo mogłyby się zacząć pocałunki i wszystko to, od czego później rodzą się dzieci. Czy tego oczekiwał od niej Sam? Ciekawe, czy będzie strasznie czy wspaniale.

Klęknęła na brzeжку koca i złożyła ręce.

- Co robisz?

Uniosła głowę i popatrzyła na niego zdumiona.

- Modłę się. Robię to każdej nocy - odparła. Modlitwa była jedną z rzeczy, które kochała najbardziej. Jej Bóg był łagodny i dobrotliwy. Kochała Go i czciła prostą, szczęśliwą wiarą. Wiedziała, że i On kocha ją i rozumie; co wieczór rozmawiała z Nim bez lęku.

- Pozwolisz mi się pomodlić, prawda? - zapytała niepewnie.

- Jasne, Amy. - Głos miał niski, ochryply. Klęcząca postać ze schyloną jasną głową wydała mu się aniołem, wcieleniem czystości. Wiedział, że mógłby ją zbrukać, skrzywdzić i zepsuć. Nawet teraz, widząc ją tak rozmodloną, nie mógł powstrzymać myśli pełnych żądy. Boże, jakże jej pragnął! Marzył, by owa czystość i niewinność zmieniły się w kobiecy głód miłości. Aby była damą w dzień, a nocą, w jego ramionach, stawała się dziką, gorącą kochanką. Ale wiedział też jedno - że nie zmusi jej do tego siłą.

Odwrócił się na plecy i przysłonił twarz ramieniem. Słyszał szelest spódnic. Poczuł, że Amy kładzie się obok niego. Nie odwrócił się, nie spojrzął na nią. Nie mógł.

- Dobranoc, Sam - szepnęła wstydliwie.

- Dobranoc, Amy.

Slater skierował się na drogę do Austin, w kierunku, w którym uciekła banda Brody'ego. Rana paliła go żywym ogniem, nieznośny ból pulsował w skroniach. Przy pierwszych krokach konia o mało nie zwymiotował. Po chwili jednak mdłości przeszły i choć czuł się okropnie, mógł przynajmniej skoncentrować się na zadaniu. Gdyby jeszcze nie było z nim tej upartej baby... Oglądał się co chwila, ale ciągle jechała za nim, nie zmieniając dystansu.

Musiał przyznać, że znała się na koniach. Wałach, którego wybrała, był jedynym godnym uwagi zwierzęciem w tej nędznej stajni. Dosiadała go pewnie, twardą ręką trzymając wodze, jak gdyby urodziła się w siodle.

Pomimo to najchętniej by się jej pozbył. Kobieta, nawet jeśli umie jeździć, nie nadaje się do niebezpiecznych pogoni za bandytami. Gdzie się podział jej mężczyzna, który powinien przemówić jej do rozumu? Pewnie dawno już wymknęła się spod jego władzy. Współczuł mu szczerze. Nikt nie wytrzymałby z taką szaloną kobietą.

Skoro nie mógł się jej pozbyć, powinien nie zwracać na nią uwagi. Niestety, nie było to proste. Choć musiał skupiać wzrok na śladach, nie mógł się powstrzymać, by od czasu do czasu nie zerknąć na jej ponętą postać.

Victoria była zdumiona wytrzymałością Slatera. Musiał się czuć koszmarnie, mimo to czujnie przebiegał wzrokiem trakt. Nic nie uszło jego uwagi. W pewnym momencie zboczył z drogi. Kiedy się zbliżyła, dostrzegła, że tropy kilku koni również skręcają na bezdroża. Poczowała dreszcz emocji. Może naprawdę uda mu się doścignąć bandę? Jeśli wyśledzi ich kryjówkę, ona będzie mogła sprowadzić z odsieczą ojca i ludzi z miasteczka. Serce zadrżało jej na myśl, jak długo Amy będzie zdana na łaskę Brody'ego, ale była zbyt rozsądna, by łudzić się, że razem z tym rannym, osłabionym mężczyzną zdoła ją odbić.

Nie ustawali w pogoni aż do zmierzchu, kiedy nawet bystre oko tropiciela nie było już w stanie rozróżnić śladów. Kiedy wreszcie Slater ściągnął wodze, Victoria grzecznie zatrzymała się w stosownej odległości. Szybko zsiadła, rozkulbaczyła konia i puściła go wolno, by skubał trawę. W odległości kilku metrów jej towarzysz jedną ręką mocował się ze sprzączkami upręży. Uśmiechnęła się do siebie, ale nie zaproponowała

pomocy. Niech się męczy, skoro jest taki uparty. Ona też będzie uparta i poczeka, aż zmadrzeje i poprosi ją sam.

Slater śledził dziewczynę kątem oka. Głowa ciążyła mu nieznośnie, a ramię było odrętwiałe z bólu. Irytowała go powolność i niezborność własnego ciała. Wreszcie uporał się z robotą i usiadł ciężko, opierając się o najbliższą skałę. Był słaby jak ślepe kocię i oblewał się potem przy najlżejszym ruchu. Ledwie starczyło mu siły, by wyciągnąć bukłak z wodą i podnieść do ust. Później zmusił się jeszcze do przeżucia kawałka suszonego mięsa, wyłącznie z rozsądku, gdyż zupełnie stracił apetyt.

Jedząc, poszukał wzrokiem Victorii, ale w szybko zapadającej ciemności dostrzegał tylko odległy zarys krzątającej się postaci. Znów ogarnęła go złość. Inna kobieta drżałaby ze strachu i garnęła się do niego, a ta udaje bohaterkę. Coraz bardziej niepokoił się, że nie ma jej przy nim. Co będzie, jeśli ktoś - albo coś - podkradnie się do niej w nocy? Zostawianie damy bez opieki nie leżało w jego zwyczajach. Prowadził twarde życie i bywał brutalny, ale wpojono mu kiedyś dżentelmeńskie zasady. Czuł się winny, że zostawia ją na pastwę losu. Z drugiej strony, sam narzucił reguły gry. Nie, musi wytrzymać. Może po tej nocy sama przekona się, że lepiej wrócić do Santa Clara. A jeśli nie? Co wtedy zrobi? Ruszy w pościg za najniebezpieczniejszym bandytą w Teksasie z kobietą u boku?

Jego myśli krążyły jak wściekłe lwy zamknięte w klatce. Nagle dostrzegł przed sobą nikłą iskierkę, która po chwili rozgorzała płomieniem. Ona rozpałała ognisko! Tego mu było trzeba. Nie zważając na ból, chwiejnie wstał na nogi.

Victoria usłyszała kroki na kamieniach i zorientowała się, że Slater idzie ku niej. Zdumiała się. Nie oczekiwała tak wczesnej kapitulacji. Zarazem poczuła ulgę. Samotne siedzenie w ciemności kosztowało ją wiele nerwów. Kilka razy zdarzało się jej spać pod gołym niebem w czasie dłuższych wypraw, przegonów bydła czy wiosennych majówek. Nigdy jednak nie była samotna. Zawsze miała obok siebie ojca i kilku z jego kowbojów. Teraz najbliższym towarzyszem był koń pasący się w pobliżu, jeśli nie liczyć tego prawie obcego, burkliwego mężczyzny, który samotnie tkwił w oddali. Rozpaliła ogień tylko dlatego, by dodawał jej otuchy i odstraszał dzikie zwierzęta. Zabraną z gospody zimny posiłek zjadła już wcześniej. Teraz siedziała, rozczesując długie włosy i udając, że nie dostrzeżę intruza. Ale to, co zrobił Slater, zaskoczyło ją kompletnie. Z wściekłością rozkopał ognisko i zdeptał żar.

- Co ty sobie wyobrażasz? - Równie wściekła zerwała się i stanęła przed nim, zaciskając pięści, aż luźne sploty falą rozsypały się na ramiona. Najbardziej zirytował ją fakt, że nie przyszedł tu, by jej towarzyszyć.

- Tyle pracy kosztowało mnie rozpalenie ognia! - syknęła.

Mężczyzna milczał przez chwilę, walcząc z pokusą dotknięcia jej wspaniałych włosów, czarnych jak noc. Czuł się bezsilny wobec własnych żądz, które brały go w posiadanie od pierwszego momentu, kiedy ujrzał tę dziewczynę.

- Wolę być pewien - wycedził lodowatym tonem - że nie ułatwisz roboty Brody'emu, wysyłając mu sygnał.

- Bzdura! On jest już daleko.

- Nie wiadomo. To cwany lis. Mógł zatoczyć koło, żeby zająć mnie od tyłu. Nie mam zamiaru ryzykować tylko dlatego, że szanowna pani chce ogrzać sobie stopki.

- „Szanowna pani” nie potrzebuje się ogrzewać!

- Nie? To bardzo dobrze. Obejdiesz się zatem bez ognia.

Victoria zacisnęła zęby. Nie było sensu spierać się z nim. Milcząco usiadła na ziemi, objąwszy rękami kolana.

Slater miał już odejść, ale zatrzymał się z ciężkim westchnieniem.

- Może być jednak wróciła do Santa Clara?

- Teraz już chyba trochę za późno, prawda?

- Owszem, ale wystarczy, jeśli wyruszysz rano. A tropienie pozostaw mnie. Wierz mi, znam się na tym.

- Ale chodzi o życie Amy, a to również moja sprawa!

- Skoro naprawdę chcesz jej pomóc, trzymaj się od tego z daleka. Jeżeli zostaniesz, będziesz mi tylko przeszkadzać - powiedział zmęczonym tonem.

- Przeciwnie, mogę ci pomóc. Widziałam, jak męczysz się z siodłaniem. Wiem, że rana ci dokucza. Wyobrażasz sobie, że w tym stanie poradzisz sobie samotnie z tymi desperatami? Nie rozśmieszaj mnie!

- Wiem, co robię.

- Ja też.

Otarł spocone czoło. Złość, która dodała mu siły, ustąpiła rosnącemu wyczerpaniu. Jeszcze raz spróbował perswazji.

- Zrozum, dziewczyno, sama sobie szkodzisz. Czy masz pojęcie, jak nadszarpną twoją reputację kolejne noce spędzane w moim towarzystwie?

- Podejrzewam, że nie tylko nadszarpną, ale i zrujnują.

- I nie dbasz o to?

Victoria wzruszyła ramionami.

- Są sprawy o wiele dla mnie ważniejsze. Jeśli Amy nie wróci, będzie mi dokładnie wszystko jedno, co mówią ludzie, wierz mi.

- Cholera! - jęknął bezsilnie. - Jak mam działać, mając ciebie na głowie?

- Nie musisz się o mnie martwić. Dam sobie radę, a jeszcze ci pomogę.

- Wracaj!

- Nie.

Przez moment mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Slater machnął ręką i powoli odszedł w ciemność. Miał cichą nadzieję, że poranek przyniesie rozsądne rozwiązanie. Położył się pod skałą, owinał w koc i natychmiast zapadł w sen, jak w ciemną studnię.

Victoria długo jeszcze nie mogła zasnąć. Każdy szmer wprawiał ją w nerwowe drżenie. Poprzysięgła sobie jednak, że nie pobiegnie schronić się u boku tego mężczyzny jak przerażone dziecko. Kiedy wreszcie zamknęła oczy, dręczyły ją koszmarne sny. Kilka razy budziła się z bijącym sercem i z ulgą powitała świt. Gdy zrobiło się jasno, dostrzegła pod skałą zawiniętą w koc postać. Uśmiechnęła się, widząc, że niestrudzony tropiciel jeszcze śpi.

Sama wstała i szybko doprowadziła się do porządku. Toaleta nie była skomplikowana. Wystarczyło tylko otrzepać ubranie, zapleść warkocz i przemyć oczy odrobiną wody z bukłaka. Zjadła resztki wczorajszej kolacji i zrolowała koc. Właściwie była już gotowa do drogi.

Niecierpliwie zerknęła pod skałę. Slater jeszcze spał. Cóż, musiał być wyczerpany. Gdyby nie był tak uparty, osiodłałaby mu konia, żeby nie tracił sił. Oczekała jeszcze parę minut, ale słońce zaczęło już wspinać się na niebo. Nie mogli sobie pozwolić na utratę cennego czasu. Poszła po swojego konia, osiodłała go i włożyła bagaże w juki, a potem poprowadziła w stronę skał.

- Slater! - zawołała, zatrzymując się w odległości kilku metrów. Leżąca postać odwróciła się na plecy i znów znieruchomiała. Victoria, zaniepokojona, uwiązała konia i podeszła do mężczyzny. Kiedy pochyliła się nad nim, zobaczyła, że ma na twarzy ceglaste wypieki, a włosy zlepione potem. Ukłękła i przyłożyła mu rękę do czoła.

Wielki Boże! Ten człowiek po prostu płonął od gorączki!



Amy leżała skulona na boku, przytulona plecami do Brody'ego. W czasie snu odruchowo otoczył ją ramieniem, obejmując dłonią pierś. Obudził się pierwszy i leżał nieruchomo, ciesząc się obecnością kobiety. Pierś dziewczyny była kragła i miękka, a sutek stwardniał, kiedy przesunął po nim palcami. Sam uśmiechnął się i wtulił twarz w jedwabiste, słodko pachnące włosy. Kiedy spała, nie bała się go, odpowiadając rozkosznym drzeniem na jego dotknięcie.

Nagle poruszyła się i wyszeptała coś przez sen. Brody z ociąganiem odsunął głowę. Nie chciał, by myślała, że wykorzystuje sytuację. Nie cofnął jednak ręki. Może jeśli będą leżeli tak spokojnie, tak naturalnie przytuleni do siebie, nie przerazi jej to, gdy się obudzi. Przymknął oczy i udawał, że śpi.

Powieki Amy drgnęły. Otworzyła oczy, ale o wiele wolniej wracała do rzeczywistości. Zrazu zdała sobie tylko sprawę, że leży w objęciach mężczyzny, a w dole brzucha czuje przyjemne mrowienie. Uczucie było tak miłe, że odruchowo zwarła uda, by zachować je dłużej. Sam boleśnie przygryzł wargę, tłumiąc przyspieszony oddech.

Dziewczyna była już zupełnie rozbudzona. Ciepło męskiego ciała, obejmujące ją ramię, dłoń spoczywająca na jej piersi - wszystko to było nowe, nieznane i eks-

cytujące. Zaczerwieniła się, uświadamiając sobie, że leży obok Sama i pozwala mu się dotykać tam, gdzie jeszcze nigdy nie sięgał żaden mężczyzna. Piersi miała nabrzmiąte, a sutki dziwnie twarde i wrażliwe. Odga-
dywała, że wszystko to ma związek z palącym, wilgotnym ciepłem, które drażniącą falą rozpływało się w dole brzucha. Czuła również, że istnieje coś jeszcze, na co podświadomie i niecierpliwie czekała, choć nie umiała sobie tego wyobrazić.

Poruszyła się niespokojnie, a wtedy Brody odsunął się od niej. Natychmiast poczuła pustkę. Poszukała go wzrokiem. Usiadł i patrzył na nią dziwnie.

Amy była piękna, nawet po takiej nocy. Włosy wysunęły się z zapinek i w złocistym nieładzie opadły jej na ramiona, podkreślając drobne rysy uroczej buzi. Znow zapragnął wczepić w nie palce, a potem zedrzyć z jej ramion suknię, rozwiązać tasiemki gorsetu i zobaczyć krągłe piersi w jasnych promieniach świtu. Syciłby się widokiem jej kształtów jak piękną rzeźbą, a potem schyliłby się i smakował ustami różane pączki...

Dosyć! Gwałtownie potrząsnął głową, jakby budził się ze snu. Nie czas na takie myśli. Zadręczy się nimi. Dzisiaj, obiecał sobie, dzisiaj w nocy weźmie, co mu się należy, nie zważając na jej strach i łzy. W końcu po to zabrał ją ze sobą. Należała do niego.

Wstał i odszedł, nie oglądając się. Amy patrzyła za nim z niepokojem, zastanawiając się, czym go rozdrażniła.

Osiodłali konie i szybko ruszyli w dalszą drogę, nie tracąc czasu na jedzenie. Przedtem jednak Brody kazał Amy oderwać kolejne pasy z halki i obandażować ręce oraz łydki, by uchronić je przed dalszym obtarciem.

Niestrudzenie parli do przodu. Jimmy wyglądał miernie i blado, ale trzymał się dzielnie. Zachowywali kompletnie milczenie i ta cisza zaczęła przerażać Amy.

Dojechawszy do kolejnej rzeki, zatrzymali się na szybki posiłek, a potem ruszyli wzdłuż jej brzegu, szukając brodu. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, Sam ściągnął wodze i odwrócił się do swoich ludzi.

- Tu się rozdzielimy, żeby nie ułatwiać zadania Slaterowi - oznajmił. - Purdon i Grimes, pojedziecie z Jimmym do Austin. Grzejdziecie prosto do doktora Bena. To stary ochlapus, ale zna swój fach i nie zadaje zbędnych pytań. Możecie się tam bezpiecznie pokręcić przez kilka dni. Wątpię, czy Slater zdążył was zapamiętać, więc nie powinno być was na listach gończych.

- Dlaczego odsyłasz nas do Austin? - zapytał Purdon, niedwuznacznie zerkając na Amy. Nie podobał mu się ten pomysł.

- Chcę, żebyście zasięgnęli języka i powęszyli za Vance'em. Oczy Purdona błysnęły dziko.

- Zdrajca! Będę go zabijał powoli i z rozkoszą.

- Nie. Tylko mi go znajdź. Sam się nim zajmę.

Ciarki przeszły Amy po krzyżu na dźwięk głosu Brody'ego. Natomiast Purdon, słysząc go, był wyraźnie zadowolony. Szef wreszcie zaczął być sobą.

- Dobra, Brody - powiedział ugodowo. - Ty tu rządysz.

- Zgadza się - Sam zawrócił konia. - Spotkamy się na miejscu - rzucił.

Amy zamarła ze zgrozy. Nie powiedział ani słowa o niej! Czy zostawi ją z tymi strasznymi ludźmi?

Mężczyzna obejrzał się na nią. Siedziała sztywno w siodle, patrząc na niego rozszerzonymi lekkiem oczami.

- Amy, jedziesz ze mną.

Ogarnęła ją ogromna radość i ulga. Uśmiechnęła się promiennie i energicznie pognała konia.

Brody z trudnością powstrzymywał się, by nie odwzajemnić uśmiechu. Ona naprawdę chciała z nim zostać!

Rozdzielili się. Trzech mężczyzn pojechało w dół rzeki, a Amy z Samem ruszyli na północ. Teraz, kiedy zostali sami, nabrała takiego humoru, że podśpiewywała sobie cicho i z zachwytem rozglądała się wokół.

- Nigdy nie byłam w tej części kraju - powiedziała.
- Te wzgórza są prześliczne.

Przytaknął w milczeniu. Sam nieraz tak myślał, ale nigdy nie przyszło mu do głowy ubierać swoje uczucia w słowa. Wystarczyło, że dobrze się czuł w tych stronach. Teraz dopiero uświadomił sobie, że było coś wspaniałego w tym surowym krajobrazie. Rozległe wzgórza, przetykane granitowymi skałami, ciągnęły się aż po horyzont. W pobliżu potoków i rzek rosły malownicze kępy cedrów, dębów, krzewy mesquito i zarosła leszczyn. Im dalej od wody, tym roślinność była uboższa. O każdej porze roku ta kraina zachowywała swoje dzikie piękno - ale teraz, wiosną, niezliczone żółte, czerwone i niebieskie kwiaty nadawały jej szczególnego uroku.

Natrafili na strumień i podążali w górę jego biegu, aż do wysuniętego na północ skalistego płaskowyzu. Tam Brody zatrzymał konia i przez chwilę szukał na horyzoncie sobie tylko wiadomych znaków orientacyjnych. Wreszcie zdecydował się i zawrócił na południe. Amy podążyła za nim, zdumiona.

- Czy wracamy tą samą drogą?
- Tak, zrobimy pętlę po własnych śladach.
- Ale dlaczego?

Zwlekał z odpowiedzią, zastanawiając się, czy zdradzić plan ucieczki, ale w jej twarzy było tylko niewinne zainteresowanie.

- Żeby zwieść Slatera - wyjaśnił. - Będzie podejrzewał, że pojechaliśmy w górę strumienia, żeby zatrzeć ślady. Zacznie więc szukać miejsca, gdzie wychodzą z wody. Kiedy jednak zobaczy ten skalisty grunt, pomyśli, że wyszliśmy tutaj. Będzie jechał po tym płaskowyzu aż do końca, lecz nie znajdzie już naszych tropów. Kiedy się zorientuje, może znów skieruje się do strumienia, ale nie domyśli się, że zawróciliśmy na południe. Na wszelki wypadek utrudnię mu jeszcze zadanie.

Powiedziawszy to, zsiadł z konia, ułamał kolczastą gałąź i zamiótł nią ślady wychodzące z potoku, a potem znów dosiadł wierzchowca.

Amy popatrzyła na niego z podziwem.

- Jesteś bardzo sprytny. Nigdy bym tego nie wymyśliła. Podejrzewam, że nawet Tory by na to nie wpadła.

Sam roześmiał się, widząc niekłamany podziw w jej oczach. Komplement mile go połechtął.

- Och, nieraz mnie ścigano, więc musiałem się nauczyć pewnych sposobów - powiedział niedbale.

Przez chwilę jechali w milczeniu, ale pewna myśl nie dawała dziewczynie spokoju.

- Skoro jednak wracamy, czy nie natkniemy się na pogoń? - zapytała.

- Nie, bo wkrótce skęcimy na zachód. Mamy nad nimi przewagę, więc na parę dni będziemy mogli przy-

czaić się w tej okolicy. Damy Slaterowi czas, żeby zgubił nasze ślady, a potem pojedziemy do mnie.

- Masz jakąś ziemię?

Sam uśmiechnął się krzywo.

- Nie. Po prostu znalazłem kiedyś kryjówkę.

- Ja też mam taką kryjówkę u siebie na ranczo - ożywiła się Amy. - Stary dąb przy strumieniu. Ani wujek Ed, ani pani Doherty o niej nie wiedzą. Tylko Tory.

- Dlaczego potrzebujesz takiego miejsca?

- Bo muszę się gdzieś chować, kiedy ciotka Margaret przyjeżdża z wizytą. Zresztą, czasami lubię być sama. Wiesz, tak, żeby posiedzieć sobie, patrzeć i słuchać.

- Wiem...

Jakie to dziwne, pomyślał Sam, że uciekając z kobietą, którą porwał, prowadzi przemiłe rozmówki o wszystkim i o niczym. Choć właściwie wszystko jest dziwne, odkąd spotkał tę dziewczynę. Bezustannie zdumiewała go czymś nowym. Wydaje się krucha i delikatna jak szkło, a już drugi dzień jedzie z nim od świtu, głodna i zmęczona - bez słowa skargi. Ma odwagę mężczyzny i twardość żelaza. A jednocześnie jest aniołem, delikatnym, naiwnym dzieckiem i zmysłową kobietą z krwi i kości. Czuł się przy niej lepszy. Garnął się do niej jak zmarznięty włóczęga do ognia. Musiał ją mieć, ale wzdragał się na myśl, że mógłby ją skrzywdzić. Wiedział, że do niczego nie będzie jej zmuszał, wbrew temu, co obiecywał sobie rano, bez względu na to, jak bardzo jej pragnął. Nie zniósłby, gdyby radość i zaufanie w jej oczach zmieniły się w przerażenie i ból.

Wrócili do rzeki, którą wcześniej przekraczali, ale tym razem nie szukali brodu. Posuwali się wzdłuż brzegu. Raz usłyszeli głosy i Sam szybko odjechał

w bok. O zmierzchu znaleźli miejsce na nocleg w gęstej kępie drzew. Brody rozsiodłał konie i spętał je. Kiedy zjedli, rozłożył na trawie koc i zaprosił Amy gestem, by się położyła. Sam usiadł obok, obejmując rękami kolana.

- Nie kładziesz się? - zapytała.

- Później. Posiedzę sobie trochę - mruknął, patrząc, jak modli się, a potem wyciąga na kocu, podkładając sobie ramię pod głowę.

- Chcesz popatrzeć na gwiazdy, tak? Ja też to uwielbiam. Są takie lśniące i maleńkie, a niebo takie ogromne - powiedziała sennie. - Ale dzisiaj jestem już zbyt zmęczona, żeby je oglądać.

Zamknęła oczy. Sam odczekał chwilę i cicho położył się przy niej. Mruknęła przez sen i przytuliła się do niego. Wtulił usta w jej włosy i objął ją ramieniem. Leżenie przy tej kobiecie było piekłem - ale piekłem cudownym.

Choć zamknął oczy, sen długo nie nadchodził.

Slater miał gorączkę. Victoria wiedziała, że zdarza się to czasem przy ranach. Przysiadła na piętach, zastanawiając się, co robić. Potrzebował lekarza, ale był zbyt chory i słaby, by wytrzymać powrotną jazdę do Santa Clara. Musiała pomóc mu sama.

Westchnęła. Tego nie przewidziała. Na farmie potrafiła radzić sobie z ranami i mniej ciężkimi chorobami, ale tu, w środku prairii, nie miała dosłownie nic. Załamywanie rąk nie leżało jednak w jej naturze. Wyjęła chusteczkę, zmoczyła ją wodą z bukłaka i delikatnie obmyła twarz mężczyzny. Wymamrotał coś cicho, zwilżył językiem spieczone wargi i uniósł powieki.

Przez chwilę patrzył na nią nieprzytomnie, ale w końcu ją poznał.

- A niech to diabli! - mruknął.

- Slater, czy będziesz kłał nawet na łożu śmierci? - udała złość, by ukryć zmartwienie.

- Wybacz - uśmiechnął się blado. - Odzwyczailem się od towarzystwa dam.

- Podejrzewam, że nigdy nie byłeś w ich towarzystwie - zakpiła. - Masz, napij się - podparła mu ręką głowę, podsuwając bukłak. Upił łyk i bezsilnie opadł z powrotem.

- Gorąco tu jak w piekle - jęknął.

- To wina gorączki. Jest jeszcze chłodno, ale zaraz zaczniesz się upaść. Musimy przenieść się w cień. Dasz radę wsiąść na konia? Niedaleko jest wielki dąb, pod którym mógłbyś się położyć.

- Dam radę - zapewnił słabym głosem.

- Dobrze, poczekaj - powiedziała i ostrożnie podeszła do wierzchowca Slatera. Łypał na nią nieufnie i boczył się, ale pęta nie pozwalały mu odbiec. Kiedy jednak poklepała go odważnie i powiedziała parę uspokajających słów, dał się osiodłać.

Podprowadziła go do skały i uklękła przy chorym.

- Spróbuj wstać.

Uniósł się na łokciach, ciężko oddychając, wyraźnie zaskoczony swoją słabością. Wreszcie zmusił się, by usiąść, ale bez pomocy dziewczyny nie zdołałby wstać. Podeszedł do konia, ciężko wspierając się na jej ramieniu i oparł głowę o szyję zwierzęcia.

- Jack, ty stary diable - wyszeptał - nie rób mi dzisiaj numerów, dobra?

Uchwycił kulbakę, wsunął nogę w strzemień i z ogro-

mnym wysiłkiem wciągnął się na siodło. Jack zatupał nerwowo, ale nie zatańczył na zadnich nogach ani nie uskoczył, jak to zwykle czynił.

Victoria szybko załadowała koc i bukłak na swego konia, po czym wskoczyła na siodło.

Tym razem jazda była krótka. Dłuższej ranny prawdopodobnie by nie wytrzymał. Chwiał się na końskim grzbiecie, pot spływał mu z czoła, a policzki płonęły.

Kiedy dotarli w pobliże dębu, zsiadła, zdjęła koc i rozłożyła go w cieniu. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Slater usiłował sam zsunąć się z siodła.

- Hej, poczekaj! - krzyknęła i pobiegła na pomoc.

Zdażyła podtrzymać go w momencie, kiedy ugięły się pod nim nogi. Ale wysoki mężczyzna był zbyt ciężki i razem runęli na ziemię.

Wysunęła się spod Slatera i odwróciła go na plecy. Skórę miał rozpaloną. Wyczyn, jakiego dokonał wsiadając na konia, wywołał kolejną falę osłabienia i skok temperatury. Oczy lśniły mu chorobliwie, gdy na nią patrzył. Miała wrażenie, że jej nie poznaje.

- Pięknotko... - wybełkotał.

- Co?

Obliżał językiem spieczone wargi.

- Chodź... Chodź na górę...

Wyraźnie bredził. Victoria starała się robić dobrą minę do złej gry.

- Dobrze, chodźmy. Ale musisz wstać.

Podniósł się posłusznie, choć niepewnie. Podparła go i powoli dowlekli się do dębu. Tam ułożyła go wygodnie i podała picie.

Niespokojnie rzucał głową, mamrocząc coś bez

związku. Obmyła mu twarz i szyję, a potem rozpięła koszulę. Materiał był zupełnie mokry. Skóra na piersi Slatera lśniła od potu. Victoria dotknęła dłonią twardych splotów mięśni, pokrytych złocistym, skręconym od wilgoci zarostem, doznając dziwnego uczucia. Sama zaczęła oddychać tak jak on, szybko i płytko. Nie raz pomagała pielęgnować chorych mężczyzn na farmie i widziała ich bez koszuli, ale nigdy ten widok nie wywoływał w niej podobnych reakcji.

W poprzek żeber zwiadowcy biegła długa, biaława blizna, wyraźnie odcinająca się od opalanej skóry. Nieśmiało powiodła po niej palcem. Slater poruszył się gwałtownie. Natychmiast cofnęła rękę i zganiła się za zdrożne myśli. A jednak nie mogła oderwać od niego wzroku. Powieki miał przymknięte i ocienione ciemnymi, nadspodziewanie długimi rzęsami, które kontrastowały z twardym zarysem szczęki. Lekko rozchylone wargi, choć spieczone gorączką, miały śmiały, ładny wykrój.

Zmoczyła palce i dotknęła kuszających ust, a wtedy poczuła szybkie dotknięcie gorącego języka. Takie samo gorąco poczuła w dole brzucha. Z trudem przełknęła ślinę, usiłując przywołać się do porządku.

Jeszcze raz zwilżyła chusteczkę i zaczęła chłodzić jego pierś. I znów jej dotknięcie zamieniło się w pieśczętę. Slater poruszył głową.

- Opal - wyszeptał chrapliwie. - Nie, kochanie. Muszę już iść...

Zamarła z uniesioną dłonią. Nietrudno było zgadnąć, jakie obrazy podsuwał mu majaczący umysł. Zmięta chusteczkę w rękę. Teraz więc ma być dla niego jakaś Opal?

Z westchnieniem sięgnęła po bukłak, by go napić. Kiedy pochyliła się, poczuła nagle rękę mężczyzny na swoim ciele. Wstrzymała oddech. Dłoń objęła jej pierś i ścisnęła delikatnie.

- Chodź, kołeczku - wyszeptał Slater namiętnie.
- Byłem w drodze... sześć tygodni. - Uśmiechnął się, jakby w odpowiedzi na to, co usłyszał bądź zobaczył.
- Tak, kochanie - powiedział. Jego palce pieszczotliwie dotknęły stwardniałego sutka.

Victoria drząc przymknęła oczy. Nigdy jeszcze nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie tak się dotykać. Slater majaczył, więc nie mogła go winić za zbytnią śmiałość. Ale powinna natychmiast się odsunąć. Powinna, ale nie chciała. Zwlekała jeszcze, czując, jak podniecający dotyk wzmacnia jej zawrót głowy i słabość w kolanach. Fała gorąca powoli ogarnęła ją całą.

Choć nie tak naiwna jak Amy, Victoria niewiele wiedziała o mężczyznach, nie licząc kilku pocałunków, które skradł jej na potańcówkach Riley Landman. Niewielu chłopców ośmielało się flirtować z córką tak bogatego i poważanego ranczera jak Edward Stafford. Zresztą żaden jej się nie podobał. Uważała ich za zbyt głupich i narwanych.

Ale dotknięcia tego mężczyzny były inne. Jego pieszczota obudziła ukryte pragnienia, ciekawość i nie nasyconą potrzebę dalszych doświadczeń. Tęsknie popatrzyła na pełne wargi, skryte pod gęstym, krótkim wąsem. Jego pocałunki też musiały smakować inaczej...

Nie, to szaleństwo! Gwałtownie porwała się na nogi. Jak może myśleć o tym w takiej chwili, kiedy ten człowiek jest chory, a Amy w rękach najgorszego zbira w Teksasie. Zdegustowana, pokręciła głową i poszła

do koni. Jeśli nie zacznie działać, oboje wykończą się na tym pustkowiu. Pierwszym problemem była woda. Jeden bukłak był już pusty. Każdy z koni niósł po dwa. Zostały więc trzy, ale cennego płynu ubywało w zaskrażającym tempie.

Mogłaby pojechać na poszukiwanie wody. O ile orientowała się w terenie, powinni być niedaleko od rzeki Blanco. Bała się jednak zostawić Slatera samego w tym stanie. Jak obroniłby się przed dzikimi zwierzętami, węzami, nie mówiąc już o człowieku? A jeśli w malignie postanowiłby wsiąść na konia i odjechać? Albo, co gorsza, gdyby jej samej coś się stało i nie mogłaby już do niego wrócić?

Jedno było pewne - jeśli nie zdobędzie wody, zginą oboje. Prędzej czy później będzie musiała podjąć decyzję.

Na razie rozsiodła konie i puściła je na trawę. Napoiła Slatera i obmyła go. Tym razem postarała się zrobić to obojętnie, bez żadnych zdrożnych myśli, jak zajmująca się chorym siostra miłosierdzia. Kleła się w duchu, że nie poprosiła doktora Bauera o lekarstwa.

Tymczasem mężczyzna dostał gwałtownych dreszczy. Victoria owinęła go kocami, ale dygotał coraz bardziej. Wreszcie musiała położyć się przy nim i objąć go ciasno ramionami. Jego ciało było rozpalone jak piec, ale nawet w tym pożałowania godnym stanie zadziwiało twardością i siłą. Po raz pierwszy od chwili wyjazdu zapragnęła złożyć głowę na szerokiej piersi i pozwolić, by on martwił się o wszystko. Tak jak jej ojciec.

Dreszcze minęły równie nagle, jak się zaczęły. Slater rozkopał koce i odrzucił ją od siebie. Czuwała nad nim jeszcze przez jakiś czas, ale moment decyzji zbliżał się

nieuchronnie, w miarę jak słońce zniżało się nad horyzontem. Victoria włożyła Slaterowi pod głowę pas z rewolwerami. Widziała, że spał tak zeszłej nocy i miała nadzieję, że w potrzebie sięgnie po nie instynktownie. Potem osiodłała jednego z koni, załadowała na niego puste bukłaki i odjechała, prowadząc za sobą drugiego wierzchowca. Po drodze co jakiś czas wiązała na gałęziach strzępki, oddarte ze swojej halki. Nie знаła okolicy i nawet nie wyobrażała sobie, co by było, gdyby zabłądziła.

Po niecałej godzinie dotarła do strumienia i wydała głośne westchnienie ulgi. Mając wodę tak blisko, mogła zużywać jej, ile chciała. Napoiła oba konie i napełniła bukłaki.

Pozostała przy strumieniuu tylko tyle czasu, ile było konieczne. Białe szmatki wskazywały drogę powrotną. Była już blisko obozu; zza zbocza wyłoniła się korona dębu, kiedy nagle koń Slatera zachrapał i szarpnął się w tył. Gdy usiłowała go uspokoić, z kolei jej wierzchowiec spłoszył się i zaczął tańczyć na zadnich nogach. Poczowała mdły ucisk w dołku. Coś się stało. Zwierzęta wyczuły niebezpieczeństwo. Szybko wyjęła strzelbę z pochwy przy siodle i zsunęła się z konia. Mocno uwiązała oba wierzchowce do gałęzi drzewa i zaczęła pełznąć w górę, kryjąc się za skałkami. Wyrzała ostrożnie zza krawędzi zbocza i zobaczyła Slatera. Spał, nieświadomy niczego, nie wiedząc, że na wielkim głązie o kilka metrów od niego czai się do skoku wielka puma.

Serce skoczyło Victorii do gardła, ale opanowała się i uniosła strzelbę do oka, celując starannie. Na szczęście wiatr wiał w jej stronę i nie było szansy, by ostrożny kot

wyczuł jej obecność. Nacisnęła spust w momencie, kiedy wybił się do skoku.

Kula trafiła go i zwinął się z rykiem, spadając na ziemię. Huk strzału obudził Slatera, który błyskawicznie sięgnął po broń i zaczął rozglądać się za niebezpieczeństwem. Victoria zerwała się i zaczęła zbiegać w dół, trzymając strzelbę w pogotowiu. Wielkie cielsko drgnęło kilka razy i rozciągnęło się bezwładnie. Zabiła pumę jednym strzałem. Odetchnęła z ulgą i odwróciła się w stronę mężczyzny. Ciągle jeszcze celował z rewolweru do martwego zwierzęcia, ale ręka mu drżała. Spojrzenie miał przytomne i wiedziała, że tym razem ją poznaje.

Opuścił broń i uśmiechnął się blado.

- A niech to diabli! Ty naprawdę umiesz strzelać - powiedział z podziwem.

- Na twoje szczęście - uśmiechnęła się i trąciła pumę końcem lufy, upewniając się, czy jest martwa. - I jak się czujesz?

- Jak szmata - westchnął, opadając bezsilnie na koc.

- Hmm... I wyglądasz nie lepiej - mruknęła, kucząc przy nim. Kiedy położyła mu dłoń na czole, wydało jej się, że gorączka spada. Uśmiechnęła się z ulgą. Wtedy dopiero uświadomiła sobie, że drżą jej ręce.

Wiedziała, że musi to zrobić. Wstała, podeszła do zabitej pumy i z wysiłkiem odciągnęła bezwładne cielsko daleko poza skały. Nim poszła do koni, siedziała jeszcze przez chwilę na kamieniu, czekając, aż nerwy się uspokoją.

Konie nadal boczyły się i parskały, wyczuwając z daleka zapach drapieznika, ale dały się przyprawa-

dzić do obozu. Na wszelki wypadek uwiązała je nieco dalej. Potem przyniosła rzeczy i znów zajęła się Slaterem. Pod wieczór bolał ją już kark od ciągłego schyłania się nad rannym, ale obmywała go i chłodziła bez przerwy.

O zmroku, pomimo wcześniejszych ostrzeżeń, rozpałała małe ognisko. Bardziej bała się dzikich zwierząt niż bandy Brody'ego. Na kolację zjadła pasek suszonego mięsa. Chciała dać trochę rannemu, ale nie był w stanie niczego przełknąć. Coraz bardziej się niepokoiła, zwłaszcza że gorączka znów zaczęła rosnać. Zastanawiała się, co zrobi, jeśli nastąpi kryzys, Slater nie wsiądzie już na konia, a ona nie będzie mogła zostawić go samego. Czy przyjdzie jej patrzeć, jak umiera?

Zacisnęła palce w bezsilnej złości. Nie umiała być bierna. Musi sobie poradzić!

Niespodziewanie dosłyszała szcęk metalu i czujnie uniosła głowę. Nagle skoczyła na równe nogi, sięgając po strzelbę. Serce biło jej jak młotem. Od południa zbliżał się ku nim jakiś ciemny, wielki kształt. Victoria cofnęła się z kręgu ognia w mrok i czekała, gotowa do strzału.

Wkrótce z ciemności wyłonił się jeździec. Ostrzegawczo uniosła lufę. Nieznajomy zatrzymał konia i uniosł w górę ręce, pokazując puste dłonie.

- Dobry wieczór szanownej pani. - Głos był młody, miły i dziwnie radosny, zważywszy, że jego właściciel patrzył wprost w lufę strzelby.

- Dobry wieczór.

- Wszystko w porządku. Nic pani nie grozi. Po prostu przejeżdżałem obok, zobaczyłem ogień i ciekaw byłem, kto zawitał w nasze strony. - Jego spojrzenie

powędrowało ku leżącej postaci. - Widzę, że ktoś tu potrzebuje pomocy. Co mu jest?

- Ma gorączkę - wyjaśniła krótko. Nie bardzo wiedziała, co robić. Mężczyzna wyglądał nieszkodliwie i miała wielką ochotę poprosić go o pomoc. Z drugiej strony, bała się, że pragnie tylko uspić jej czujność.

- Kim jesteś? - zapytała nieufnie.

- Nazywam się Dennis Miles. Czy pozwoli pani, bym zsiadł?

- Zsiadaj.

Zsunął się z konia i podszedł bliżej ognia, ciągle trzymając ręce w górze. Miał gładko wygoloną, młodzieńczą twarz i wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia lat. Victoria odprężyła się nieco. W każdym razie nie sprawiał wrażenia bandyty, polującego na podróżnych.

- Czy mogę opuścić ręce? - zapytał, wpatrując się w nią z cielecą miną, która normalnie by ją rozbawiła.

Zerknęła na jego pas. Nie miał rewolwerów. Strzelba tkwiła w pochwie przy siodle. Skinęła przyzwalająco.

- To nie jest dobre miejsce dla takich dam jak pani - stwierdził. - Czy zgubiliście drogę?

- Nie.

- A to jest pani mąż? Dawno zachorował?

- Wczoraj. - Bezpieczniej było odpowiedzieć od razu na drugie pytanie. Mogła sobie wyobrazić, co by pomyślał, gdyby powiedziała, że ten mężczyzna nie jest jej mężem!

Młody człowiek pochylił się nad Slaterem.

- Bardzo z nim źle - stwierdził, prostując się i patrząc na nią ze współczuciem. - Mój dom jest o niecałą godzinę jazdy stąd. Jeśli zdołacie tam dojechać, ma-

muska będzie zachwycona, że przyprowadziłem jej gości.

Victoria odprężyła się jeszcze bardziej. Ktoś, kto miałby naprawdę złe zamiary, nie zapraszałby jej do domu swojej matki. Opuściła lufę.

- Ona może pomóc pani mężowi - dodał skwapliwie Miles. - Zna się na uzdrawianiu i niejednego już wyleczyła.

- Dzięki - powiedziała dziewczyna z prawdziwą ulgą. - To miło, że zapraszasz nas do domu. Będę bardzo wdzięczna twojej mamie za pomoc - uśmiechnęła się.



Brody obudził się nagle i natychmiast uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Nie czuł ciepłego ciała Amy u swego boku. Połowa koca była pusta. Rozejrzał się, ale dziewczyny nigdzie nie było.

Przeniknęło go bolesne poczucie zdrady. Zwodziła go tą swoją anielską niewinnością, a kiedy zaczął jej ufać, uciekła. Sam z przekleństwem wciągnął buty, zerwał się i chwycił pas z rewolwerami. Nie mogła odjechać daleko. Pobiegł do koni i stanął, zaskoczony. Oba pasły się spokojnie.

To przywróciło mu trzeźwość myślenia. Niemożliwe, by Amy zdecydowała się uciekać przez to pustkowie piechotą. Pewnie odeszła za potrzebą, daleko, bo jest wstydliva. Zaraz wróci. Odetchnął z ulgą. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo był napięty.

Uspokojony, wsadził koszulę w spodnie i starannie przypiął pas, a potem usiadł na kocu i czekał. Jednak dziewczyna nie wracała. Coś musiało się stać.

Podniósł się i ruszył na poszukiwania. Wyraźnie widoczne w świetle poranka ślady drobnych stóp prowadziły ku odległej kępie drzew. Z każdym krokiem serce Brody'ego biło mocniej. Wyobraźnia podsuwała mu obraz Amy ze skręconą nogą, jęczącej z bólu, Amy ukąszonej przez grzechotnika czy uciekającej przed drapieżnikiem. Coraz bardziej przyspieszał kroku.

Wypadł spośród drzew na otwartą przestrzeń prawie biegiem. Preria pokryta była dywanem kwitnących kwiatów. Pośród nich siedziała ze skrzyżowanymi nogami Amy, nieruchoma, wpatrując się w coś intensywnie.

Sam przystanął gwałtownie, jakby nagła ulga odebrała mu siły. Teraz lęk zastąpiła irytacja. Co ona tam, u licha, robi? Ruszył ku niej i już miał zawołać, kiedy dostrzegła go i ostrzegawczo położyła palec na ustach. Zwolnił i zbliżył się ostrożnie. Pokazała gestem, by usiadł obok i wskazała na coś przed sobą. O kilka kroków od nich na kwiecie bławatka siedział ogromny czarno-żółty motyl. A więc na to patrzyła!

- Jest piękny, prawda? - wyszeptała mu do ucha.

Wytrzeszczył na nią oczy. Była jego więźniem, a wykradła się, by oglądać motylki! Odruchowo zerknął na kwiat. Piękny owad spijał słodki sok, wachlując aksamitnymi, wspaniałymi skrzydłami. Przypominał mu Amy - był tak samo piękny i kruchy, bezbronny wobec okrutnego świata. Mógłby zgnieść go jednym ruchem. Tak jak i ją.

Motyl odleciał. Amy odprowadziła go zachwyconym spojrzeniem, a potem, rozpromieniona, odwróciła się do Sama.

- Nie czujesz się szczęśliwy, widząc coś tak ślicznego? - zapytała z dziecinnym entuzjazmem.

- Tak - odpowiedział, choć nie umiał nazwać uczuć, które nim miotają. Czuł się szczęśliwy i przerażony zarazem; szalony i rozrzewniony, niemal do łez. Wstał i ujął jej rękę. Podniosła się lekko i, ku jego zdziwieniu, nie cofnęła dłoni. Wracali do obozu, trzymając się za ręce, tak po prostu, czule i przyjaźnie, jak

para dzieciaków. Sam był oszołomiony. Ostatni raz szedł tak z matką, gdy był małym chłopcem. Później prowadziły go za rękę tylko dziwki, wiodąc do swoich pokoi.

- Lubię obserwować różne rzeczy. A ty? - zagadnęła Amy.

- Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem.

- Tak jak większość ludzi. Tylko ja mam takie głupie pomysły.

- One wcale nie są głupie.

- Naprawdę? - Aż przystanęła, patrząc mu w oczy.

- Jak miło. Czy ty mnie lubisz, Sam?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Jasne. Zresztą chyba wszyscy cię lubią.

- Nie wiem. Nie tak jak ty. Ty nie traktujesz mnie, jakbym była przygłupim dzieciakiem. I ani razu mnie nie zbeształeś.

- A kto na ciebie krzyczy?

- Nasza gospodyni. Właściwie nie krzyczy na mnie, tylko przemawia jak do niegrzecznej dziewczynki. I inni też. Ty nigdy tego nie robisz. Dlatego wolę być z tobą.

- Nie jesteś dzieckiem - zapewnił, ogarniając ją gorącym spojrzeniem.

- Wiem. Ale ludzie tak myślą.

- Dlaczego mieszkasz u swego wuja? - zapytał. Coraz bardziej ciekawiło go wszystko, co dotyczyło tej dziewczyny.

Beztroska twarzyczka Amy spoważniała.

- Ponieważ moi rodzice zginęli, kiedy byłam mała. Zabili ich Komancze. Nic nie pamiętam, ale wiem, że sąsiad znalazł mnie ukrytą w piwnicy i zaprowadził

do wujka. Ludzie mówią, że jestem dziwna, bo widziałam, jak umierali moi najbliżsi. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

Litość i współczucie, które ogarnęły Brody'ego, były kolejnymi nie znanymi mu dotąd uczuciami.

- Tak mi przykro - wyjąkał niezgrabnie.

- Dzięki ci, Sam. Ale nie przejmuj się, ja naprawdę niczego nie pamiętam.

- Rozumiem - mruknął, choć pojmował coraz mniej. Jakim cudem, po takich przejściach, ta wrażliwa dziewczyna nie tylko się go nie lękała, ale jeszcze obdarzała bezgranicznym zaufaniem?

Doszli do obozu. Sam niechętnie puścił rękę Amy i zaczął pakować rzeczy.

Po kilku godzinach jazdy osiągnęli szczyt płaskowyżu. Za zakrętem rzeki ukazał się mały domek u stóp wzgórza.

- Jedziemy tam? - zapytała ze zdumieniem. Nie spodziewała się, że Sam Brody zechce zbliżyć się do ludzkich siedzib.

- Tak. Znam tych ludzi. Wreszcie zjemy porządny, gorący posiłek i poradzimy coś na twoje obtarcia.

- A grzebień? Marzę, żeby się wreszcie uczesać.

Przytaknął w milczeniu. Ostry dreszcz przeniknął mu uda na myśl o Amy rozczesującej długie, złote włosy.

- Och, jak cudownie! - Dziewczyna aż klasnęła w ręce z radości.

Sam miał ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić. Jak ona potrafiła cieszyć się najmniejszym drobiazgiem! Zamiast tego wstrzymał konia i uważnie rozejrzał się po okolicy. Nie dostrzegł nic podejrzanego. W korralu

stały zwierzęta, dym wydobywał się z komina, a między drzewami suszyło się pranie.

Pognali konie. Kiedy zbliżali się do domu, na w randę wybiegła kobieta i popatrzyła ku nim, osłaniając oczy przed słońcem. Nagle jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- Brody! - wykrzyknęła z lekkim hiszpańskim akcentem i odwróciła się w stronę domu. - *Raul, rapidamente!*

Sam zsunął się z konia i ruszył ku niej uśmiechnięty.

- Beatriz! Jak miło cię widzieć. Jesteś jeszcze piękniejsza niż dawniej.

Kobieta rozpromieniła się, wyraźnie zachwycona komplementem, ale żartobliwie pogroziła mężczyźnie palcem.

- Ty pochlebco! - zaśmiała się, po czym uważnie spojrzała na Amy. Nie powiedziała jednak ani słowa.

Brody podszedł do konia i wyciągnął ramiona, by pomóc dziewczynie zsiąść. Choć nie potrzebowała pomocy, skorzystała z niej skwapliwie.

- Amy, poznaj *senorę* Garcia. Beatriz, to jest Amy Wallace - dokonał krótkiej prezentacji.

- Witam w moim domu, *señorita* - powitała ją przy stojna kobieta z nieco nieufnym uśmiechem.

- Miło mi panią poznać - odparła dziewczyna z równą rezerwą.

Zza domu wyłonił się mężczyzna, dużo starszy od Sama i zobaczywszy gościa, radośnie zamachał rękami.

- Brody! - wykrzyknął, rzucając mu się w objęcia.
- *Dios*, już myślałem, że cię nie zobaczę!

- Raul!

Mężczyźni uścisnęli się serdecznie, jak starzy przyjaciele, a potem odsunęli na odległość ramion i popatrzyli na siebie.

- Przyjechałeś w odwiedziny czy potrzebujesz świeżego konia? - zapytał Meksykanin.

- Nie, tym razem nie chodzi o konia - uśmiechnął się Sam. - W całym Teksasie nikt tak jak Raul nie potrafi hodować i układać zwierząt - wyjaśnił półgłosem Amy.

- W Teksasie? - obruszył się jego przyjaciel. - Na całym szlaku do Kalifornii! Nie chwając się, jestem najlepszy.

- I najskromniejszy.

Raul zaśmiał się, aż błysnęły białe zęby.

- Chodźcie, kochani, chodźcie do domu. Jedliście co?

- Tylko podróżny prowiant.

- W takim razie Beatriz musi nakarmić głodomorów.

Przekomarzając się i śmiejąc, ruszyli do domu. Amy patrzyła za nimi. Jeszcze nie widziała Sama tak odprężonego, radosnego i pełnego humoru. Przy swoich ludziach był zupełnie inny.

Zerknęła na Beatriz i spostrzegła, że kobieta przygląda się jej uważnie. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem. Miała nadzieję, że nie zdążyła się jeszcze niczym narazić przyjacielom Sama.

- Raul i Brody znają się od bardzo dawna - wyjaśniła Beatriz, zapraszając ją do środka. - Dokładnie od czasu, kiedy braliśmy z Raulem ślub.

- Ach, tak - powiedziała Amy z ożywieniem. Wiadomość, że ta kobieta jest żoną Raula, natychmiast poprawiła jej humor.

- Pracowali razem, kiedy Brody był jeszcze chłopakiem. To Raul nauczył go jeździć konno.

Weszły do domu. Beatriz dorzuciła drew do ognia i powiesiła nad nim kociołek z fasolą. Pojawił się Sam i odciągnął dziewczynę na bok.

- Nic nie mów tym ludziom - szepnął surowo, patrząc jej w oczy.

- A co miałabym im mówić? - zdziwiła się.

- Skąd się tutaj wzięłaś. Oni ci nie pomogą. Nie liczn na to.

Zmarszczyła brwi, niczego nie pojmując.

- Nie rozumiem... Przecież sam powiedziałeś, że nam pomogą i dadzą ubranie... i grzebień dla mnie.

- Wargi zaczęły jej drżeć.

Jak zwykle, zaskoczyła go. Nie spodziewał się takiej reakcji. Usiłował zmusić się do uśmiechu.

- Oczywiście, Raul da nam wszystko, czego potrzebujemy. Grzebień też - dodał łagodniej. Amy odprężyła się, zadowolona, że niczym go nie uraziła. Brody odchrząknął. Musiał zachować surowy ton. - Miałem na myśli, że nie zrobią niczego przeciwko mnie - wyjaśnił.

- Jak to?

- Nie pomogą ci w ucieczce.

- Ależ ja nie chcę od ciebie uciekać!

Tym razem musiał przygryźć wargi, by nie roześmiać się głośno z radości.

- Zresztą, dokąd miałabym iść?

- Do domu.

- Ach, do domu... - Dziwne, ale myśl o powrocie na ranczo wcale nie ucieszyła Amy tak, jak powinna. Tęskniła wprawdzie za Victoria, ale bardzo chciała da-

lej podróżować z Samem. Będzie go jej brakować, kiedy już wróci do siebie.

- Victoria w końcu znajdzie mnie kiedyś, ale do tego czasu wolę być z tobą - oświadczyła prostolinijnie.

- Ona cię nie znajdzie, bądź pewna - powiedziała twardo. - Zostaniesz ze mną, Amy.

Nie zna Victorii, jeśli tak mówi, pomyślała dziewczyna. Pewnie uważa, że to taka sama głupia gęś jak ona. Nie odezwała się jednak. Świadomość, że ten mężczyzna chce, aby z nim została, napełniała ją dumą i miłym poczuciem własnej wartości.

Brody pożałował twardego tonu, choć użył go świadomie. Chciał, by ta bujająca w obłokach dziewczyna zdała sobie do końca sprawę, że należy do niego i nie ma szans na ucieczkę. Pragnąc uspokoić Amy, pogładził ją łagodnie po policzku. Przymknęła oczy i wygięła się ku niemu rozkosznie jak kotka, dopraszająca się pieczyoty. Pożądanie znów ogarnęło Sama. Z najwyższym wysiłkiem odsunął się od niej.

Amy równie niechętnie otworzyła oczy. Z żalem patrzyła, jak Brody odchodzi w drugi koniec kuchni, do Raula. Rozumiała jednak, że starzy przyjaciele muszą sobie trochę pogadać. Zbliżyła się więc do paleniska, przy którym krzątała się Beatriz.

- Czy mogę pomóc?

- O, byłoby bardzo miło. Popilnuj fasoli, a ja zagniotę ciasto na tortille.

Amy usiadła na zydelku, odciągnęła znad ognia kociołek wiszący na haku i zamieszała fasolę wielką chochlą. Dolała wody i ustawiła kociołek z powrotem, dorzuciwszy drew. Tymczasem gospodyni uklękła na podłodze przy wielkim, płaskim kamieniu i z wprawą

zaczęła wyrabiać placki. Amy patrzyła na to z zainteresowaniem. Jadała już tortille, ale nigdy nie widziała, jak się je robi.

- Mogę spróbować? - zapytała nieśmiało.

- Oczywiście.

Uklękła na podłodze, a Beatriz pokazała jej, jak wyrabia się ciasto. Już po chwili były w świetnej komitywie.

- Wiesz, cieszę się, że jesteś z Brodym - szepnęła kobieta, pochylając się ku Amy. - Będziesz dobra dla niego.

- Ja? Dlaczego? - Dziewczyna zamarła, z rękami oblepionymi ciastem.

- Dobra z ciebie kobieta. I lubisz się śmiać. Przy tobie będzie szczęśliwy.

Amy zerknęła na Sama, myśląc, że chętnie uczyniłaby go szczęśliwym.

- On ma kłopoty, prawda? Dlatego nosi te łańcuchy.

- Tak - odparła z troską Beatriz. - Każdy szeryf i tropiciel w tym kraju dałby wszystko za jego głowę.

- Ale dlaczego? On nie jest złym człowiekiem...

- Według mnie, nie ma w nim zła. Dla nas zawsze był dobry, a widzę, że przy tobie też jest łagodny. Ale ludzie mówią, że potrafi być twardy. Mówią też, że zabija.

- Sam? Mordercą? - Amy nie mogła w to uwierzyć, ale... Drgnęła, kiedy przypomniała sobie, jak patrzył na Purdona.

Beatriz przytaknęła z poważną miną.

- Nikt nie jest z nim tak blisko jak Raul, a jednak nawet on nie ośmieliłby się stanąć Samowi na drodze - powiedziała. - Ale kiedy taki mężczyzna cię poko-

cha, nie będziesz musiała niczego się lękać. On cię obroni - dodała, patrząc z uśmiechem na Amy.

- Tak., wiem.

W drugim końcu kuchni mężczyźni rozmawiali, popatrując na krzątające się kobiety. Raul przeniósł spojrzenie z jasnowłosej dziewczyny na swojego przyjaciela i uważnie spojrzał mu w oczy.

- Ona jest bardzo ładna.

- Uhm.

- Pierwszy raz jesteś u nas z kobietą.

- Ano.

- Musi być lepsza niż wszystkie, co?

Brody wzruszył ramionami. Przyznanie się, że zależy mu na kobiecie, byłoby okazaniem słabości. A tego nie uznawał.

. - Napatoczyła mi się przypadkiem. Ładnie wyglądała, to ją wziętem - burknął.

Raul pokiwał głową z udawaną powagą. Dobrze wiedział, co czuje zakochany po uszy mężczyzna, a Sam, pomimo starannego maskowania, właśnie na takiego wyglądał. Śledził z zachwytem każdy ruch dziewczyny, jakby po raz pierwszy widział coś tak ładnego i miłego.

- Kobieta opóźni ci ucieczkę-zauważył Meksykanin.

- Ale nie ta - odparł Brody z wyraźną dumą. - Może jechać długo i szybko, i nigdy nie narzeka.

- Skoro tak, to nie pozwól jej odejść. Ja jeszcze nie spotkałem kobiety, która by nie narzekała.

- Ona jest inna.

- Tak, widzę - powiedział Raul, ale nie spuszczał wzroku z przyjaciela. - Chodź, trzeba coś zrobić z tymi kajdanami.

Wyszli i nie było ich bardzo długo, ale kiedy wrócili, Brody wyglądał zupełnie inaczej. Okowy zniknęły. Był umyty i ubrany w czyste rzeczy. Twarz miał gładko wygoloną, a mokre włosy szesane z czoła. Amy spojrziała na niego i zaniemówiła z wrażenia.

- O Boże - szepnęła wreszcie. - Jaki on przystojny, prawda?

Beatriz ze skrywanym rozbawieniem zerknęła na Brody'ego, a potem na Amy. Trudno było nazwać Sama przystojnym. Jego twarz szpeciły blizny po bójkach. Nos miał złamany, a skórę wygarbowaną wiatrem i słońcem. Pomimo to mógł podobać się kobietom i na swój sposób był bardzo seksowny. Emanowała z niego niebezpieczna siła i wdzięk dzikiego zwierzęcia. Nawet ona sama, choć związana z Raulem, odczuwała w jego obecności zmysłowy dreszcz.

Jednak Amy musiała widzieć go innymi oczami.

Tymczasem Sam starał się za wszelką cenę nie patrzeć na nią. Czuł się głupio. Kiedy Raul podsunął mu brzytwę, mydło i czyste ubranie, skwapliwie skorzystał z okazji, by doprowadzić się do ludzkiego wyglądu. Wiedział, że czyni to wyłącznie po to, by podobać się Amy, i wyzywał się w duchu od zakochanych durniów. Przedtem nigdy nie zastanawiał się, co kobieta może sądzić o jego wyglądzie. Teraz starał się jak nigdy i, co zupełnie wyprowadzało go z równowagi, drżał z obawy, że nie spodoba się dziewczynie.

Widząc tak odświeżonego Sama, Amy uświadomiła sobie ze wstydem, jak bardzo jest brudna i zaniedbana.

- Gdzie on się umył? - zapytała cicho Beatriz. - Czy ja też mogę?

- Jasne, że możesz. W rzece jest zatoczka, wymarzona do kąpieli. Zaprowadzę cię tam po obiedzie. Dam ci nawet lawendowe mydło, które Brody przywiózł mi w zeszłym roku z Austin. Mówię ci, cudownie pachnie! - westchnęła z zachwytem starsza kobieta.

Na farmie Amy często myła się pachnącymi mydłami w domowej wannie. Ale w obecnych warunkach perspektywa kąpieli w rzece wydawała się jej ogromnym luksusem.

Kiedy tylko umyły naczynia po jedzeniu, poszły nad rzekę. Beatriz czuwała na brzegu ze strzelbą. Było mało prawdopodobne, by zawędrował tu jakiś nieproszony gość, ale zawsze należało się obawiać wodnych węży czy drapieżników.

Amy z rozkoszą pograżyła się w chłodnej, czystej wodzie, zmywając brud długiej drogi. Jak cudownie było znów być czystą! Zastanawiała się, czy spodoba się Samowi tak bardzo jak on jej.

Beatriz podała jej ręcznik, a potem czyste ubranie. Luźna bluzka, uszyta z prostego, bielonego płótna, miała duży dekolot ściągnięty wstążkami i zdobny w kolorowe, wyszywane kwiaty. Niebieska, obfita spódnica w meksykańskim stylu, z szeroką falbaną na dole, była krótsza od tych, jakie Amy zwykle nosiła, i sięgała tylko do kostek.

Później obie usiadły na skale i Beatriz pomagała rozczesywać długie włosy dziewczyny. Były bardzo zmierzwione, więc miały wiele czasu na plotki.

Sam i Raul stali oparci o ogrodzenie korralu, obserwując konie i rozmawiając. Słyszac nadchodzące kobiety odwrócili się jak na komendę. Na widok Amy

dłonie Brody'ego zacisnęły się na drewnianej żerdzi. W kolorowym meksykańskim stroju wyglądała po prostu cudownie. Smukłe kostki wyglądały spod spódnicy, a w wycięciu dekoltu rysowały się kształtne piersi. Włosy spadały złotą falą aż do bioder. Beatriz szepotała coś do niej wesoło, a Amy słuchała, uśmiechnięta, z błyszczącymi oczami.

To anioł, pomyślał Brody. Jest zbyt piękna i zbyt dobra dla mnie. Dosłownie skręcał się z pożądania, patrząc na nią, ale powtarzał sobie już po raz któryś, że byłby barbarzyńcą, gdyby próbował siłą posiadać tę cudowną i czystą istotę.

Raul zaproponował, by przenocowali. Gotów był odstąpić nawet swoje małżeńskie łóżko. Jednak Sam odmówił. Wiedział, że gdyby znalazł się z Amy w miękkiej pościeli, nie mógłby ręczyć za siebie. Lepiej już było spać w ubraniach na skalistej ziemi.

Nerwowo wbił ręce w kieszenie i podszedł do dziewczyny. Chciał powiedzieć jej, jak bardzo jest piękna, ale się wstydził. Nie przywykł do prawienia komplementów kobietom.

Amy była zawiedziona. Sam wydawał się nie zauważać zmiany w jej wyglądzie. Nie powiedziała jednak słowa i posłusznie poszła przebrać się w jeździecki strój, który wyszukała dla niej żona Raula.

Była gotowa, kiedy mężczyźni kończyli siodłać konie. Brody na jej widok ze świstem wciągnął oddech. Już wiedział, że następne wcielenie Amy będzie kosztować go jeszcze więcej nerwów. Sam był sobie winien, kiedy wpadł na pomysł, by włożyła męskie rzeczy. Tylko spodnie mogły uchronić jej łydki od dalszego obtarcia. Jednak, choć miała na sobie spodnie po

młodym chłopaku, który pracował kiedyś u Raula, bynajmniej na chłopaka nie wyglądała. Trochę za wąskie, opinały jej kształtną pupę i podkreślały smukłość nóg. Sam, który zawsze widywał kobiety w spódnicach, zrozumiał teraz, czemu noszenie spodni nie uchodziło damom. Amy też czuła się w nich dziwnie obnażona, choć musiała przyznać, że może się poruszać dużo swobodniej. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jak ciężka i niewygodna jest długa spódnica z halką. Stroju dopełniała stara, luźna koszula Raula i przyduży kapelusz, pod który zmieściły się upięte na czubku głowy warkocze.

Sam przytrzymał jej strzemień. Lekko śmignęła na siodło. Patrzył na nią dziwnie, nic nie mówiąc.

Beatriz podarowała jej również niebieską spódnicę i bluzkę. Amy krępowała się przyjąć dar, nie chcąc nadużywać gościnności, ale kiedy kobieta zapewniła ją z uśmiechem, że Brody zapłacił im za wszystko z nawiązką, schowała ubranie do juków, uradowana, że Samowi zależy na jej wyglądzie.

Wyruszyli. Brody prowadził. Amy obejrzała się po raz ostatni. Raul i Beatriz stali na ganku, machając im na pożegnanie. Miło było u nich, ale tak naprawdę wolała znów jechać z Samem. Popędziła konia, myśląc o Victorii. Miała nadzieję, że siostrzyczka nie odnajdzie jej zbyt szybko.

Victoria i Dennis pomogli Slaterowi wstać i podsadzili go na konia. Cała trójka ruszyła stępą do domu Milesów.

Młody człowiek był miły i chętnie odpowiadał na pytania. Mieszkał z młodszym bratem i matką. Czuli

się samotnie na tym odludziu, witali więc z radością przejezdnych, pojawiających się tu od czasu do czasu.

- Wielu ludzi przekracza tędy rzekę, podążając szlakiem na południe. Jeśli się uda, zapraszamy ich do siebie na nocleg, bo jesteśmy spragnieni nowych wieści - mówił.

Słuchała, lecz nie spuszczała czujnego wzroku ze Slatera. Coraz bardziej pochylał się w siodle. Jedną ręką ścisnął wodze, a drugą kurczowo trzymał się kulbaki. Głowa zaczęła opadać mu na piersi i Victoria, zaniepokojona, podjechała bliżej. Nagle przechylił się gwałtownie i byłby spadł, gdyby nie podtrzymała go w porę.

- Panie Miles!

- Och, proszę mi mówić Den.

- Den, potrzebuję twojej pomocy.

Natychmiast zorientował się, o co chodzi. Podjechał z drugiej strony i podtrzymał rannego. Jednak Slater chwiał się nadal i wypuścił wodze z ręki.

- Może powinniśmy go tu zostawić - zaproponował Miles. - Zmajstrujemy z bratem nosze i wrócimy po niego.

- Nie - stanowczo pokręciła głową. - Nie zostawię go samego. Zrobiłam tak dzisiaj po południu i omal nie rozszarpała go puma. Zostanę z nim albo... - urwała, myśląc gorączkowo. - Nie, to zabierze zbyt dużo czasu. Mam lepszy pomysł. Usiądę z nim - stwierdziła, zsuwając się na ziemię. Dennis nie wydawał się przekonany, ale wziął od niej wodze.

Victoria usiłowała dosiąść konia Slatera, lecz nie było to łatwe. Na wpół przytomny mężczyzna chwiał się w siodle i dopiero z pomocą Milesa udało jej się prze-

sunąć go na tyle do przodu, by zmieściła się za nim w siodle. Zebrała wodze i mocno objęła zwiadowcę w pasie. Jego długie nogi zwisały bezwładnie bo bokach wierzchowca, a ciało opierało się ciężko na jej piersi i udach. Zdawała sobie sprawę, że wystarczy byle potknięcie czy gwałtowny ruch konia, aby spadli oboje.

Ruszyli powoli. Victoria z najwyższym trudem, nęczęjąc wszystkie mięśnie, była w stanie podtrzymać to wielkie, rozpalone gorączką ciało. A jednak, pomimo niewygody i wysiłku, zmysły dały o sobie znać z nową siłą. Jej piersi dotykały pleców mężczyzny, a ruch konia sprawiał, że ich uda bezustannie ocierały się o siebie. Rękę, którą go obejmowała, niepostrzeżenie wsunęła w wycięcie koszuli i drżała teraz, dotykając twardych mięśni pod śliską od potu skórą. Oparła czoło o kark Slatera, próbując walczyć z zamętym zdrożnych myśli. Na próżno. Zastanawiała się, czy inne kobiety doznają podobnych odczuć. Zapewne nie. Zwykle robiła i myślała co innego niż większość z nich.

Kiedy była w szkole w San Antonio, koleżanki szepotały sobie najróżniejsze rzeczy o mężczyznach i tajemnicach małżeńskiej sypialni. Zapamiętała szczególnie, jak to Sally Ann Carter mówiła, że wie na pewno, iż kobieta i mężczyzna, aby mieć dzieci, zdejmują z siebie całe ubranie. Wszystkie dziewczyny chichotały, czerwieniły się i twierdziły, że łyże jak z nut. Wówczas Victoria była pewna, że Sally kłamie, ale teraz gotowa była zmienić zdanie. Pamiętała aż nazbyt dobrze, co czuła, kiedy rozpięła Slaterowi koszulę. Wyobraziła sobie, jak sama rozbiera się przed nim do naga i wzdrygnęła się mimowolnie - nie tylko ze wstydu.

- Jesteśmy na miejscu. Oto nasz dom.

Radosny głos Dennisa wyrwał ją z zamyślenia.

- Mamo! Nathaniel - wołał, zeskakując z konia.
- Przeprowadziłem gości!

Victoria z ulgą zatrzymała wierzchowca i puściła wodze. Wyjrzawszy zza ramienia Slatera, zobaczyła piętrowy dom. Czasy jego świetności dawno już minęły, lecz i tak wydawał się jej rajskim pałacem. Na progu pojawił się z latarnią rosły młody człowiek, bardzo podobny do Dennisa, a za nim kobieta w średnim wieku, o siwiejących włosach, starannie upiętych w kok. Jej ubranie, choć sprane i znoszone, było równie nienaganne jak uczesanie. Synowie najwyraźniej odziedziczyli po niej posturę, gdyż była wysoka i silna. Jasne niebieskie oczy błyszcząły żywo w opalonej twarzy.

Bracia szybko zdjęli Slatera z konia i bez wysiłku ponieśli go do domu. Victoria zsunęła się z siodła ostatkiem sił. Pani Miles opiekuńczo otoczyła ją ramieniem.

- Chodź, bidulo. Widać, że masz dosyć. Zaraz przekąsisz coś gorącego i na pewno poczujesz się lepiej.

- Dziękuję pani, ale nie jestem głodna. Byłabym wdzięczna, gdyby pani wskazała mi jakiś kącik do spania. I może, gdyby to nie sprawiało kłopotu, znalazłoby się trochę bulionu dla... mojego męża - zakończyła z wahaniem. W ostatniej chwili zorientowała się, że jeśli nazwie swego towarzysza „panem Slaterem”, może zostać wzięta za panienkę lekkich obyczajów.

- No pewnie. Mam jak raz na na ogniu wspaniały rosołek - rozpromieniła się pani Miles, prowadząc ją do domu i pokazując schody, wiodące do pokoju na piętrze.

Kiedy Victoria ociężałym krokiem wchodziła na górę, minęła się ze schodzącymi braćmi. Uprzejmie uchylili kapeluszy i uśmiechnęli się do niej identycznym uśmiechem. Po chwili usłyszała z dołu podniecony szept Denisa:

- Ale ona ładna, co, mamó?

- Faktycznie, niebrzydka - dobiegła z kuchni odpowiedź pani Miles.

Victoria uśmiechnęła się, otwierając drzwi pokoiku, w którym położono Slatera. Był maleńki, ze skośnym sufitem i tylko jednym niewielkim okienkiem. Ale najważniejsze, że pośrodku stało łóżko, na którym ranny mógł się wreszcie swobodnie wyciągnąć. Teraz spał, ciężko oddychając. Ostrożnie ściągnęła mu buty i przyłożyła rękę do czoła. Płonęło gorączką. Z troską popatrzyła na niego i zobaczyła błysk srebrnej gwiazdy. Zmarszczyła brwi. Jeśli Milesowie zobaczą odznakę teksańskiego zwiadowcy, chętniej im pomogą. Z drugiej strony, i tak nie trzeba było ich do tego namawiać, a gdyby dowiedzieli się, kim jest Slater, natychmiast zaczęliby podejrzliwie patrzeć na nią. Bystra pani Miles z pewnością zaczęłaby się zastanawiać, diaczego wojskowy zabiera swoją żonę w pościg za groźnym przestępcą. Stąd już tylko krok do myśli, że owa żona jest raczej przygodną kochanką... I kto wie, czy gościnność nie przerodziłaby się w niechęć.

Szybko odpięła odznakę i wrzuciła ją do jednego z butów, a potem zmoczyła ręcznik nad miską, by obmyć Slatera.

W chwilę później w pokoju pojawiła się pani Miles, niosąc tacę z parującym talerzem.

- Bidny ten pani chłop - powiedziała ze współczu-

ciem, stawiając tacę na stoliku. - Przyniosłam mu ździebko bulionu, ale coś mi się widzi, że on nic nie zje. Okrutnie jest rozpalony. Den mi mówił, że złapała go gorączka.

- Tak.

- Zaraz obadamy, co i jak. Znam się na ziołach i niejednego już wykurowałam - powiedziała kobieta, pochylając się nad rannym i dotykając jego ramienia. - Co mu się stało?

- Tu jest rana, która się zaogniła i stąd pewnie gorączka. Przemywałam ją, ale nie miałam czego przyłożyć.

Pani Miles odwinęła bandażę i uważnie zbadała chore miejsce. Wyglądało paskudnie. Z opuchniętej rany sączyła się ropa. Kobieta wyprostowała się z wolna i uważnie popatrzyła na Victorie.

- To rana od kuli.

Dziewczyna poczuła, że palą ją policzki. Kiedy chowała odznakę Slatera, nie myślała, jak wytłumaczy ranę. Przez moment zastanawiała się, czy nie powiedzieć prawdy, ale zmęczony umysł nie był w stanie podjąć szybkiej decyzji.

- Tak... napadło na nas kilku mężczyzn. Chcieli nas okraść i... mąż zaczął do nich strzelać. Uciekli, ale jeden zdążył trafić go w ramię - wyjąkała, czując się nieswojo pod badawczym spojrzeniem kobiety.

- Ach, tak - stwierdziła wreszcie pani Miles, zmoczyła drugi ręcznik i zaczęła starannie przemywać ranę, wyciskając z niej ropę. Slater jęknął, a potem otworzył oczy i zamrugał na widok schylonej nad nim twarzy.

- Kim ty jesteś? Zostaw mnie, jędzo! Au! - zaczął kłać rozgłośnie.

- Slater! - przywołała go do porządku Victoria i przepraszająco uśmiechnęła się do pani Miles. - Proszę wybaczyć, z tej gorączki pomieszało mu się w głowie.

- Nie szkodzi, złotko. On się nie ma co równać do mojego starego Joe... - Panie, świeć nad jego duszą. Tamten to ci potrafił kłąć! No, ale muszę iść po leki.

Zeszła na dół i szybko wróciła z dwiema buteleczkami. W jednej był proszek, którym posypała ranę, a potem na nowo owinęła ją bandażem. Z drugiej, zawierającej miksturę, ulała kilka kropel do kubka z wodą i wymieszawszy, dała znak Victorii, by uniosła głowę chorego. Wspólnym wysiłkiem zdołały zmusić go do wypicia, choć krzywił się z niesmakiem. Skłoniły go jeszcze do przełknięcia kilku łyżek bulionu, aż wreszcie opadł bezwładnie na poduszki i z westchnieniem zamknął oczy, ponownie zapadając w niebyt.

- Niech mu pani da to jeszcze raz w nocy - poleciła pani Miles. - I sama się kładzie, bo już pani ledwie na oczy patrzy.

- O, tak - zgodziła się Victoria, tłumiąc ziewnięcie.

Odprowadziła gospodynię do drzwi i ostrożnie położyła się na łóżku. Dziwnie było tak leżeć obok mężczyzny, choćby nawet był ciężko chory. Z westchnieniem odwróciła się na bok i przymknęła oczy, zapadając w płytki, męczący sen. Po paru godzinach obudziła się i spostrzegła, że prześcieradła są mokre od potu. Temperatura musiała wzrosnąć. Z obawą dotknęła czoła rannego.

Nie do wiary! Było zupełnie chłodne. Najwyraźniej nastąpiło przesilenie. Poczuła, że łzy napływają jej do

oczu. Miała ochotę śmiać się, a zarazem płakać z radości.

Zmieszała lekarstwo i podała mu, a potem odmówiła modlitwę dziękczynną. Nim zasnęła, musnęła jeszcze ustami chłodny policzek mężczyzny i z uśmiechem zamknęła oczy. Tym razem zasnęła mocno i zdrowo.



Kiedy o zmroku Brody i Amy zatrzymali się na nocleg, byli już daleko od farmy Raula i Beatriz. Sam odważył się rozpaść małe ognisko, licząc, że fałszywy trop zawiódł Slatera na wschód.

Podgrzali fasolę i zjedli ją, zagryzając tortillami, a potem siedzieli w milczeniu, wpatrując się w płomień. Amy zaczerpnęła głęboko w płuca chłodnego powietrza i popatrzyła w wygwieżdżone niebo.

- Popatrz, jak pięknie - powiedziała z rozmarzeniem.

- O, tak! - Mężczyzna ułożył się na plecach, z rękami pod głową. - Kiedy byłem dzieckiem, w ogóle nie zauważałem gwiazd. Wiesz, żyłem w mieście. To była jedna z rzeczy, która spodobała mi się na prerii. Potrafiłem leżeć godzinami i gapić się w niebo.

- Czy to było wtedy, kiedy pracowałeś z Raulem? Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Skąd wiesz? Ach, pewnie od Beatriz.

- Tak, opowiadała mi, że to on uczył cię jeździć.

- Amy wpatrywała się w majaczącą w mroku twarz. Chciałaby wiedzieć wszystko o tym człowieku. - Opowiedz mi o sobie - poprosiła.

- O sobie? - zaśmiał się gorzko. - Naprawdę chciałabyś wiedzieć?

- Bardzo. Skąd pochodzisz? Jak znalazłeś się w więzieniu?

Nie powinien jej opowiadać. Nawet nie wyobrażała sobie, jak podłe było jego życie. A jednocześnie w głębi serca pragnął wyrzucić to z siebie i wyznać wszystko właśnie jej. Przez chwilę milcząc, wpatrywał się w płomień.

- Pochodzę z Nowego Orleanu. Matka miała na imię Maida. Ojca nie znałem. Maida nie wiedziała, kto nim był.

Amy oniemiała.

- Jak mogła nie wiedzieć?

- Ona była... - zająknął się, nie wiedząc, jak wytłumaczyć to tak niewinnemu stworzeniu. - Ona sprzedawała swoje ciało - wykrztusił w końcu.

- Niemożliwe! Chcesz powiedzieć, że była niewolnicą?

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie, nie w takim sensie, jak myślisz. Choć było w tym coś ze zniewolenia. Kiedy raz wejdiesz na taką drogę, nie możesz już z niej zawrócić. - Zamilkł na chwilę, zbierając myśli. - Ona spała z mężczyznami za pieniądze, Amy Oddawała im swoje ciało i płacili jej za to.

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- To znaczy... taka kobieta jest z mężczyzną, jak gdyby byli mężem i żoną, choć nie są? I on jej daje za to pieniądze, tak?

Jej naiwność była niemal zabawna.

- Nie, nie tak jak małżeństwo, bo każdej nocy są różni mężczyźni - wyjaśnił cierpliwie. - Dawniej, kiedy byłem mały, Maida mieszkała w dużym domu, w którym było wiele kobiet podobnych do niej. Pozwalały mi tam przebywać, jeśli nie przeszkadzałem. By-

łem nawet ich ulubieńcem, prawie maskotką. Bo, rozumiesz, większość z nich musiała się rozstać ze swoimi dziećmi. Kiedy urosłem, zacząłem im pomagać. Załatwiałem wiele rzeczy, sprzątałem, rozumiesz, takie różne sprawy. A jeszcze później, kiedy byłem już całkiem duży, Maida musiała wynieść się z tego domu. Już nie była ładna i młoda. Szybko się starzała. Potem zaczęła pracować na ulicy. Brała klientów do pokoiku, który wynajmowała - tłumaczył jej te oczywiste rzeczy jak dziecku.

Przymknął oczy i zmęczonym ruchem przesunął ręką po twarzy. Czuł zatroskane spojrzenie Amy.

Nie wszystko rozumiała, ale wyczuwała gorycz, żal i smutek.

- Mężczyźni, którzy przychodzili, byli twardzi i źli - mówił cicho dalej. - Często ją bili. Wiem, że nienawidziła tego życia. Mieszkaliśmy w norze, w której nie było już miejsca dla mnie. Musiałem sobie sam dawać radę. Zacząłem włóczyć się po ulicach. Robiłem wszystko, żeby zarobić parę groszy: obrabiałem kieszenie, zebrałem, pilnowałem koni przyjezdnym, byłem chłopcem na posyłki. Ale pewnego dnia stęskniłem się za Maidą, więc zaszedłem do niej i zobaczyłem, że jeden z facetów okrutnie ją pobił.

Złamany patyk trzasnął gwałtownie w jego rękach. Nerwowo cisnął kawałki drewna w ognisko. Amy przysunęła się do niego i czule objęła ramieniem. Sam podciągnął kolana pod brodę i wpatrzony w płomień, opowiadał dalej cichym głosem.

- Minęły tygodnie, zanim wyzdrowiała. Żyła w nieustannym strachu, że ten człowiek wróci i znów ją skrzywdzi. Obiecałem, że nie wpuszczę go i zajmę się

nią. Pilnowałem jej, kiedy zaczęła pracować. Ale nic się nie działo i stopniowo traciłem czujność. Aż pewnego popołudnia zaszedłem do niej i już na schodach usłyszałem krzyki. Kiedy wpadłem do tej nory, on ją bił. Próbowałem go odciągnąć, lecz byłem za słaby. Przecież miałem dopiero dwanaście lat. Ale wściekłość we mnie buzowała, więc złapałem żelazko i rąbnąłem go. Raz, a potem jeszcze wiele razy. - Sięgnął po drewnianko i wrzucił je do ognia. - Zabiłem go - powiedział beznamiętnym tonem.

- Och, Sam...

- Musiałem uciekać.

- Ale nie mogli cię za to winić. Przecież próbowałeś bronić matki!

- On miał żonę i dzieci, a moja matka była tylko ladcnicą. Każdy sąd byłby przeciwko mnie. W najlepszym razie groziło mi więzienie. Jeszcze tego wieczoru zaokrętowałem się na pierwszy statek, na jaki natknąłem się w porcie. Popłynąłem do Galveston, a stamtąd dostałem się w końcu do Teksasu.

Zamilkł na chwilę i znów położył się na plecach, twarzą do gwiazd. Amy ułożyła się obok niego, oparta na łokciu.

- Opowiadaj dalej, proszę. Jak poznałeś Raula?

Brody zachichotał.

- To była zasługa Billa Brzytwy. Najpierw zatrzymałem się w Galveston. Chwytałem się różnych dziwnych zajęć, żeby przeżyć, a kiedy nie miałem roboty, kradłem, jak w Nowym Orleanie. Spiknąłem się z chłopakiem o kilka lat starszym ode mnie. On nauczył mnie, jak rabować z bronią. To był o wiele szybszy i łatwiejszy sposób zdobycia forsy. Potem namówił mnie,

żebyśmy pojechali do San Antonio. Po roku albo dwóch poznaliśmy Billa Brzytwę. Facet znał się na koniach i potrafił ujeżdżać je jak szatan. Raul opiekował się jego stadem. Trzeba ci wiedzieć, że Bill miał końską farmę. Były tam mustangi, które łapał na prerii i potem sam ujeżdżał, ale większość koni kradł. Tam nauczyłem się jeździć i strzelać. Raul stał się dla mnie najlepszym kumplem. Raz ocaliłem mu życie. Billa z paroma jego ludźmi złapano na robocie i powieszono bez sądu. Mnie nikt nie podejrzewał, więc zdażyłem wrócić na ranczo i ostrzec Raula. Potem mi się odwdzięczył. I tak już zostało.

- A co było później?

- Przestałem kraść konie, ale złapano mnie, jak obrabiałem sklep i w końcu trafiłem do więzienia. Miałem wtedy szesnaście lat. Jak tam szedłem, myślałem, że jestem twardy gość, ale szybko się nauczyłem, co znaczy naprawdę być twardym. Kiedy w końcu wyszedłem, bardzo potrzebowałem forsy, więc napadłem człowieka. Myślałem, że to będzie łatwa robota, bo wyglądał staro i podpierał się laską. Ale on walnął mnie tą laską, wytrącając broń z ręki, i za chwilę już miał mnie na muszce. - Brody zaśmiał się na to wspomnienie. - Mówię ci, dosłownie zbaraniałem. Mógł mnie z miejsca zastrzelić albo zaprowadzić do szeryfa.

- I co się stało?

- Dał mi pracę.

- Co takiego?

- Serio. Nie do wiary, co? Nigdy więcej nie spotkałem kogoś takiego jak T.J. Moore. On wierzył w ludzi. Wierzył, że w każdym, nawet najbardziej złym, tkwi ukryte dobro, które trzeba tylko wydobyć na wierzch.

Amy ogarnęła go troskliwym, ciepłym spojrzeniem.

- Myślę, że miał rację co do ciebie.

Brody popatrzył na nią, zaskoczony.

- Może, przynajmniej w tamtym czasie. Byłem dobry, dopóki on był przy mnie. Zresztą, trudno było nie zachowywać się przy nim uczciwie. Zabrał mnie na swoje ranczo i zatrudnił jako poganiacza bydła. Nie miałem pojęcia o tej robocie, ale nauczył mnie wszystkiego. Był jak ojciec, tylko o wiele lepszy, niż zwykle bywają ojcowie. - Nowe, twarde tony wkradły się do jego głosu. - I pewnego dnia ktoś go zabił. Człowiek, który to zrobił, był najędźniejszą gnidą. Taki jeden porucznik. To był sześćdziesiąty siódmy rok, zaraz po wojnie. Konfederaci upajali się zwycięstwem. Ten zadufany, głupi dureń wyobrażał sobie, że jest panem tej ziemi. Myślał, że wszyscy będą mu czapkować tylko dlatego, że nosi niebieski mundur. Ale nie znał T.J. On dałby się zabić za prawdę. Pewnego dnia porucznik wypił sobie i wdał się w dyskusję z Moore'em. Pokłócili się. Kiedy nie starczyło mu argumentów, wyciągnął broń i zastrzelił T.J.

- Och, Sam, to straszne - przerwała Amy łamiącym się głosem.

- Dorwałem w końcu tego... drania - ciągnął dalej zimnym tonem. - Wiedziałem, że wybroni się przed każdym sądem, więc spakowałem rzeczy, zabrałem jedną ze strzelb pana Moore'a, pojechałem do miasta i zastrzeliłem go. - Urwał i mściwie zacisnął pięści. - Żałuję tylko, że nie mogłem go zabić dwa razy.

Dziewczyna ze współczuciem pogładziła go po ramieniu. Było twarde jak żelazo. Mięśnie drgały w napięciu. Sam wstał nagle i zaczął chodzić wielkimi kro-

kami. Z trudnością udało mu się wyzwolić od wspomnień o T.J., a teraz wróciły, jeszcze bardziej bolesne za sprawą współczucia Amy.

- To było siedem lat temu i od tego czasu stale uciekam - powiedział, wsadziwszy ręce w kieszenie.
- Moja dusza z każdym rokiem stawała się coraz bardziej plugawa. Zabiłem pięciu ludzi. Obrabowałem tyle banków, sklepów i dyliżansów, że nawet już nie zliczę. Odkąd pamiętam, żyję poza prawem i pewnie będę tak żył dalej, dopóki ktoś nie przedziurawi mnie na wyłot.

- Nie mów tak! - zawołała, zrywając się na równe nogi. - Sam, nie musisz tak umierać - dokończyła łagodniej, niemal błagalnie.

Odwrócił się ku niej, zaskoczony tą troską.

- Taki koniec spotyka zwykle ludzi podobnych do mnie. Albo dziura od kuli, albo pętla na karku.

- Nie. Ty nie jesteś złym człowiekiem.

Ona była naprawdę zabawna!

- Nie rozumiem cię, dziewczyno. Jak możesz mówić, że nie jestem zły? Przecież cię porwałem. Uważasz, że to w porządku, jeśli porywa się kobietę?

- No... nie, ale... - Amy była wyraźnie zbита z tropu. - Ja po prostu myślę, że nie jesteś zły - powtórzyła bezradnie.

Podszedł do niej i stanął tak blisko, że mogła dostrzec błysk w jego ciemnych oczach. Był sztywny, napięty, jak gdyby owładnęła nim złość albo ból - a może i jedno, i drugie.

- Do diabła! Czy ty jesteś święta? Nigdy nie masz dosyć? Powinnaś mnie znienawidzić! - syknął tak wściekle, że w oczach Amy zakręciły się łzy.

- Dlaczego? Ja nie chcę cię nienawidzić - szepnęła.
- Ale powinnaś! Naprawdę nie domyślasz się, dlaczego zabrałem cię ze sobą? Nie wiesz, co chciałem z tobą zrobić?

W milczeniu pokręciła głową, bojąc się odezwać. Nie mogła pojąć, czemu jest tak wściekły. Przerazał ją jego ton.

- Chciałem cię od pierwszego momentu, kiedy cię zobaczyłem. I było mi obojętne, co sobie myślisz, rozumiesz? Czekałem tylko, żeby cię zgwałcić!

Popatrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

Brody zacisnął pięści i bezsilnie uderzył się nimi po kolanach.

- Chryste, ty nawet nie wiesz, co to znaczy, tak? - jęknął.

- N-nie. Bardzo mi przykro, ale nie wiem - wyjąkała, w desperacji zaciskając ręce na piersi. Dlaczego nie mogła rozumieć różnych rzeczy tak jak inni? Nigdy w życiu nie zależało jej aż tak bardzo, by coś pojąć i wiedzieć.

- O, Boże - Sam złapał się za głowę, szarpiąc włosy, jakby chciał sobie zedrzeć skalp. - Nie mów tak, Amy - wykrztusił. - Nie przepraszaaj.

- A co powinnam powiedzieć?

Złapał ją za ramiona i zatopił spojrzenie w jej oczach.

- Jesteś piękna, wiesz? Nigdy nie widziałem tak pięknej kobiety jak ty.

Napięcie opuściło Amy. Nareszcie przestał być na nią zły. Uśmiechnęła się.

- Jest mnóstwo kobiet ładniejszych ode mnie.
- Nie widziałem ich i nie zobaczę - zapewnił, po czym zamilkł i wziął głęboki oddech. - Ja jestem zły,

Amy. A ty jesteś tak czysta, że nawet tego nie widzisz. Po prostu nie znasz zła.

- Znam. Purdon był zły. Bałam się go.

- Dobrze, on był zły. A to taki sam człowiek jak ja.

- Nieprawda. Ty jesteś inny - zaprzeczyła z przekonaniem.

- Nie, Amy. Zabrałem cię, bo chciałem ciebie. Chciałem cię mieć.

Wstrzymała oddech. Teraz wyczuła, o co chodzi, choć więcej niż słowa powiedział jej pożądlivy wzrok mężczyzny. Przeciągnęła językiem po suchych wargach. Sam dostrzegł ten ruch i zacisnął dłonie na jej ramionach.

- Czy to coś złego, że... że mnie chcesz? - zapytała.

- Chciałem cię wziąć siłą. To byłoby gorsze niż to, co mężczyźni robili mojej matce. Oni przynajmniej jej płacili. Poza tym, miała jakiś wybór, choć nienawidziła tego, co wybrała.

- Ale ty nie zmuszałeś mnie siłą i nie skrzywdziłeś mnie. I nie pozwoliłeś mnie tknąć swoim ludziom.

- Tak, ale nie było w tym nic szlachetnego. Po prostu nikomu nie dam zabrać tego, co moje. - Nagle pieśczośliwie pogładził jej policzek. - Nie pozwoliłem ci odejść i nie pozwolę. Tylko nie wiem, czy uda mi się...

- ręka mu zadrżała. - Amy, tak bardzo cię pragnę - wyszeptał. - Chcę całować cię i dotykać, i... - urwał gwałtownie, jakby dławiąc się własnymi słowami.

Amy wstydlivym ruchem wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy. Podobało jej się, że miał szorstką skórę, tak różną od jej skóry.

- Nigdy nie byłam całowana - wyznała nieśmiało.

- To znaczy... tak naprawdę, przez mężczyznę. Ciekawa jestem, jak to byłoby z tobą...

Usłyszała, jak oddycha coraz szybciej, a skóra pod jej dotykiem nagle robi się gorąca. Za chwilę sama poczuła, że serce zaczyna jej bić mocno. Wpatrywała się wyczekująco w Brody'ego, bez lęku, z całkowitym zaufaniem.

To spojrzenie było dla Sama nową udręką. Nie był wart jej zainteresowania. Nie powinien plamić swoim pocałunkiem tych niewinnych ust. Ale jej zaproszenie rozpaliło mu w żyłach ogień. Wyzywając się w duchu od najgorszych, pochylił głowę ku twarzy Amy.

Jego wargi łagodnie dotknęły ust dziewczyny. Były ciepłe i miękkie. Gwałtowny oddech mężczyzny wprawiał ją w drżenie. Nieświadomym gestem wczepiła palce w jego koszulę. Sam otoczył ją ramionami, przyciągając ku sobie. Teraz poczuła, jak twarde i umięśnione jest jego ciało. Ramiona obejmowały ją jak żelazna obręcz. Nie miałyby żadnych szans, gdyby chciała się wyrwać. Ale nawet przez chwilę o tym nie pomyślała. Pragnęła być blisko, jak najbliżej niego.

Teraz całował ją mocniej, bardziej zachłannie. Amy wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję. Stłumiony pomruk wydobył się z gardła Brody'ego. Jego język wtargnął pomiędzy wargi dziewczyny. Zamarła z wrażenia, wstrzymując oddech. Wszystko to było zbyt dziwne i nieznane. Próbowwała się wyrwać. Przytrzymał ją mocno, prawie brutalnie, lecz jego wargi miały w sobie uwodzicielską miękkość. Czubek języka prześlizgiwał się wzdłuż jej zębów, drażniąc wnętrze ust, aż w końcu splótł się z jej językiem. Amy zadrżała, a potem z wolna odprężyła się, poddając nieznanej, coraz bardziej podniecającej pieszczocie.

Kiedy wreszcie zabrakło im tchu, dysząc odsunęli

się od siebie. Amy oparła głowę o pierś Sama. Ogarnęła ją dziwna słabość, jak gdyby pocałunek zmiękczył jej kości i mięśnie. Oblizwała wargi, delektując się pozostałym na nich smakiem. Brody objął ją mocniej, wtulając twarz w jej włosy, a potem nagle opuścił ramiona i odstąpił krok do tyłu.

Popatrzyła na niego z radosnym uśmiechem.

- Tak mi było dobrze. Możemy to zrobić jeszcze raz?

- Nie - jęknął, zaciskając powieki. W swojej niewinności nie zdawała sobie nawet sprawy, co jej słodkie usta są w stanie uczynić z mężczyzną. Nie pojmowała, że po tym jednym pocałunku ogarnęła go niepowstrzymana żądza. Jeszcze chwila, a musiałby wziąć ją natychmiast. Nie mógł na to pozwolić. Nie dojrzała jeszcze do kochania się. Byłaby przerażona, tak jak w momencie, gdy wsunął jej język w usta. Taką kobietę trzeba wieść do miłości powoli, łagodnie, oswajając ją z każdym krokiem.

Sam Brody nigdy nie był twardym i brutalnym kochankiem. Miał zbyt wiele sympatii dla kobiet, z którymi się zadawał, zmuszonych do zarabiania na życie tak, jak jego matka. Nie interesowało go jednak, czy są zadowolone. Po prostu płacił im i wymagał, by go zaspokoili. Tylko tyle.

A teraz po raz pierwszy w życiu pragnął, by jego pocałunki i pieszczoty sprawiały kobiecie przyjemność. Marzył, by Amy sama go chciała i z radością przyjęła w siebie. Z ogromnym zdumieniem uświadomił sobie, że równie mocno jak ciała pragnie jej serca.

- Nie mogę, Amy - powiedział stanowczo. - Nie teraz. Musimy... iść spać.

- Och... - rozczarowanie w jej głosie było tak wyraźne, że o mało znów nie porwał jej w ramiona.

Posłusznie rozłożyła koc. Sam ugasił ognisko i ułożył się obok niej. Jak zwykle przytuliła się do niego ufnie.

Z radosnym uśmiechem zamknęła oczy i szybko zapadła w sen. Brody długo jeszcze nie mógł zasnąć. Leżał, wpatrując się w niebo, ale nie widział gwiazd. Obecność śpiącej u jego boku kobiety wypełniła mu cały świat.

Obudziwszy się rano, Victoria z radością spostrzegła, że gorączka nie wróciła. Wstała cicho i nie budząc Slatera zeszła do kuchni.

Pani Miles i jej synowie kończyli już śniadanie. Na widok wchodzącej dziewczyny twarze braci rozjaśniły jednakowe uśmiechy. Victoria nie rozumiała, jakim cudem uznali ją za atrakcyjną, skoro po dwóch dniach podróży i opieki nad chorym wyglądała jak rozczochrany kocmołuch. Ich nadskakiwanie zaczęło ją drażnić. Przedstawiła się jako żona Slatera, więc nie powinni czynić takich awansów mężatce.

- O, dzień dobry, widzę, że trochę sobie pani pospała - powitała ją rozpromieniona pani Miles.

- Dziękuję, tak. Mogłam spać spokojnie, bo mąż poczuł się lepiej.

Kobieta wyglądała na zdumioną. Sądząc z jej miny, nie dawała choremu zbyt dużych szans.

- Naprawdę? To wspaniale. Niech pani teraz siada i zje z nami śniadanie. Zostawiłam na ogniu kiełbaski - powiedziała, podchodząc do kuchni i zdejmując z ognia wielką patelnię, którą postawiła przed Victoria. Nathan podsunął jej chleb i sos.

Jadła z apetytem. Młodzi mężczyźni popijali kawę i nie spuszczała z niej oczu. Pani Miles zmyła naczynia i wyszła. Victoria poczuła się nieswojo. Czy oni nie mieli nic innego do roboty, tylko siedzieć tu i gapić się na nią?

- Może po śniadaniu pokazalibyśmy pani nasze gospodarstwo? - zaproponował niespodziewanie Dennis.

Stłumiła niecierpliwe westchnienie. Fakt, iż była mężatką, najwyraźniej nic dla nich nie znaczył.

- Dziękuję, ale muszę zostać z mężem. Jest jeszcze słaby.

- Mama mówiła, że może pani pomóc.

- To bardzo miło z jej strony, ale nie chcę nadużywać gościnności. Zresztą, nie lubię się z nim rozstawać - dodała ze znaczącym uśmiechem.

Dennis zmarszczył brwi i gwałtownie odsunął krzesło. Przez ułamek sekundy z jego twarzy zniknął miły, chłopięcy wyraz, ustępując twardej, odpychającej minie kogoś o wiele starszego. Ale już po chwili, zanim zdążyła się zaniepokoić, uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Chodź, Nate. Mamy trochę roboty - mruknął, skinięwszy na brata.

Kiedy wyszli, w drzwiach kuchni zjawiła się rozpromieniona gospodyni, oznajmiając, że Slater rzeczywiście zdrowieje. Już chciała biec do niego, ale kobieta powstrzymała ją ruchem ręki.

- Teraz będzie spał przez dobre parę godzin - powiedziała. - Po takiej gorączce jest słaby jak ślepe kocię. Niech pani sobie tyż odpocznie. A jakbym tak zrobiła gorącą kąpiel? - zapytała kusząco.

- Och, byłabym bardzo wdzięczna! - Victoria nie mogła się oprzeć. Czuła się brudna i pokryta nie tylko swoim potem.

Pani Miles nakazała synom, by przynieśli wielką białą. Napełniła ją wodą podgrzaną na kuchni i zaproponowała, że weźmie do prania brudne rzeczy. Dziewczyna nie miała wyjścia. W pośpiechu zabrała tylko bluzkę na zmianę. Pani Miles musiała się dziwić, że nie mają żadnego bagażu, ale nie powiedziała ani słowa. Zdażyła już ściągnąć bieliznę ze Slatera, za co Victoria była jej niezmiernie wdzięczna. Nie ośmieliłaby się go rozebrać, nawet gdyby był nieprzytomny.

Wreszcie gospodyni zniknęła, zostawiając jej rzeczy na zmianę. Victoria zaczęła się rozbierać, lecz zawahała się. Drzwi na korytarz były zamknięte, ale nie miały zasuwki. Pani Miles nakazała synom pilnować z zewnątrz, by nikt nie wszedł. Pomimo to dziwnie było rozbierać się i kapać w obcym domu.

Szybko zanurzyła się w głębokiej balii i z rozkoszą zaczęła się namydlać. Nagle rozejrzała się czujnie, tknięta niemiłym przeczuciem. Miała nieodparte wrażenie, że ktoś się jej przygląda. Odruchowo skrzyżowała ręce na piersiach, czekając. Ale nic się nie stało. W domu panowała cisza.

Wzruszyła ramionami. Zwykle nie była tak lękliwa. Ciągły niepokój o Amy musiał nadszarpnąć jej nerwy. Nie mogła się jednak pozbyć niemiłego przekonania, że jest obserwowana. Dokończyła kąpieli w rekordowym czasie. Szybko przebrała się w nieco za duże rzeczy pani Miles i z ulgą poszła na górę. Usiadła w pokoju przy oknie i zaczęła rozczesywać ciemne, długie włosy.

- Piękne...

Drgnęła i odwróciła się gwałtownie, słysząc miękki szept. Slater nie spał i patrzył na nią. Oczy miał jasne i przytomne.

- Slater! - wykrzyknęła radośnie. - Obudziłeś się!

- Tak, a na dzień dobry zobaczyłem piękny widok.
- Mówił tak cicho, że musiała podejść do łóżka, by go słyszeć.

- Jak się czujesz? - zapytała troskliwie, kryjąc zakłopotanie. Nie chciała się przyznać, jak ogromną przyjemność sprawił jej ten komplement.

- Jak po indiańskich torturach - westchnął, muskając palcami długie pasmo jej włosów.

- Boli cię coś?

- Trochę ramię i głowa. Najgorzej, że jestem słaby jak dziecko. A gdzie my właściwie jesteście? - zapytał, rozglądając się po pokoju. - Zdawało mi się, że ścigamy bandę Brody'ego.

- Ścigaliśmy, dopóki nie dostałeś gorączki.

Przymknął oczy i przesunął zmęczonym gestem po twarzy.

- Taak... Pamiętam tylko, że pomagałaś mi wsiąść na konia, a potem jechaliśmy gdzieś. Właśnie tutaj?

- Nie, tylko do najbliższego drzewa. Dalej nie byłeś w stanie. Przeleżałaś tam cały wczorajszy dzień. Gorączka spadła dopiero dziś w nocy.

Opowiedziała mu o Dennisie i jego rodzinie. Nawet ta krótka opowieść znużyła go. Głowa bezwładnie opadła mu na poduszkę.

- Pani Miles ugotowała dla ciebie zupę. Przyniosę ci ją. Musisz coś zjeść, zanim znów zaśniesz - powiedziała szybko Victoria i wybiegła z pokoju.

W kuchni, na szczęście, nie było nikogo. Znalazła w kredensie miskę, nalała do niej zupy z kawałkami mięsa i wróciła na górę.

Slater uśmiechnął się, słysząc jej kroki, i otworzył oczy.

- Ciagle gdzieś odpływam - pożalił się.

- Nic dziwnego, jesteś jeszcze słaby. Zjedz, to się wzmocnisz.

Próbował usiąść, ale musiała go podtrzymać. Ze-sztywniał, poczuwszy jej dłonie i nagle zdała sobie sprawę, że pod kołdrą jest nagi. Kiedy był nieprzytomny, ośmielała się go dotykać, ale teraz patrzył jej prosto w oczy. Znow poczuła znajome, podniecające mrowienie w najtajniejszych zakątkach ciała. Drżącą ręką poprawiała poduszki i odsunęła się.

- P-przepraszam. Pani Miles zabrała twoje rzeczy do prania.

- Nie szkodzi. Jeść mogę bez koszuli - powiedział, przyglądając się jej uważnie. Dotyk kobiecych rąk na nagiej skórze wywołał w nim falę zamglonych, niejasnych wspomnień - palącego jak ogień gorąca i chłodnych, miękkich dłoni, łagodną pieśczętą gaszących ten pożar, podających wodę jego rozpalonym ustom. Czy to mogła być Victoria Stafford? Niemożliwe, była zbyt wściekła na niego, by zajmować się swoim wrogiem z taką czułością i troską. Pomimo słabości poczuł pożądanie. Z irytacją oparł się na łokciach i sięgnął po miskę. Zawrót głowy przywołał go do porządku. Z westchnieniem opadł na poduszki i pozwolił nakarmić się łyżką.

Był wygłodzony, ale po kilku łykach powieki zaczęły mu opadać. Zaklął w duchu. Własna słabość dopro-

wadzała go do szału. Dzięki Bogu, że był na łasce takiej kobiety jak Victoria Stafford. Ta myśl otrzeźwiła go na chwilę. Nie miał jednak siły analizować dalej swoich uczuć. Zapadał w sen jak w czarną otchłań.

Victoria odniosła miskę i wróciła, by czuwać przy Slaterze. Spał przez całe przedpołudnie, a ona siedziała wytrwale u jego wezgłowia. Żałowała, że nie ma robotki albo książki, które pozwoliłyby jej zabić nudę i rozproszyć niewesołe myśli. Wreszcie zdrzemnęła się na krześle.

Obudziła się nagle, podświadomie czując, że coś się dzieje. Znalazła się oko w oko ze Slaterem, który siedział na łóżku. Twarz miał bladą jak papier.

- Co ty wyrabiasz? - zawołała, zrywając się na nogi. - Połóż się natychmiast!

- Gdzie broń?

- Co?!

- Moja broń. Colty i karabin.

- Nie masz o czym myśleć? Karabin jest na dole, a pas przyniosłam tutaj.

- Daj mi go, szybko.

- Na litość boską, Slater, masz zamiar mnie zastrzelić? - zawołała, komicznie wywracając oczami.

- Nie, chyba że doprowadzisz mnie do ostateczności - uśmiechnął się. - A teraz daj mi broń.

Z westchnieniem wyjęła z szafki pas z rewolwerami i podała mu.

- Nie wiem, o co ci chodzi - wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy tu bezpieczni.

- Życie nauczyło mnie, że tego nigdy nie można być pewnym. Źle się czuję, nie mając broni w zasięgu ręki - powiedział. Sprawdziwszy, czy colty są na-

ładowane, powiesił pas na gwoździu koło swojej głowy.

- Poczujesz się jeszcze lepiej, kiedy zjesz zupę - zaproponowała, uśmiechając się na widok jego skrzywionej miny.

- Dobra, dawaj to cholerne świństwo - burknął.

- Oho, pan Slater zaczyna kłać. To dobry znak - zauważyła kpiąco i śmiejąc się, zbiegła do kuchni. Ta wymiana zdań wyraźnie poprawiła jej humor. Nalała solidną porcję zupy, opowiadając pani Miles, jak chory przychodzi do zdrowia. Usłużna kobieta po raz kolejny zaproponowała, że posiedzi przy nim, ale Victoria odmówiła.

Kiedy wróciła do pokoiku, Slater spał tak mocno, że postanowiła go nie budzić. Odstawiła miskę i usiadła u wezgłowia. Teraz mogła popatrzeć na niego bez przeszkód. Nie wyglądał już na śmiertelnie chorego, był tylko trochę blady. Twarz, odprężona we śnie, wyglądała młodziej i łagodniej. Zwykle jego rysy zaostrzał twarde wyraz nieustannej czujności i napięcia, zacierając ich urodę. Victoria nieśmiałym ruchem powiodła palcem wzdłuż linii ust, ukrytych pod wąsem. Jak smakowałyby jego pocałunek? Wargi mężczyzny poruszyły się. Wstrzymała oddech, przypominając sobie dotknięcie gorącego języka, kiedy tam, na prerii, zwilżała mu usta.

Znów te dziwne rojenia... Nie powinna tak myśleć o mężczyznach, a już o Slaterze zwłaszcza. Nie lubił jej. I wzajemnie, ona nie lubiła jego. Ale czy naprawdę? Nie była już tego pewna. Wcześniej kłócili się o wszystko. Choroba przyniosła tylko chwilowe zawieszenie broni. A jednak coś się zmieniło. Lęk o życie zwiadow-

cy i długie godziny spędzone u jego wezgłowia wytworzyły poczucie bliskości, jakiego nie odczuwała w obecności żadnego innego mężczyzny. Troszczyła się o niego szczerze i z głębokiej wewnętrznej potrzeby, choć znali się zaledwie od kilku dni.

Podeszła do okna i długo wpatrywała się w dziki krajobraz, usiłując uspokoić wzburzone myśli. Potem usiadła na krzeselku i zapadła w drzemkę. Slater obudził się tylko na moment, by zjeść zimną już zupę. Późnym popołudniem zjawiła się pani Miles, przynosząc wyprane rzeczy. Z ulgą przebrała się w swoją jeździecką spódnicę, a koszulę i spodnie Slatera położyła na łóżku, mając nadzieję, że tym razem ubierze się sam.

Zbliżała się pora kolacji. Z dołu zaczęły napływać rozkoszne zapachy gotowanego jada. Victoria była głodna i nieco oszołomiona po całodziennym siedzeniu w ciasnym pokoiku. Zerknęła na śpiącego mężczyznę i zeszła na dół. Pani Miles właśnie ustawiała naczynia na stole. Jej synowie myli ręce.

- Miło, że pani wreszcie pofatygowała się do nas - zauważyła. - Mąż wytrzyma przez chwilę bez opieki.

- Pewno, pani się o niego za bardzo troszczy - dodał Dennis, podchodząc bliżej i patrząc na Victorie z nie ukrywaną pożądlivością. Nerwowo zerknęła, czy jego matka to widzi. Miała już dosyć tych bezczelnych zalotów i cieszyła się, że Slater wraca do zdrowia.

- Zaraz się ściemni - stwierdził Nathan, stając obok brata. Spojrzała na niego zdumiona, zastanawiając się, o co mu może chodzić. Już wcześniej sprawiał wrażenie trochę pomyłonego.

Ku jej zdumieniu, matka zdawała się doskonale rozumieć, co syn ma na myśli.

- Po kolacji, Nate - odparła krótko.

- Dobrze, mamó.

Najwyraźniej mówili o sobie tylko wiadomych sprawach. Victoria postanowiła zjeść i jak najszybciej wynieść się na górę. Następnym razem poprosi panią Miles o przyniesienie jedzenia do pokoju.

Po kolacji pomogła jeszcze zmyć naczynia i z ulgą wyszła z kuchni. Gospodyni podażyła za nią. Przy stole został tylko Nathan, bo Dennis już wcześniej poszedł na górę.

- Dziękuję za posiłek. Teraz idę do pokoju - powiedziała, wstępując na schody. Ale pani Miles potrząsnęła głową.

- Nie!

- Co takiego? - Dziewczyna obejrzała się na nią, zdumiona.

- Powiedziałam, że nie. Nie pójdziesz tam.

- Dlaczego? - Nie rozumiała, o czym kobieta mówi. W dodatku zniknął gdzieś jej uprzejmy ton. Głos miała twardy, rozkazujący.

- Bo Den ma tam coś do zrobienia.

Victoria słuchała, zdziwiona, ale nie padły już żadne dalsze słowa. Pani Miles wyglądała zupełnie inaczej. Przepadł gdzieś miły, macierzyński uśmiech, usta stały się zacięte, a oczy zimne i złe. Teraz dopiero ogarnęły ją złowrogie przecucia. Coś niedobrego wisiało w powietrzu. Odwróciła się, chcąc pobiec na górę, do Slate-ra, ale kobieta mocno chwyciła ją za rękę i brutalnie ściągnęła ze schodów.

- Co pani robi? Proszę mnie puścić! - szarpnęła się, lecz pani Miles była wyższa i silniejsza.

- Powiedziałam, że nie pójdziesz - powtórzyła twardo.

Nad ich głowami zagrzmiął wystrzał. Victoria zamarła, a potem znowu szarpnęła się rozpaczliwie.

- Slater!

Nikt nie odpowiedział. W oczach jej prześladowczym pojawił się zimny błysk. Victoria zaczęła wrywać się jak szalona.

- Slater!



Walczyła desperacko, drapiąc i kopiąc przeciwniczkę. Za wszelką cenę pragnęła uwolnić się i pobiec na górę. Pani Miles przytrzymała ją obiema rękami i wezwała na pomoc Nathana. Ten zaszedł dziewczynę od tyłu, objął mocno w pasie, uniósł do góry i, choć się szarpała, wyniósł w najdalszy kąt kuchni.

- Puść mnie! - wrzeszczała. - Co mu zrobiliście? Puść! Slater!

- On już jest martwy - stwierdziła z lodowatym spokojem gospodyni. - Dziękuj Bogu, że chłopaki mieli na ciebie ochotę, bo z tobą byłoby tak samo.

Nie tyle sens jej słów, ile ton, jakim zostały wypowiedziane, wstrząsnął Victoria tak, że znieruchomiała i przestała się szarpać. W głosie tej kobiety nie było podniecenia ani gniewu - tylko spokój i rzeczowość człowieka interesu.

- Co to ma znaczyć?

- Den i Nate chcieli się z tobą zabawić, dlatego cię zostawiliśmy. A twój mężulek nam na nic, więc posłaliśmy go w diabły, tak jak innych.

- Jak innych? - wyszeptwała ze zgrozą dziewczyna.

- A pewnie! Den ci nie mówił, że lubimy zapraszać gości? - uśmiechnęła się jadownicę.

- I zabijacie ich?! Zabijacie ludzi, którym ofiarujecie gościnę?

- Z czegoś trzeba żyć, nie? Tylko nie wszystkich się da. Ja mam nosa i wiem, których nie będą szukali. Nie trzeba głupio narażać domu. Ale jak zobaczyłam, że ten twój chłop ma dziurę od kuli, to od razu wiedziałam, że macie jakieś krzywości z władzą i pewnie się nikomu nie zwierzaliście, gdzie jedziecie. Najlepiej, jakby się sam wykończył, od gorączki. Łatwiej by było chłopakom z tobą pogrywać. Trudno, masz jeszcze chwilę, żeby wziąć się w garść, bo będziesz musiała ładnie się postarać.

- A po kiego mam czekać? - Nathan był wyraźnie rozczarowany.

- Spokojnie, synku. Jak tylko Den zejdzie i się z nią zabawi, będzie twoja kolejka.

- Mama, jak rany, czy on zawsze musi pierwszy kłaść na wszystkim łapę? W zeszłym miesiącu zagarnął to piękne meksykańskie siodło. To twój pieszczoł i pozwalasz mu brać wszystko.

- Zamknij jadaczkę! - ofuknęła go matka. - Dobrze wiesz, że on jest w prawie. Pierwszy ją zobaczył i przyprowadził tutaj i tak się na nią napalił, że od razu zamówił sobie pierwszą kolejkę.

Victoria wpatrywała się w panią Miles osłupiała, niezdolna wykrztusić słowa. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że ta serdeczna, uczynna kobieta może najspokojniej w świecie wydawać ją na pastwę swoich synów.

- Chcesz powiedzieć, że... - z przerażenia rwał się jej głos - ...że pozwolisz im mnie zgwałcić?

Uśmiech troskliwej mamusi był zimny i bezduszny.

- Taki nasz babski los, kochana.

- Ale jak możesz? Sama jesteś kobietą! I matką!

- Co ja poradzę, że im wpadłaś w oko? - powie-

działała gospodyni, wruszając ramionami. - Jak się rano kąpałaś, to za cholere ich nie mogłam upilnować, tak się gapili przez tę szparę. A ze mnie dobra matka. Jak synki chcą, to wszystko musi być. Nie myśl sobie, gorsze rzeczy robiłam, żeby tylko chłopaki były szczęśliwe i nie poszły z domu.

Victoria zadrżała ze zgrozy. Ta kobieta była wcielnym złem. Jak mogła dać się nabrać na jej dobroduszość? Jak strasznie była łatwowierna! Bezradna i przerażona chorobą Slatera, z ufnością przyjęła pomoc, nie zwracając uwagi na podejrzane oznaki.

Pani Miles dostrzegła jej mimowolny dreszcz i zaśmiała się złowieszczo.

- Nie martw się - pocieszyła ją obłudnie. - Nie zabijemy cię, nawet jak chłopcy się tobą znudzą. Taka ślicznotka jak ty to prawdziwy skarb. Każdy chłop, którego tu zwabimy, z ochotą weźmie cię do łóżka.

Tym razem lęk ustąpił przed zimną wściekłością. Dziewczyna wyprostowała się dumnie, patrząc swojej przeciwniczce prosto w oczy.

- Jeśli myślisz, że będą mnie mieli, to grubo się mylisz - powiedziała twardo i nieulękłe. - Są gorsze rzeczy niż śmierć.

- No chyba! Już Den będzie wiedział, jak cię wytresować. Będiesz mu jada z ręki, prędzej czy później.

- Niedoczekanie! Spróbujcie mnie tylko tknąć, a pożałujecie!

- Mocne słowa, damulko.

- To nie tylko słowa. Wiecie, kogo zabiliście? Kapitaana Slatera, teksańskiego zwiadowcę! Wojsko nie spocznie, dopóki nie odszuka jego morderców. Dotychczas wam się udawało, ale teraz was dopadną!

- Ehe, gadaj zdrowa - prychnął Nathan. - Jak on jest teksański zwiadowca, to ja jestem generał Jackson!

- Ciekawe - dobiegł ich nagle kpiący głos. - Nie wiedziałem, że Stonewall Jackson jest tak obrzydliwy i głupi.

Jak na komendę odwrócili się i spojrzeli w górę. Slater stał w połowie schodów. Twarz miał upiornie bladą i jedną ręką kurczowo ścisnął poręcz, ale drugą ze śmiertelności celował prosto w panią Miles.

- Slater! - krzyknęła Victoria bez tchu.

- Co, kochanie? - uśmiechnął się. - Chyba nie myślałaś, że dam się zabić takiej nędznej kreaturze, nawet na łożu boleści?

- Powinnaś wiedzieć... - westchnęła dziewczyna z ogromną ulgą.

- A teraz, synku - głos mężczyzny miał twardość stali - jeśli nie chcesz, żebym zrobił krzywdę twojej ukochanej mamusi, puść pannę Stafford.

- Mamo? - młody człowiek spojrzał niepewnie na matkę. Broda zaczęła mu drgać, jak dziecku, które zaraz się rozpłaczę.

Pani Miles zimno popatrzyła w oczy Slatera.

- Zrób to, Nate.

- Mądra decyzja.

Uścisk zelżał i Victoria wyrwała się błyskawicznie. Korzystając z zaskoczenia, dopadła karabinu Slatera, stojącego w kącie, sprawdziła, czy jest naładowany, i wycelowała go w Nathana, przezornie usuwając się z linii ognia. Choć jakimś cudem choremu udało się zastrzelić Dennisa, wiedziała, że nie będzie w stanie długo trzymać tych dwojga na muszce. W każdej chwili mógł zemdleć.

- Łebska z ciebie dziewczyna - stwierdził z uznaniem, błogosławiąc w duchu jej zimną krew.

- Gdzie Dennis? - w głosie pani Miles pojawił się lęk.

- Jeśli masz na myśli tego słodkiego chłoptysia, którego posłałaś, by mnie zabił, to leży na podłodze z kulą między oczami - wyjaśnił uprzejmie Slater.

- Nie! Niece! - krzyknęła rozpaczliwie. - Tylko nie mój chłopak! Nie Denny!

Zaskoczyła ich, jednym skokiem rzucając się do stojaka z bronią. Błyskawicznie przyłożyła strzelbę do ramienia i wycelowała w Slatera.

Victoria była zbyt oszołomiona, by zrobić cokolwiek, ale w ułamek sekundy później, widząc, że Slater się waha, strzeliła. Huk wystrzału zmieszał się z jękiem pani Miles, która padając, zdążyła jeszcze nacisnąć spust. Kula uderzyła w stopień poniżej Slatera.

Cała trójka zamarła, wpatrując się w znieruchomiłe ciało. Pierwszy ocknął się zwiadowca.

- Wielki Boże - Victoria ledwie dosłyszała jego głos. Patrzył prosto na nią. - Uratowałeś mi życie. Wahałem się. Nigdy nie strzelałem do kobiety.

Krew odpłynęła dziewczynie z twarzy. Oczy miała ogromne, przerażone.

- Ja też - wyszeptała ze ściśniętym gardłem.

Powoli zszedł ze schodów i otoczył ją ramieniem. Przytuliła się do niego z wdzięcznością. Czuła mdlący ucisk w żołądku. Wiedziała, że nigdy nie zapomni oszalałych oczu tej kobiety, podnoszącej broń do strzału, ani czerwonej plamy rozkwitającej na jej piersi, kiedy osuwała się na podłogę. Zabiła człowieka. Wstrząsnęły nią dreszcze. Opiekuńcze ramię objęło ją mocniej. Mężczyzna czule musnął wargami jej włosy.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął.

- Mamo? - odezwał się wreszcie Nathan. - Mamo? - zawołał cicho i rzucił się na leżącą bez ruchu postać. - Nie, mamo, nie, nie możesz mnie opuścić! - zawodził, szarpiąc bezwładne ciało. - Co teraz zrobię? Co ja zrobię?

Slater patrzył na tę scenę z mieszaniną niesmaku i litości. Podeszedł, wyjął strzelbę ze sztywniejących rąk pani Miles, wybiegł na podwórze i odrzucił ją tak daleko, jak tylko zdołał. Victoria podeszła do niego, widząc, że usiadł na ganku i schował głowę w ramionach. Była dziwnie otepiała i niespokojna zarazem.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała z troską. Uniósł głowę. Przenikliwe, zielone oczy kontrastowały z szarą, wynędzniałą twarzą.

- Tak. Przejdzie mi. A ty? Nic ci nie zrobili?

- Nie.

Miała ochotę wybuchnąć płaczem, ale zagryzła wargi. Żadnych hysterii, postanowiła twardo. Tego tylko brakowało choremu i osłabionemu Slaterowi. Musi być spokojna i trzeźwa.

- Co teraz zrobimy? - zapytała po chwili rzeczowym tonem. Nie na darmo przez całe życie udawała ojcu i wszystkim naokoło, że jest równie odporna i odważna jak mężczyźni.

Slater spojrział na nią, zdumiony. Jeszcze nie spotkał kobiety, która miałaby taką odwagę i zimną krew. Uległa słabości tylko na chwilę, kiedy tuliła się do niego, ale błyskawicznie doszła do siebie. I to po takim przeżyciu! Szczerze ją podziwiał, choć starał się nie pokazać tego po sobie.

- Trzeba jechać - powiedział, wzruszając ramionami. - Nie masz chyba ochoty spędzić tu nocy, co?

- O, nie. - Marzyła, by oddalić się jak najszybciej z tego koszmarnego miejsca. - Ale czy dasz radę dosiąść konia?

- Nie martw się o mnie. Zaraz spakuję rzeczy. - Kiedy usiłował się podnieść, grymas bólu wykrzywił mu twarz.

- Slater, nie bądź uparty, pozwól, że ja to zrobię. Zachowaj siły na jazdę - nalegała.

Łypnęła na nią z niechęcią, ale kiwnęła głową.

Wchodząc na górę, zaczęła żałować własnej brawury, ale siłą utrzymała się w ryzach. Wiedziała, że Slater tylko czeka, aż wybiegnie z pokoju z krzykiem. Nie da mu tej satysfakcji. Przez własną głupotę wpakowała ich oboje w tę kabałę. Teraz musi mu udowodnić, że da sobie radę w każdej sytuacji.

Jednak widok Dennisa leżącego na wznak z dziurą w czole wystawił jej nerwy na ciężką próbę. Odwracając oczy od trupa, przekradła się do szafki i szybko wyciągnęła rzeczy. Pas Slatera z drugim rewolwerem wisiał jeszcze na ścianie. Bojąc się przestąpić martwe ciało, weszła na łóżko, żeby go zdjąć. Wychodząc, chwyciła jeszcze buty i z ulgą zbiegła na dół.

Slater nie zdołał ukryć podziwu na jej widok.

- Do licha, kobieto - powiedział cicho - czy ciebie nic nie rusza?

- Och, wiele rzeczy - rzuciła niedbale. - Ale staram się nie przejmować.

- Przynajmniej nie będę się łudził, że zapłaczesz na moim pogrzebie - zauważył zgryźliwie.

- A co, uważasz, że powinnam go żałować? Tego szubrawca, który miał cię posłać na łono Abrahama,

a mnie wziąć sobie do zabawy na spótkę z braciszkiem? O, nie!

Zreflektował się i ujął ją za rękę.

- Przepraszam, nie miałem prawa tak mówić. Masz więcej odwagi niż niejeden mężczyzna. - Był zły na siebie za te kaśliwe uwagi. Zachowała się wspaniale i nadal stanowiła dla niego jedyne oparcie. Przeklinał własną słabość. On, który przywykł polegać tylko na sobie, zależny był od kobiety, której w dodatku nie chciał zabrać ze sobą, przekonany, że będzie przeszkadzała!

Uznanie Slatera rozbroiło Victorie. Nagle rozdrażnienie minęło i znów zachciało jej się płakać. Musiała skupić się na czymś konkretnym.

- Co zrobimy z Nathanem? - zapytała. Młody człowiek, głośno łkając, ciągle klęczał przy zwłokach matki.

- Cholera, sam nie wiem. Powinienem go doprowadzić do szeryfa, bo jest zamieszany w te zbrodnie. Ale, z drugiej strony... - machnął ręką, patrząc na żalospną scenę w kuchni. - Teraz, bez matki i braciszka, będzie już nieszkodliwy, a ja straciłbym masę czasu. Trop Brody'ego stygnie. Jedźmy. Niech Nathan Miles kopie swoje groby.

- Och, Sam, patrz, jak tu pięknie! - wykrzyknęła Amy, zatrzymując konia. Jechali już prawie cały dzień, kierując się na północny zachód. Nie było tu śladu człowieka ani domostw, ale dzika, górzysta okolica podobała się dziewczynie. Po przekroczeniu rzeki Kolorado, Sam podążył wzdłuż strumienia, stanowiącego jeden z jej dopływów. W pewnej chwili zza zakrętu wy-

łonił się uroczy, zielony zakątek z niewielkim malowniczym wodospadem, tworzącym basen krystalicznie czystej wody.

Amy zeskoczyła z siodła i w zachwycie patrzyła na mieniającą się tęczowo kaskadę.

- Dzięki, że mnie tutaj przyprowadziłeś. Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego. Czy on ma nazwę? A może odkryliśmy go pierwsi?

- Nie mam pojęcia - mruknął mężczyzna, zsuwając się z konia. - Kiedyś trafiłem do tego wodospadu i wątpię, czy ktoś był tu przede mną.

- W takim razie nazwę go - zdecydowała Amy, łapiąc w dłonie grad drobnych kropelek. - Patrz, jak lśni w słońcu! To będzie Kryształowy Wodospad. Ładnie? - zerknęła przez ramię na Sama.

- Tak, bardzo pasuje - szepnął, oczarowany widokiem tej ślicznej istoty w rajskim zakątku.

- Czy ten stawek jest głęboki? - zapytała, odgarniając z twarzy wilgotne loki.

- Niezbyt. Mogę tam stanąć.

- To wspaniale. Wykapiemy się?

Serce zabiło mu dziko.

- Jeśli masz ochotę...

- Och, ogromną. Marzę, żeby stanąć pod tym wodospadem i czuć, jak omywa mnie woda.

- Dobrze - powiedział stłumionym głosem. Jego rozgorączkowaną wyobraźnię ogarnęła wizja nagiego, smukłego ciała, przęcającego się pod kaskadą. - Zresztą, i tak zatrzymamy się tu na kilka dni. Nie musisz się spieszyć.

- Ale ja chcę teraz - stwierdziła z uporem, jak niecierpliwe dziecko, i przysiadłszy na skale, zaczęła ścigać

gać buty. Brody z drzeniem zaczął się zastanawiać, czy *rozbierze* się przy nim, bezwstydną w swej niewinności. A jednak nie. Zaczerwieniła się, sięgnąwszy do klamry u pasa.

- P-pójdę zająć się końmi - bąknął, odchodząc w dół strumienia. Machinalnie rozsiódł zwierzęta i rozpakował rzeczy. Myślami cały czas był przy Amy.

Kusiło go, by wrócić i patrzeć, jak się kąpie. Pragnął tego, lecz trzymał go w ryzach wewnętrzny nakaz. Czuł, że nie może zawieść jej zaufania, nawet gdyby nie była tego świadoma. Nie poznawał sam siebie. Nigdy nie miał podobnych skrupułów. Skończywszy robotę, usiadł na skale i wypalił cygaro, które dostał od Raula.

Kiedy usłyszał chrzęst żwiru, odwrócił się czujnie. Zza złomu granitu wyłoniła się Amy. Była znów w swoim chłopięcym stroju, ale wilgotna koszula nęcająco opinała jej piersi, a rozpuszczone, mokre włosy zwisały ciężką falą. Chryste, jakże jej pragnął! Potrzebował całej siły woli, by nie skoczyć jej na spotkanie i nie porwać w ramiona.

- Już? Woda była za zimna?

- Bardzo zimna, ale cudowna - uśmiechnęła się. - Taka jasna i czysta, a wodna mgiełka spowijała mnie jak... - z wrażenia zabrakło jej słów. - Po prostu, nie jestem w stanie tego opisać. Najlepiej, żebyś sam spróbował, zanim zrobi się ciemno.

- Po ciemku też jest przyjemnie. - Głos z trudem wydobywał mu się z gardła. Wyobrazenie tej dziewczyny kąpiącej się z nim nago przy blasku księżyca sprawiło mu niemal fizyczny ból.

- Na pewno masz rację. Ale bałabym się kąpać sama w nocy.

- Nie musiałybyś kapać się sama.

Amy zacisnęła dłonie, wstrzymując oddech. Czy on myśli, że mogliby zdjąć ubrania i razem wskoczyć nago pod wodospad? Z wahaniem podeszła jeszcze o krok bliżej. Chciała, żeby Sam ją pocałował. I chciała czegoś więcej, czego jeszcze nie знаła...

- Sam, dlaczego wczoraj mnie pocałowałeś?

- Bo cię pragnałem, Amy.

- A dlaczego przestałeś?

Odchrząknął, ale głos miał nadal schrypnięty i szorstki.

- Ponieważ ty... Ponieważ nie mogę się spieszyć. Nie chcę cię zmuszać. Jesteś... taka niewinna.

- Chcesz powiedzieć, że jestem głupia? - zapytała z niepokojem.

- Nie! - Impulsywnie skoczył na równe nogi i stanął przed nią. - Nie jesteś głupia ani niedorozwinięta. Już ci to mówiłem, pamiętasz?

- Tak - patrzyła na niego ogromnymi, ufnymi oczami. - Pamiętam i wierzę ci. Ale o czym, w takim razie, myślałeś?

- Że jesteś nietknięta. Czysta. - Delikatnie musnął palcami jej policzek i smukłą linię szyi.

- Nie chcę tego zniszczyć. Nie chcę cię zranić ani przestraszyć.

- Nie boję się ciebie. Ufam ci.

- Ale ja nie ufam sobie.

Nie zrozumiała. Spojrzała na niego pytająco.

Przesunął kciukiem po jej wargach, tęskniąc za pocałunkiem.

- Prawda, jak możesz zrozumieć? - szepnął. - Jesteś zbyt dobra, by dostrzec we mnie zło.

Mówiąc to, czuł z okrutną wyrazistością, jak walczą w nim dwa impulsy. Pragnął przytulić ją czule i delikatnie całować, a jednocześnie brutalnie zerwać z niej przyciasne spodnie i nasycić się wreszcie jej kobiecością, bez względu na konsekwencje. Lecz myśl o gwałcie stała się nagle zupełnie obca i daleka. Niespodziewanie zdał sobie sprawę, że bardziej niż ciała tej dziewczyny pożąda jej ducha i słodczy delikatnych pieszczot. Jak gdyby jasne, ciepłe światło promieniujące z Amy wsączyło się w jego ciemną duszę.

Pochylił się i powoli dotknął ustami jej warg, smakując ich cudowną miękkość. Wówczas bez żadnej zachęty przyłgnęła do niego całym ciałem, zarzucając mu ręce na szyję. Poczował, że płonie, ale powstrzymywał się, pozwalając, by ich języki poznały się nawzajem. Za żadną cenę nie chciał jej do niczego zmuszać.

Wstrzemięźliwość została nagrodzona. Amy ośmieliła się posmakować jego ust, więc pogłębił pocałunek, pozwalając, by przywarła do niego jeszcze mocniej, coraz żarliwiej szukając nowych doznań. Jego oddech stał się gwałtowny, urywany, a puls dziewczyny zaczął bić coraz szybciej. Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie takich przeżyć. Chciała całować tego mężczyznę bez końca, namiętnie, zachłannie, zatracić się do reszty. Chciała tak wiele - tysiąca rzeczy, których nawet nie umiała nazwać. Drżąc, wpiła palce w twarde ramiona Sama.

Brody padł na kolana, pociągając Amy za sobą. Jedną ręką unieruchomił jej głowę, wplatając palce we włosy. Marzył, by zatopić się w niej bez reszty. Jakby ogień eksplodował mu pod czaszką, palącym strumieniem rozpluwając się po całym ciele. Dygotał z tłumionej żądzy.

Zachłannie sięgnął dłońmi do krągłych pośladków dziewczyny i przycisnął ją mocno do siebie, aż poczuła twardość wzbierającej męskości.

Zaczął całować jej twarz, a potem zsunął wargi niżej, obsypując smukłą szyję to pieszczotliwymi ukąszeniami, to delikatnymi muśnięciami. Amy odrzuciła głowę w tył, poddając się jego ustom, z każdym dreszczem rozkoszy wbijając mu paznokcie w ciało. W końcu, oszołomiona nadmiarem nowych doznań, zwiśla bezwładnie w jego ramionach. Nawet nie próbowała pojąć, co się z nią dzieje. Poddawała się bez wahania wszystkiemu, co dyktowało jej ciało i zmysły.

Odnalazł jej ucho i przygryzł zębami jego delikatny płatek. Kiedy zaczął myskować czubkiem języka we wnętrzu kształtnej muszli, zareagowała przeciągłym jękiem rozkoszy.

Ten dźwięk wyzwolił w nim powstrzymywane namiętności. Pociągnął Amy do siebie i przetoczył się z nią po ziemi, całując z dziką, niemal brutalną pasją. Teraz musiał ją osiąść, musiał wejść w nią. Uwięził dziewczynę w żelaznym uścisku nóg i drżącymi z niecierpliwości palcami zaczął ją rozbierać.

Niespodziewanie przerwał, jakby budził się ze snu. Pod kraciatą kowbojską koszulą miała białą koszulkę, zawiązaną z przodu na różową tasiemkę. Pod koronkami falowały piersi, poruszane szybkim oddechem. Ciemne sutki prześwitywały przez cienki batyst.

- Amy... - szepnął z nabożnym zachwytem, sięgając do różowej kokardki. Rozwiązał ją powolnym ruchem i rozluźnił, aż tkanina rozwarła się, odsłaniając jego oczom białe ciało. Teraz dopiero zobaczył, jak bardzo była smukła i wąska w talii. Piersi miała drobne,

ale cudownie kształtne. Różowe sutki skurczyły się w chłodnym wieczornym powietrzu. Wyobrażał sobie, jak dotknie językiem tych świeżych, słodkich malin.

- Jesteś piękna - powiedział niskim, drżącym z emocji głosem. Czarne oczy jarzyły się pożądaniem.

Błękitne oczy ufnie odpowiedziały na jego spojrzenie. Amy, jeśli nawet odczuwała dziewiczy wstyd, prawie nie zdawała sobie z tego sprawy. Wszystko przytłaczało podniecające uczucie dumy. Ten mężczyzna patrzy na nią, bo uważa, że jest piękna i cieszy go widok jej nagiego ciała. Rosło w niej pragnienie, by obnażyć się przed nim zupełnie, aby mógł oglądać ją całą. Czuła, jak pod jego wzrokiem jej sutki twardnieją i swędzą rozkosznie, a w głębi brzucha narasta słodki skurcz.

Brody przesunął językiem po spierzchniętych wargach i ujął w dłonie piersi Amy. Gwałtownie wciągnęła powietrze, ale nie cofnęła się. Lekko obwiodł kciukami nabrzmiałe sutki. Przymknęła oczy i zagryzła dolną wargę.

Brody był u kresu wytrzymałości. Ciało paliło go jak w gorączce, a napięta męskość pulsowała boleśnie. Nigdy w życiu nie pragnął niczego i nikogo nie pożądał tak jak teraz tej dziewczyny. Każdym nerwem, każdą myślą pragnął kochać się z nią, teraz, natychmiast.

Pochylił głowę i obwiodł językiem koniuszek nabrzmiałej piersi. Amy drgnęła, zaskoczona gwałtownością doznania. Teraz ssał po kolei sutki, rozpalając dziewczynę tak, że zaczęła wic się w jego ramionach i wyginać w łuk, wczepiając mu palce we włosy.

Ustami i pakami pieścił jej piersi coraz namiętniej,

aż odrzuciła głowę do tyłu, krzyząc jego imię i usiłowała wyszarpnąć biodra z ucisku jego ud.

Czuła, jak wilgotne gorąco rozpływa się w jej wnętrzu, nagłąc, by poszukała zaspokojenia. Czuła, że tylko ten mężczyzna może dać jej wszystko, czego coraz bardziej boleśnie pożądała. Chciała opleść go nogami i poczuć w sobie, lecz nie zwalniał ucisku. Poirytowana i zniecierpliwiona, szarpała się coraz gwałtowniej.

Jej gorączkowe ruchy podniecały go nieprawdopodobnie. Myślał już tylko o spełnieniu, o wejściu w nią, uwolnieniu się od nieznośnego napięcia. Tylko ciało Amy mogło przynieść mu ulgę. Przesunął rękę ku zapięciu jej spodni. Płaskie, metalowe guziki nie poddawały się jego drżącym palcom, więc ze wściekłym pomrukiem chwycił materiał w obie ręce, by rozerwać go jednym ruchem.

I nagle poraził go obraz siebie, klęczącego nad bezbronnym ciałem Amy, owładniętego zwierzęcym pożądaniem, gotowego rwać jej ubranie na strzępy i gwałcić. Obraz był tak wyraźny, jak gdyby Sam zmienił się w obserwatora i stanął z boku, śledząc całą scenę.

Zaklął i odskoczył od Amy, zwijając się na ziemi w prawie fizycznym bólu. Zwierzę! Jeszcze chwila, a upokorzyłby tę niewinną dziewczynę, rzucając się na nią jak na dziwkę. Jeszcze chwila, a nie starczyłoby mu sił, by się wycofać. Usiadł, oparty plecami o skałę i skulił się, ciasno obejmując rękami kolana, jakby chciał uwięzić szalejącą w nim bestię.

Amy również usiadła, drżąca i zaskoczona. Nie rozumiała, dlaczego Sam tak nagle ją zostawił. Czy znów zrobiła jakiś błąd? Zadygotała i zgarnęła poły koszuli.

Nagle zrobiło się jej zimno, a własna nagość stała się wstydliva. Szybko zapięła guziki.

- Przepraszam - powiedziała nieśmiało.

- Na Boga, nie! - jęknął, udręczony do ostatnich granic. - Zachowałem się jak zwierzę! To ja cię przepraszam - wykrztusił. Słowa z trudnością przechodziły mu przez gardło.

Ale dziewczyna nie miała pojęcia, jak niesłychanie rzadką rzeczą są przeprosiny Sama Brody'ego. Toteż nie przyniosły jej ulgi i niczego nie rozumiejąc, dręczyła się nadal.

Wstał powoli i nie patrząc na nią, wcisnął ręce w kieszenie.

- Robi się późno - rzucił, idąc ku skałom. - Musimy przygotować nocleg.

Amy podniosła się z westchnieniem. Nawet się nie odwrócił. Czuła się dziwnie pusta i niezadowolona. Chciała, żeby wrócił i znów ją całował. I żeby wytłumaczył, jaki błąd popełniła.

Wolno, w zamyśleniu ruszyła w stronę obozowiska. Co powinna zrobić, by Sam znów zechciał ją całować?



Victoria i Slater z ulgą oddalali się od zbrodniczego domu Milesów. Jechali w milczeniu. Żadne nie miało ochoty na rozmowę. Slater czuł się fatalnie, a ona ciągle jeszcze nie mogła otrząsnąć się z szoku.

Wkrótce zaczął zapadać zmrok. Kiedy zatrzymali się na postój, długo nie mogła zasnąć. Leżała, pogrążona w myślach, nasłuchując każdego odgłosu i z zazdrością patrząc na śpiącego mężczyznę.

Rano czuła się zmęczona, za to Slater wyraźnie doszedł do siebie. Jeszcze był słaby, lecz stopniowo wracały mu siły. Osiodławszy konie, przekroczyli rzekę i ruszyli w górę jej biegu, wypatrując śladów. Dwa razy znaleźli odciski podków na błotnistym podłożu, ale liczba jeźdźców nie zgadzała się, toteż pojechali dalej.

Wreszcie Slater zatrzymał konia i zsiadł. Kucnąwszy, badał uważnie nowe tropy. Wreszcie wyprostował się i popatrzył triumfalnie na Victorie.

- Co znalazłeś? - zapytała z nadzieją.
- Cztery albo pięć koni przechodziło tędy przez rzekę. Nie wiem, ile dokładnie, bo ślady są stare.
- To oni?
- Mam nadzieję.
- W takim razie jedźmy - rzuciła niecierpliwie.

Pojechali szybciej, ale i tak tempo wydawało się jej ślimaczo powolne. Odciski były zatarte, a chwilami

całkowicie zanikały. Ograniczyli odpoczynek do minimum, niezmordowanie podążając śladami uciekinierów. Kiedy wieczorem, wyczerpani, zatrzymali się na nocleg, Victoria popatrzyła na Slatera z nie ukrywanym podziwem. Ostatnie mile pokonał z ogromnym wysiłkiem, chwiejąc się w siodle z pobladłą twarzą. Kiedy zsiadli z koni, bezsilnie osunął się pod skałę i zamknął oczy.

Dziewczyna sama zajęła się wierzchowcami, a potem rozpałała małe ognisko. W torbach Slatera znalazła trochę kawy z wojskowych zapasów i zaparzyła ją w małej, poobijanej menażce, również stanowiącej część jego służbowego ekwipunku. Aromatyczny płyn ożywił jej zmęczone ciało. Z apetytem zaczęła przeżuwać suszone mięso, zerkając na leżącego mężczyznę.

Znowu uderzyło ją to, jak niewinnie, niemal bezradnie wyglądał we śnie. Było w nim coś, co ją pociągało, pomimo wszystkich dzielących ich różnic. Dopijała kawę i usiadła, obejmując rękami kolana. Uświadomiła sobie, że zerknęła na Slatera przez cały dzień, pod pretekstem sprawdzania, czy dobrze się czuje. Tymczasem dostrzegła wiele szczegółów - silne uda, wprawnie ścisnąjące boki konia, wąskie biodra, twarde mięśnie, przężące się pod koszulą.

Z zakłopotaniem potarła spocone dłonie o spódnicę. Ciotka Margaret z pewnością uznałaby te myśli za wielce zdrożne, zwłaszcza gdyby wiedziała, że Victoria z drżeniem wyobraża sobie męskie dłonie obejmujące ją w talii i sunące ku piersiom: Odruchowo ścisnęła kolana. To szaleństwo myśleć tak o Slaterze, który uważał ją za zimną, arogancką i niekobiecą. Zresztą, i tak nie był dla niej. Pragnęła związku z mężczyzną dobrym

i opiekuńczym, takim, który chciałby zostawić po sobie ślad na ziemi w postaci potomstwa i domu, nie zaś z nie mającym własnego kąta włóczykijem, który prędzej czy później zginie w obronie prawa, zostawiając po sobie tylko parę śmiercionośnych coltów czterdzieści pięć.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Na swój użytek zrobiła ze Slatera dziką, niemal egzotyczną istotę, pociągającą, lecz zakazaną. A w końcu był tylko zahartowanym przez trudy niezliczonych szlaków twardym mężczyzną, który miał nieco bystrzejsze oczy niż inni.

Wstała i rozesłała koc blisko ognia. Ten ruch obudził śpiącego. Zrazu rozglądał się nieprzytomnie, ale szybko skupił spojrzenie na dziewczynie.

- Przepraszam, że zostawiłem ci na głowie całą robotę - uśmiechnął się blado.

- Daj spokój, przecież widziałam, że miałeś dosyć. Lepiej powiedz, czy coś zjesz.

Przytaknął i ochoczo zabrał się do żucia suszonego mięsa, które mu podała. Jedząc, zerkał w zamyśleniu na smukłą postać wyciągniętą na kocu.

Rozmyślał, jak rozwija się ich przypadkowa znajomość. Ostatnim wyraźnym wspomnieniem sprzed choroby była kłótnia w obozowisku, po której zostawił ją samą. Ale później zaopiekowała się nim, kiedy był nieprzytomny, i ocaliła od kuli pani Miles. Dwa razy więc uratowała mu życie. Czuł, że coś musiało się stać, kiedy leżał w gorączce - coś, co doprowadziło do pojednania. Victoria odnosiła się teraz do niego o wiele łagodniej, a on sam nie miał już ochoty odsyłać jej do tatusia.

Był teraz zmuszony całkowicie polegać na kobiecie,

co mu się nigdy dotąd nie zdarzyło. I ufał jej instynktownie. To również była nowość.

Żałował, że tak mało pamiętał z okresu choroby. Tylko mgliste, przemieszane obrazy, których nie potrafił dopasować do rzeczywistości. Wspominał dziewczynę, którą poznał, kiedy stacjonował w obozie zwiadowców w El Paso. Jak jej było na imię? Przemawiał do niej, dotykał jej, a ona pieściła jego nagie ciało. Ale te miękkie dłonie obmywały go również mokrą chustką, niosąc ulgę w gorączce. Czyżby to jednak była Victoria?

Potem napłynęło wspomnienie o kobiecie jadącej z nim w jednym siodle. Pocił się i płonął z gorączki, ale dotyk jej ud i piersi, ocierających się o niego w rytm poruszeń konia, był jeszcze bardziej rozpalający. Przeniknął go zmysłowy dreszcz. Musiał śnić, ale był dziwnie pewien, że śnił o Victorii.

Och, jeszcze ten przekłety kot... Otwarcie oczu i spojrzenie prosto w ślepią atakującej pumy było koszmarem, nawet dla niego. I cudowne wybawienie - drapieznik, zwijający się w skoku i padający na ziemię w kałuży krwi, Victoria, wyłaniająca się zza skał z dymiącą strzelbą. Nie, to musiał być sen.... Ale czemu pamięta go tak wyraźnie?

- Posłuchaj, czy ja tylko śniłem o pumie, czy była naprawdę? - zagadnął niespodziewanie.

- Co takiego? - drgnęła, zaskoczona. - A, puma. Owszem, widziałam ją tak jak ciebie teraz. To był samiec, największy, jakiego spotkałam.

- I ty go zastrześliłaś? - Przytaknęła. - Słowo daję, nie kłamałaś, kiedy mówiłaś, że umiesz obchodzić się z bronią.

- Ojciec uczył mnie, kiedy jeszcze byłam małą. Musiałam wtedy opierać łufę o ogrodzenie. Chciał, żebym umiała się obronić.

- I dobrze zrobił - uśmiechnął się Slater. Jak dotąd, sen okazał się jawą. A reszta? - Bardzo mało pamiętam - potarł czoło w zakłopotaniu. - Zdaje mi się jeszcze, że gdzieś jechaliśmy...

- Kiedy zaatakowała cię gorączka, musieliśmy skryć się w cieniu. A potem pojechaliśmy z Dennisem do domu Milesów. Tak się chwiałeś w siodle, że musiałam wsiąść razem z tobą, żeby cię podtrzymywać.

A więc to była Victoria! To były jej ręce, piersi i biodra. Samo wspomnienie wywołało w nim falę pożądania.

- Jesteś niesamowita, wiesz? - powiedział ze szczerym uznaniem.

- Czemu tak uważasz?

- Przecież przed moją chorobą żarliśmy się jak pies z kotem. Jednak kiedy miałem gorączkę, zajęłaś się mną.

- No wiesz! - obruszyła się. - A co miałam zrobić, zostawić cię tam, żebyś się wykończył?

- Zauważ, że usiłuję ci podziękować - zaznaczył, siląc się na nonszalancki ton.

- Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo.

- Nie każdy byłby w stanie. Ty jesteś twarda.

Już przedtem Victoria dostrzegła u niego to spojrzenie, pełne podziwu, a zarazem zdumienia. Wówczas podobało się jej bardziej niż pełne głupiego pożądania spojrzenia innych mężczyzn. Ale teraz, o dziwo, rozdrażniło ją. Skoro tak patrzył, już nie widział w niej kobiety.

Za chwilę zganiła się w duchu za idiotyczne myśli. Czego właściwie chciała? Być głupią gęsią, żeby Slater mógł docenić, jaka jest ładna i kobieca? Bzdura! Zresztą, obojętne, co on sobie pomyśli.

- Czy powiesz mi teraz: „a nie mówiłam”? - zapytał po chwili.

- Och, chodzi ci o to, że nie chciałeś mnie zabrać...

- Victoria ułamała gałązkę i zaczęła nią rysować wzory na ziemi. - Nie, nie powiem. Przecież przeze mnie o mało nie zginęliśmy.

- Daj spokój, skąd mogłaś wiedzieć, że Milesowie to zbójcka szajka.

- Domyśliłabym się, gdybym była bardziej czujna.

- Oni się dobrze maskowali, szczególnie stara. Kiedy przyszła mnie opatrzeć, była przemiła i mamusiowata. Właściwie też niczego nie podejrzewałem. Połapałem się dopiero, kiedy jej synek wparował do pokoju z odbezpieczonym rewolwerem.

- Byłeś na tyle podejrzliwy, by zawiesić nad łóżkiem pas z bronią.

- Stały zwyczaj, kochana, nic więcej. Zdążyłem się nauczyć, jak niebezpiecznie jest nie mieć broni pod ręką. Zresztą, i tak miałem cholerne szczęście. On myślał, że śpię, i był zbyt pewny siebie. Zgubiły go moje buty, bo nachylił się, żeby je obejrzeć czy przymierzyć. Wtedy zdążyłem wyciągnąć jednego colta. Myślisz, że się nie bałem, kiedy zobaczyłem mordercę koło swojego łóżka? Serce waliło mi jak młotem.

- Coś takiego! - zdumiała się. - A sprawiasz wrażenie zimnego i niewzruszonego faceta. Nigdy nie zapomnę twojej miny, kiedy stałeś na schodach, celując w panią Miles i jej synalka. Miałeś twarz jak z kamienia.

- Ty też potrafisz zachować zimną krew.
- Czasami. - Gałązka w jej ręku pękła z trzaskiem. Slater pochylił się i ujął jej dłoń w swoją.

- Czasem dobrze jest okazać trochę słabości. Kiedy osiągniesz punkt, w którym tego nie potrafisz, nie jesteś już człowiekiem.

Jego dłoń była szorstka i ciepła, a głos brzmiał dziwnie miękko. Victoria z drzeniem przypomniała sobie kojący uścisk jego ramion, kiedy uspokajał ją po śmierci pani Miles. Nagle zapragnęła przytulić się do niego, poczuć siłę tego twardego, męskiego ciała, poczuć się bezpieczną i wolną od trosk. Z trudem powstrzymała ten odruch.

- Dziękuję ci - wyszeptała tylko.

- Nie dziękuj. Powiedziałem prawdę. Najlepiej będzie, jak zapomnisz o tym wszystkim.

Dopił kawę, którą mu odgrzała, i ułożył się na swoim kocu. Zасыpiając, patrzył na subtelny profil dziewczyny, oświetlony pełgającym blaskiem dogasającego ognia. Oczy miała zamknięte. Długie rzęsy rzucały drżący cień na policzki. Gdybym czuł się lepiej, nie byłoby mi łatwo leżeć spokojnie obok tak pięknej kobiety, pomyślał. Zасыpiając, uśmiechnął się na myśl, że rano zobaczy ją znowu.

Następne dni były dla Brody'ego niebem i piekłem jednocześnie. Nigdy jeszcze nie był tak spokojny i szczęśliwy i nigdy jeszcze nie cierpiał takich udreń, jakie sprawiało mu nie zaspokojone pożądanie.

U wodospadu czuł się na tyle bezpiecznie, że mógł przez kilka beztroskich dni cieszyć się towarzystwem Amy. Kochała naturę i dosłownie chłonęła wszystko,

co ją otaczało. Potrafiła wspiąć się na drzewo, by pokazać mu ptasie gniazdo, albo ciągnęła go nad strumień, gdzie wypatrywali ryb i żółwi, wygrzewających się na kamieniach. Zbierała kwiaty i układała z nich piękne bukiety, które z dumą podsuwała mu do oglądania.

Wcześniej Brody widział w ptakach i zwierzętach wyłącznie ewentualnych wrogów albo coś, co da się włożyć do garnka. Nie przyszło mu nigdy do głowy, by położyć się na plecach i obserwować, jak smukły sokół zatacza kręgi na tle błękitu, albo chichotać na widok przepiórczej mamy, prowadzącej rzędem pisklęta, jak dowódca swoich żołnierzy. Nie zwracał uwagi na rozszalałe barwy kwiatnych dywanów ani na majestatyczne piękno granitowych skał, złożonych promieniami słońca. Teraz, przy Amy, uczył się tego. Przejmował od niej naturalną, beztroską radość życia. Tu, w tym rajskim zakątku, zapomniał prawie, jak okrutne potrafi ono być.

Ponieważ mieli tu zostać dłużej, zbudował z gałęzi i mchów szałas, który dawał im przytulne schronienie. Dziewczyna asystowała mu przy budowie, zasypując go pytaniami, jak ciekawskie dziecko. Choć ważniejszy był dla niego dźwięk jej głosu niż sens pytań i odpowiedzi, odpowiadał wyczerpująco i cierpliwie. Dla Amy, którą dotychczas zbywano, uważając, iż jest zbyt głupia, by się czegoś nauczyć, było to objawieniem.

Wiele rozmawiali - głównie o koniach i różnych znajomych ludziach. Nie były to głębokie rozmowy. Po prostu miłe, niespieszne pogawędki.

Żadne z nich nie było nigdy tak szczęśliwe.

Jednak ta sielanka nie złągodziła udręki Sama. Bez

przerwy wodził wzrokiem za Amy, pragnąc jej skrycie. Ona sama nieświadomie podsycala pałacy go ogień. Teraz nosiła spódnice i bluzkę, podarowane jej przez Beatrix. Spódnica, krótsza, niż to zwykle było przyjęte, przy każdym kroku odsłaniała zgrabne kostki. Wycięty dekolt meksykańskiej bluzki pozwalał mu zachwycać się smukłością szyi i krągłością ramion. Już nie wkładała koszulki i strome piersi o ciemnych sutkach rysowały się pod cienkim płótnem jeszcze bardziej kusząco, niż gdyby była naga.

Każdego wieczoru zaplatała warkocz na noc, a rano rozczesywała długie włosy, by spleść je ponownie. Za każdym razem, gdy sięgała po grzebień, Sam obiecywał sobie, że odejdzie, gdyż nie był w stanie spokojnie patrzeć na kaskadę loków spływającą z jej ramion. Ale zostawał i w udręce śledził, jak miękkimi, powolnymi ruchami przeczesuje długie sploty. Wieczorem jej włosy lśniły żywym srebrem w świetle księżyca. Rankiem przypominały roztopione złoto. Zaciskał palce, wiedząc, że jeśli ich dotknie, Amy pozwoli mu na wszystko.

Raz zdarzyło się jednak, że jego czujność osłabła, a bariery, jakie wznosił siłą woli, opadły. Pewnej nocy przyśnił mu się stary koszmar, dręczący go od lat. Ocknął się nagle, drżący i zlany potem.

- Sam! Sam! Obudź się! - krzyczała Amy, szarpiąc go za ramię.

Przez chwilę patrzył na nią nieprzytomnie, a potem znieczulony przygarnął do piersi i wtulił twarz w ciepłe zagłębienie jej szyi. Serce biło mu dziko, ale poczuł się błogo i bezpiecznie. Senne zmory nie miały wstępu do świata, w którym była Amy.

Głaskała go po głowie, szepcząc kojące słowa, aż uspokoił się i odprężył.

- Opowiedz, co ci się śniło? - poprosiła.

Zrazu miał ochotę zbyć ją jakimś wykrętem. Dorosły mężczyzna nie powinien bać się, jak dziecko, sennej mary. Ale czuł, że nie potrafiłby niczego ukryć przed tą kobietą.

- To był mężczyzna... właściwie chłopak. Zastrze-
liłem go. Napadliśmy na dyliżans pocztowy, jadący
z Austin do Houston. Chyba ze cztery lata temu. Tego
dzieciaka posadzili ze strzelbą na kozła jako ochronę.
Zabarykadowaliśmy drogę i zatrzymaliśmy ich. Zawo-
łałem, żeby wyrzucili kasetkę z pieniędzmi. Woźnica
byłby posłuchał, ale ten szalenciec sięgnął po strzelbę.
Zobaczyłem, że celuje we mnie i wrzasnąłem „nie!”
Wtedy myślałem tylko, że jest głupi, straszliwie głupi.
A przecież musiał być piekielnie odważny. Zabiłem go,
Amy. Musiałem. Inaczej on zabiłby mnie.

- Och, Sam - wyszeptła drżącym od łez głosem
i przyciągnęła go do siebie. - Tak mi przykro.

- Pamiętam, że miał taką zdziwioną minę, jakby nie
wierzył, że umiera. Potem spadł z kozła prosto pod
moje nogi. Zupełny dzieciuch, mógł mieć najwyżej sie-
demnaście lat. - Zaciśnął dłonie na ramionach dziew-
czyny. - Śni mi się czasami. Widzę, jak sięga po broń,
widzę jego twarz, kiedy trafiła go moja kula. Stoi prze-
de mną i patrzy. Tylko patrzy. A ja budzę się z krzy-
kiem, zlany zimnym potem.

Amy tuliła go bez słowa, gładząc po głowie i ple-
cach. Zabicie człowieka było dla niej najgorszym ze
złych czynów. Nienawidziła przemocy i bała się jej. Ale
w tym momencie myślała tylko o Samie, dręczonym

bólem i skruchą. Teraz wierzyła jeszcze mocniej, że jest dobrym człowiekiem. Prawdziwy zbrodniarz nie miałby wyrzutów sumienia ani sennych koszmarów.

Przez długą chwilę leżeli, objęci, aż poczuła, że uspokoił się zupełnie. Pocałowała go w policzek. Jego skóra była tak gorąca, że aż parzyła jej wargi.

Uśmiechnęła się. Lubiła czuć to podniecające ciepło. Przeciągnęła ręką po plecach mężczyzny, wyczuwając palcami węzłaste sploty mięśni. Sam wydał śmieszny dźwięk - ni to pomruk, ni to westchnienie, i pocałował ją w szyję. Jego wargi już tam zostały i teraz przesuwwały się powoli w górę, ku ustom. Odrzuciła głowę do tyłu.

- Och, Amy - wydyszał i rozchylił jej usta pocałunkiem, wsuwając rękę w wycięcie bluzki. Nareszcie mógł urzeczywistnić marzenie o dotknięciu jej piersi, kusząco prześwitujących pod cienkim materiałem. Ale jędrna, gładka krągłość, którą ujął łakomą dłonią, była czymś nieporównanie wspanialszym od wyobrażeń.

Miał szczerzy zamiar poprzestać tylko na pocałunku, lecz znowu nie docenił siły własnej namiętności. Pożądanie zawładnęło jego myślami i tylko resztki rozsądku podpowiadały mu, że musi działać powoli, by nie sprawić jej bólu.

Teraz jego ręce zaczęły zsuwać się coraz niżej. Każdą nowo odkrytą część jej ciała obdarzał pieśczołą - i tak poznał płaski brzuch i dziewczęce biodra, a potem smukłe, twarde uda, rysujące się pod spódnicą. Niecierpliwie odgarnął fałdy materiału, odsłaniając białe, koronkowe pantalone. Wtargnął pod nie śmiało, sunąc zachłanną dłonią po jedwabistej skórze, aż natrafił na wilgotne gorąco, ukryte wśród miękkich kędziorków. Chrapliwy jęk wydarł mu się z gardła.

Amy znów zatraciła się w powodzi nieoczekiwanych doznań, przenikających jej rozedrgane ciało - ale zeszytniała natychmiast, czując pieśczętę w najbardziej sekretnym miejscu. Nawet nie wyobrażała sobie, że mogłaby tam poczuć rękę mężczyzny.

- Sam? - szepnęła pytająco.

Brody również znieruchomiał, nagle przywrócony do rzeczywistości. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak daleko się posunął.

- Sam?

Cofnął rękę, bezsilnie zaciskając ją w pięść i z bolesnym jękiem zsunał się z jej ciała.

- O Boże... Amy, wybacz mi...

Usiadła, nieprzytomnie rozglądając się wokół. Znów nie mogła zrozumieć, dlaczego tak nagle ją porzucił, przerywając cudowne chwile.

- Sam, co się stało? Czy zrobiłam coś złego?

- Nie, skąd.

- Więc o co chodzi?

- O mnie. - Odrza do samego siebie nadała jego głosowi twardy, szorstki ton. - Znów chciałem cię zmusić. Wybacz, to się już nie powtórzy.

Usiłowała spojrzeć mu w oczy, ale odwrócił się, uparcie patrząc w bok.

- Ale... podobało mi się to, co robiłeś.

Zgarbione ramiona mężczyzny drgnęły.

- Amy, na litość boską, przestań - wyszeptał zduszonym głosem.

- Nie rozumiem...

- Nie rozumiesz? Przecież chciałem cię wziąć siłą. Jeszcze chwila, a zrobiłbym to!

Niepokojący dreszcz przemknął jej wzdłuż krzyża.

Nie pojmowała w pełni, o co chodzi, ale trwała w napiętym, podniecającym wyczekiwaniu.

- Wszystko w porządku, Sam - powiedziała.

Niedostrzegalnie dla niej zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły się w ciało. Znow w ostatniej chwili powstrzymał się, by nie porwać jej w ramiona i nie kochać się z nią do szaleństwa.

- Nie, Amy. Nie mógłbym już przestać.

- Wcale tego nie chcę.

Jej słowa podziały na niego jak najbardziej namięt-na pieszczota. To stawało się nieznośne. Nienawidził siebie za zwierzęcą żądzę.

- Amy - zdobył się na jeszcze jeden wysiłek - ty nawet nie podejrzewasz, jak byłabyś przerażona, gdybym robił to dalej. Jesteś dziewicą i... zadałbym ci ból.

Spoważniała.

- Jak wielki?

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Przypominała mu dziecko, zastanawiające się, czy warto wspiąć się na drzewo i ryzykować obtarcie kolana.

- Nie wiem - odparł z rozbijającą szczerością.
- Jeszcze nigdy nie miałem dziewicy. Słyszałem tylko, że to boli.

- Zawsze?

- Po raz pierwszy, tak.

- Tylko po raz pierwszy?

Kiwnął głową.

- Jak rozumiem, każda kobieta musi przez to przejść, prawda? Więc nie może być tak strasznie, bo jakoś żyją. Nieraz się skaleczyłam i bardzo mnie bolało, a potem przeszło.

- Dziewczyno, nawet nie wiesz, co mi ofiarowujesz!

- w ułamku sekundy znalazł się tuż przy niej. - Ty zasługujesz na wszystko, co najlepsze. Powinnaś mieć miękkie łożo i dobrego, uczciwego mężczyznę, a nie twardą skałę pod gołym niebem i nędznego łachmytę, który zmarnuje ci życie! - wyrzucił z siebie z rozpaczą.

Przez długą chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Ponura prawda tych słów uderzyła go dopiero teraz.

- Sam, nie możesz tak o sobie mówić!

- Ale taka jest prawda, Amy - stwierdził cicho. Twarz miał pustą i nieruchomą, jak maska. - Oboje o tym wiemy. Jestem złym człowiekiem. Mogę cię tylko skrzywdzić i złamać ci życie. Już to robię. A jeśli będę się z tobą kochał, stanie się najgorsze.

- Nie... Nie!

- Tak! Do licha, pragnę cię do szaleństwa, ale nie splamię cię swoją podłością. Nie wciągnę cię w cuchnące bagno, jakim jest moje życie! - wykrzyczał i zataczając się, odbiegł w ciemność.



Tropienie bandy Brody'ego było nadzwyczaj żmudnym zajęciem. Miejscami ślady były tak stare i zatarte, iż Victoria nie mogła wyjść z podziwu, jakim cudem Slater w ogóle je odnajduje. Chwilami gubiły się zupełnie, lecz natrafiał na nie znów, jakby wiedziony szóstym zmysłem.

- Bardzo powoli to idzie - zauważyła, kiedy kolejny raz zatrzymał konia, wpatrując się w skalisty grunt.

- Mhm... - mruknął wymijająco.

- Wiem, wiem, trzeba cierpliwości i uporu. Ale pewnie i czegoś więcej.

- Owszem. Nic bym nie wskórał, gdybym nie znał dobrze Brody'ego. Domyślam się, w jakim kierunku podąża, ścigam go od tak dawna, że nabrałem doświadczenia.

- Od kiedy?

- Od dwóch lat. On ma w zanadru wiele sztuczek. Jest tak dobry w uciekaniu i kryciu się jak ja w tropieniu. A może nawet lepszy.

- Dlaczego tak się na niego zawzięłeś?

Wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Nie żywię do niego jakiejś szczególnej urazy, ale ciągle rzuca mi wyzwanie, stając na mojej drodze. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim, kiedy jeszcze stacjonowałem w Copperas Cove. Obrabo-

wał dylizans i dostałem zadanie wytropienia go. Wykołował mnie dokładnie. Byłem wściekły, bo miałem się za wielkiego specjalistę. Od tej pory zacząłem ścigać go na własną rękę w każdej wolnej chwili. Nasyłałem na niego szpicli, płaciłem niezliczonym informatorom, razem z szeryfami brałem udział w pogoniach za nim. I nic. Zawsze udało mu się wymknąć.

- Mam wrażenie, że nieomal go podziwiasz - zauważyła.

Spojrzał na nią, zaskoczony, a potem zaśmiał się cicho.

- Na swój sposób, tak - przyznał. - Podziwiam jego mistrzostwo. Jest bystry, szybki, bardzo zorganizowany. Umie radzić sobie z ludźmi, a nie jest to łatwe, wzięwszy pod uwagę, z kim ma do czynienia. I jest od nich o wiele uczciwszy. On nie zabija bez potrzeby.

- Ale porwał Amy - wtrąciła ostro dziewczyna. - Łatwo sobie wyobrazić, co z nią może zrobić.

- Niektórzy mężczyźni gotowi są ryzykować wszystko, żeby zdobyć wybraną kobietę. Brody nie był taki przedtem - stwierdził poważnie Slater.

Victoria spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Sugerujesz, że moja kuzynka sprowokowała go do tego?

- Nie twierdzę, że świadomie. Ale, na Boga, nie głaszcze się grzechotnika. A coś podobnego właśnie zrobiła, litując się nad Brodym.

- Amy ma wrażliwą duszę i dobre serce. Nie może znieść, kiedy ktoś cierpi. Chciała być dla niego dobra, a jeśli on tak się jej odwdzięczył, to jest skończonym łotrem! Z ochotą bym go wychłostała.

- Wcale nie jest powiedziane, że ją skrzywdził.
- Ciekawe! Po co w takim razie ją porywał?
- Może jako zakładniczkę. Mógł liczyć, że wymusi na mnie ugodę.

- Wszystko jedno, dlaczego ją porwał. I tak może zrobić z nią, co chce, bo jest zdana na jego łaskę.

- Jeżeli ją zabije, nie będzie mógł wywierać na mnie nacisku - zauważył trzeźwo.

Victoria ścisnęła w rękach wodze.

- Są inne straszne rzeczy... Och, biedna Amy! Ona jest taka bezbronna.

Jej rozpacz poruszyła Slatera. Za wszelką cenę chciał ją pocieszyć.

- Przypuszczam, że... zatrzymał ją dla siebie.

- I to ma być pocieszające? - wybuchnęła.

- A wolałabyś, żeby zginęła?

- Ona jest tak niewinna! Ty jej nie znasz. Nigdy nawet nie flirtowała z żadnym mężczyzną. Nie zdaje sobie sprawy, co jej może grozić. Jeśli on... Nie, nawet nie mogę o tym myśleć.

- Już ci mówiłem, że Brody nie zabija bez potrzeby i nie słyszałem, żeby zdarzyło mu się skrzywdzić kobietę. Może będzie się z nią obchodził łagodnie.

- Łagodnie? Taki człowiek jak on w ogóle nie zna tego słowa. Poza tym, jak można łagodnie... zniewolić kobietę? Naprawdę myślisz, że nic jej nie zrobił? - Na jej twarzy gniew mieszał się ze wstydem. Po raz pierwszy tak otwarcie rozmawiała z mężczyzną o sprawach seksu. Kiedy indziej nie śmiałaby tego zrobić, ale teraz była zbyt rozżalona i wściekła, by dbać o dobre wychowanie.

- Tego nie powiedziałem - zaperzył się. - Do licha,

ty wszystko pojmujesz opacznie. Przecież próbowałem cię pocieszyć, dać jakąś nadzieję.

- Dziękuję uprzejmie, ale nie jestem delikatnym kwiatuszkciem, który trzeba chronić złudną nadzieją.

- To nie jest złudna nadzieja. Znając Brody'ego, mam wszelkie podstawy, by twierdzić, że nie zabił Amy ani nie wydał na pastwę swoim ludziom. Choć nie mogę cię zapewnić, że sam nie wziął jej siłą. Ale roztrząsanie najgorszych możliwości nic nam nie pomoże. Doścignę Brody'ego i odbiję twoją siostrę. A on zapłaci za to, tak jak i za inne swoje zbrodnie.

- Żadna kara nie zrównoważy krzywdy wyrządzonej tej dziewczynie. Ona jest aniołem. Jest zupełnie inna niż ja.

- Czyżbyś nie uważała się za anioła? - zachichotał.

Gdyby jej spojrzenie mogło zabić, już by nie żył.

- Wiem, co o mnie myślisz. I co sądzi o mnie większość mężczyzn.

- No? To ciekawe...

- Z początku uważają, że jestem piękną słodką idiotką... dopóki nie otworzę ust. Przyznaj, że sam tak myślałeś, kiedy zobaczyłeś mnie po raz pierwszy.

Slater opuścił powieki, by nie dostrzegła wyrazu jego oczu. Przypomniał sobie, jak stała na ulicy w zakurzonej podróźnym stroju, a niebieskie oczy błyszcząły w jej ślicznej twarzy. Pamiętał, jak łakomym spojrzeniem obrzucał ponętne kształty, skryte pod skromną suknią.

- Zgadza się. Pomyślałem, że jesteś piękna - przyznał i chrząknął z zakłopotaniem. - Tylko ślepy by tego nie zauważył.

- Żartujesz! Podsłuchałam kiedyś, jak mężczyźni mówili, że zachowuję się jak istna jędzka.

- Jędza?

- Tak. Władcza, pyskata i nie dająca się chłopu wziąć w cugle. Najpierw oczekują ode mnie, że będę słodka i uległa, a potem gorzko się rozczarowują. Jeśli interesują się mną, to tylko dlatego, że jestem niebrzydka i mam zamożnego tatusia. Ale tak naprawdę, przerażam ich. Wiem o tym.

Slater pokiwał głową. Ta dziewczyna miała rozum i twardość mężczyzny. Gdyby była inna, już dawno by nie żył.

- Jeśli ich przerażasz, to znaczy, że są słabi. Ale istnieją jeszcze inni, dla których jesteś wyzwaniem - powiedział po chwili niskim głosem. Oswoić i rozkochać w sobie taką dziką dziewczynę - przed takim wyzwaniem nigdy jeszcze nie stanął. Odwrócił głowę, by nie patrzeć w jej niebieskie oczy, nie wyobrażać sobie, jak z wyzywających stają się pełne miłosego oddania. Victoria Stafford była niebezpieczną kobietą; pięknoscią, która mogła doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. Kobieta, której nie sposób było wziąć do łóżka raz, dla rozrywki, a potem o niej zapomnieć.

Po raz pierwszy dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. Słowa Slatera dźwięczały jej w głowie, lecz nie miała śmiałości, by spytać, co naprawdę miał na myśli. Czyżby uważał się za tego, który podjąłby wyzwanie? Ze wszystkich mężczyzn, których dotąd spotkała, tylko on mógłby to zrobić. Miał w sobie siłę i twardość, które budziły respekt.

- Zresztą - ciągnął miękким, uwodzicielskim głosem - może wcale nie jesteś tak twarda, za jaką się uważasz.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo pamiętam, jak mówiłaś, że nie dbasz o to, co

powiedzą ludzie, kiedy dowiedzą się, że zniknęłaś ze mną na kilka dni.

- I co z tego? - spytała lodowatym tonem.

- Powiedz mi, dlaczego pani Miles nazwała cię moją żoną?

Zdradziecki rumieniec wykwitł na policzkach Victorii.

- Pewnie tak jej się wydawało.

- Uhm... Ciekawe, czemu nie powiedziałaś jej prawdy?

- Uznałam, że to nieistotne.

- Na tyle nieistotne, że zdjęłaś moją odznakę i wrzuciłaś ją do buta, tak?

Porzucił już żartobliwy ton, co niezmiernie zirytowało Victorię.

- Bałam się, że pani Miles nie pomoże nam, kiedy będzie znała prawdę. To wszystko. Byłeś zbyt chory, żebyśmy mogła ryzykować.

- A nie martwiłaś się przypadkiem, co ci ludzie sobie pomyślą o panience, która włóczy się z tropicielem ścigającym groźnego przestępcę?

- Miałam inne zmartwienia na głowie. Zresztą, chyba niczego nie podejrzewali.

- Och, z pewnością - mruknął.

Victoria była wściekła. Zawarty na czas choroby rozjem wyraźnie się kończył. Slater stał się tak samo denerwujący jak przedtem. Ostro popędziła konia, rozdrażniona jego rozbawioną miną.

Kiedy przekroczyli Pedernales, w przybrzeżnym błocie dostrzegli płataninę śladów.

- Cholera! - zaklął Slater. - Rozdzielili się.

- O, nie - jęknęła. - Którym tropem teraz pójdziemy?

- Myślę, że rozdzielili się na dwie grupy. Prawdopodobnie Brody odesłał swoich ludzi na wschód, a sam pojechał dalej z Amy. Widzisz? - pokazał na dwie linie odcisków, wyraźnych w tym miejscu. - Ten koń stapał lżej, tak jakby jechała na nim kobieta.

Z wolna podążyli nowym tropem. Prowadził na północ, często gubiąc się wśród skał. Slater miał zmartwioną minę. Łatwiej było dostrzec ślady pięciu koni niż dwóch. W dodatku nie był do końca pewien, czy rozumował właściwie.

Rozbili obóz, kiedy było już prawie ciemno, a wyruszyli o świcie. Niemal natychmiast zgubili trop. Urywał się na brzegu strumienia, wpadającego do rzeki Kolorado. Kiedy przekroczyli kamieniste koryto, zdołali go jeszcze odnaleźć, lecz wkrótce doprowadził ich do skalnego płaskowyżu, gdzie zamknął zupełnie. Pomimo to Slater zdecydował się jechać dalej. W końcu skalny palec urwał się, przechodząc w pylistą równinę, gdzie nie było już żadnych śladów. Slater zsiadł z konia i długo krążył po okolicy, lecz nie znalazł niczego.

- Znów to zrobił - odezwał się wreszcie dziwnie beznamiętnym tonem, kryjącym wściekłość.

- Co takiego?

- Zmył się. Zgubiłem go.

- Nie martw się, przecież tyle razy ślad się gubił i jakoś go znajdywałeś.

- O nie, tym razem jest inaczej.

Victoria poczuła mdlący ucisk w żołądku. Pierwszy raz widziała Slatera tak zdesperowanego.

- Chodź, szukajmy dalej. Na pewno się uda - próbowała podtrzymać go na duchu.

Wrócili nad strumień i przepatrzyli jego brzegi w obu kierunkach, lecz bez rezultatu. Szukali zgubionego tropu aż do zmroku, a następnego ranka spróbowali znowu. Kiedy słońce stało już wysoko na niebie, Slater skręcił pod rozłożysty dąb i zsiadł z konia. Victoria poszła za jego przykładem. Kiedy odwrócił się ku niej, rysy miał ściągnięte i nieruchome.

- Zgubiłem go. Wracamy. Nie mamy tu już czego szukać.

Poczuła, że ogarnia ją rozpacz.

- To niemożliwe - wyszeptała.

- Nie mamy wyboru. Brody uciekł.

- Nie możesz się poddać! Szukaj!

- Victorio, wiem, co mówię. Szukaliśmy półtora dnia. Na darmo. Nie ma sensu męczyć się dalej.

- Przecież nie mógł rozpułynać się w powietrzu!

- Niestety, znów mnie przechytrzył. Wymyślił jakiś nowy podstęp, cholernie skuteczny. On na pewno nie zniknął, ale jego ślad - tak. Musimy wracać do Austin. Tam mam swoją kwaterę, a ty będziesz mogła wysłać telegram do ojca.

- Zwariowałeś?! Mam zostawić Amy własnemu losowi? Nie jadę do żadnego Austin. Chcesz, to jedź sobie sam!

Zacisnął usta.

- Słuchaj, nie powiedziałem, że rezygnuję z pościgu. Znajdę Brody'ego.

- Kiedy? Kiedy obrabuje następny bank? - zapytała jadowicie. - Za rok? Za dwa?

- Gdy zdobędę nowe informacje.

Victoria nie panowała już nad sobą. Poczuła się zdradzona i oszukana.

- Myślałam, że jesteś sławą wśród tropicieli - wycedziła. - Myślałam, że jesteś twardszy i odważniejszy od innych mężczyzn. A tymczasem okazałeś się mięczakiem i tchórzem. Jestem bardziej mężczyzną niż ty!

Drgnął, jakby ukąsił go wąż, i błyskawicznym ruchem chwycił ją za przegub, przyciągając do siebie.

- Zapewne, wzięwszy pod uwagę, jak mało jesteś kobieca. Mało tego, jesteś samolubną, rozwydrzoną pannicą, która myśli, że wszyscy mężczyźni powinni słuchać jej na klęczkach. Nie potrafisz nawet myśleć logicznie. Zamiast rozsądkiem kierujesz się głupimi odruchami. Dbasz tylko o własne zachcianki, zapominając o rzeczywistości.

- Troskę o życie najbliższego człowieka nazywasz zachcianką?

Slater zmełł w ustach przekleństwo.

- Mierzysz wszystko swoją miarką. Tylko dlatego, że nie wściekam się jak ty, wydaje ci się, że zrezygnowałem z pościgu pod byle pretekstem! Naprawdę uważasz, że zostawię tę niewinną dziewczynę w rękach Brody'ego? Zastanów się, co mówisz! - zaczął tracić cierpliwość. - Martwię się o nią nie mniej niż ty. Od lat ryzykuję życie, ścigając takich drani jak Brody, zamiast założyć rodzinę i hodować bydło na farmie. I dawno już nauczyłem się trzymać nerwy na wodzy, kiedy mi się nie szczęści. Tylko dzieci i baby rozpaczają, zamiast myśleć!

- Puść mnie! - zawyła, wrywając się. - Niech cię szlag trafi! Jedź do Austin! Ja zostaję.

- A zostań sobie, panienko - warknął. - Będziesz tu krążyć w kółko, aż zagłodzisz się na śmierć. Bardzo to pomoże twojej ukochanej Amy.

Podszedł do koni i trzęsącymi się ze złości rękami zaczął sprawdzać uprząż i juki. Tylko te czynności, wykonywane tysiące razy na każdym postoju, były w stanie go uspokoić. Przez chwilę miał ochotę kłać, rzucić czymś, albo chwycić tę straszną babę i porządnie nią potrząsnąć. Do furii doprowadzała go świadomość, że zmarnował cenny czas przez własną słabość, ślady zdążyły się już zatrzeć. Gdyby nie to, może przejrzałby podstęp Brody'ego.

Ale zgubił trop, a przeciwnik znów go przechytrył. Victoria gardziła nim za to i, prawdę mówiąc, sam czuł dla siebie pogardę.

Victoria, stojąc obok przy swoim koniu, usiłowała skupić się na tym samym rytuale sprawdzania uprzęży. Ręce jej drżały. Wiedziała, że jeśli zostanie sama, nie będzie miała żadnych szans. Słowa wymknęły się jej w złości i teraz ich żałowała. Z rozpaczą pomyślała o Amy. Jeśli Slater zrezygnował z tropienia, będzie musiała się poddać. Nienawidziła siebie za głupie uczucia do tego człowieka - za to, że go pożądała, że wyobrażała sobie jego pocałunki. Nawet za to, że uważała go za przystojnego.

Kiedy wreszcie się odezwała, głos miała spokojny, lecz twardy jak skała.

- Masz rację. Nie dam rady. Wracam z tobą do Austin, a potem wynajmę najlepszego tropiciela w mieście.

- Obawiam się, że ci się to nie uda, bo najlepszy jestem ja - stwierdził kwaśno. - Jeśli ja nie znajdę Brody'ego, nikt go nie znajdzie. Lepiej pozwól mi działać.

- Nie, dziękuję. Nie mam zamiaru czekać przez dwa lata.

Slater bezsilnie zacisnął pięści i wskoczył na konia, bodąc go ostrogami. Victoria po chwili ruszyła za nim. Jechali w milczeniu, z dala od siebie.

Brody spalał się w niespełnionym pożądaniu, a jednocześnie całą siłą woli nakazywał sobie, by nie dotykać Amy. Tak postanowił zeszłego wieczoru, kiedy przerwał miłosną grę. Ale myśl, by pozwolić jej odejść, była równie nieznośna. Czuł się jak w pułapce.

Sama Amy przyczyniała mu dodatkowych udręk. Każdego wieczoru i ranka odprawiała ceremoniał czesania włosów, każąc mu za każdym razem marzyć o zanurzeniu palców w złote pasma. Kiedy jedli albo rozmawiali, siadywała przy nim tak blisko, że czuł ciepło jej ciała. Gdy spacerowali, chwytła go za rękę, żeby coś mu pokazać, albo żartobliwie poklepywała po plecach.

Wyraźnie dawała mu przyzwolenie i chwilami sam się sobie dziwił, czemu jeszcze z niego nie skorzystał. A jednak trwał w męczeńskim uporze, powtarzając sobie, iż nie jest jej wart i splamiłby ją swoją miłością.

Ona jedna dostrzegła w nim dobro i nie zniósłby, gdyby zgasł jasny, ufny blask jej oczu. Dręczył się, przeczuwając, że Amy mogłaby go pokochać tylko wtedy, gdyby otworzył przed nią duszę. Niestety, nie zobaczyłaby tam niczego oprócz plugawej czerni. Ta świadomość przerażała go bardziej niż śmierć.

Dlatego całą siłą woli tłumił przypływy pożądania, wystawiany nieustannie na ciężką próbę przez niewinne zaczepki dziewczyny. Nie podejrzewał, by mogła świadomie go uwodzić.

A jednak się mylił. Amy, choć nieporadnie, uwodziła go z całą świadomością. Brak doświadczenia nadrabiała obserwacjami. Szybko skojarzyła, w jakich sytuacjach w oczach Sama zapala się błysk pożądania i starała się je jak najczęściej prowokować.

Niestety, ku jej rozczarowaniu, nic nie skutkowało. Przysięgłaby, że jej pragnie, a jednak zachowywał chłodną rezerwę. Wreszcie, wbrew swojej naturze, ośmieliła się zadziałać bardziej otwarcie.

Pewnego popołudnia, kiedy łowił ryby nad strumieniem, przysiadła obok niego, podciągnawszy kolana pod brodę. Spojrzał na nią z uśmiechem, rad z jej towarzysztwa.

- Sam, czy możesz mi odpowiedzieć na pewne pytanie?

- Uhm... - mruknął z roztargnieniem, poruszając przynętą.

- Dlaczego kobieta czuje ból? Wiesz, pierwszy raz, kiedy... jest z mężczyzną.

Wędka omal nie wpadła mu do wody. Spojrzał na Amy z przerażeniem i szybko odwrócił głowę, by ukryć rumieniec. On, stary wyjadacz, który wychował się w domu publicznym, wstydził się rozmawiać o seksie! Odchrząknął, zażenowany.

- Dziecino... czy ty naprawdę musisz...

- Sam, proszę - przysunęła się bliżej i położyła mu rękę na ramieniu. - Nikt nie chciał ze mną rozmawiać o tych sprawach. Uważali, że jestem za głupia i nie będzie mi to potrzebne. Wiesz, myśleli, że żaden mężczyzna mnie nie zechce...

- Idioci. Każdy mężczyzna by cię chciał.

- Powiesz mi?

Brody wyszarpnął wędkę z wody. W tym stanie i tak nie złowiłby ani jednej ryby.

- Amy, błagam, daj spokój. Nie jestem dobry. Mówiłem ci to już. Ja...

- Zhańbisz mnie? A kiedy przestanę być niewinna, przestaniesz mnie lubić, tak? Nie będziesz mnie chciał?

- Nie! Zawsze będę.

- Czy stanę się zła, kiedy się ze mną pokochasz?

- Ty nie możesz być zła.

- W takim razie dalej nie rozumiem. Czym mi grozi bycie z tobą?

Jej szczere pytanie zbiło go z tropu. Nie znał odpowiedzi. Wierzył, że Amy nie zmieniłaby się, nawet gdyby posiadał ją mężczyzna taki jak on. Pozostałaby nadal dobra i niewinna. Ale myśl, że nie jest jej godny, uparcie drażyła mu skołatany umysł.

- Nie jestem dobry dla ciebie - powtórzył bezsilnie.

- Myślę, że byłbyś bardzo dobry dla mnie, Sam - powiedziała miękko i pogładziła go po policzku. Teraz golił się codziennie i dotyk gładkiej skóry sprawiał jej przyjemność. - Podobało mi się wszystko, co ze mną robiłeś. Chciałabym, żebyś zrobił to znowu. Chcę czuć to, co czułam wtedy.

Milczał. Nie był w stanie wykrztusić słowa. Powietrze ze świstem wydobywało mu się z płuc, a ciało pło-
nęło.

Nie poruszył się, kiedy przesunęła opuszkami palców po jego wargach ani wtedy, gdy ujęła jego twarz w obie ręce. Przymknął tylko oczy i mimowolnie rozchylił usta.

Amy, czując się dziwnie śmiała i uwodzicielska, pochyliła się ku nim. Nie wiedziała, jak zacząć pocałunek,

więc ostrożnie skubnęła najpierw górną, potem dolną wargę, a wreszcie przycisnęła usta do ust mężczyzny. Sam wydał stłumiony jęk. Odsunęła się, spłoszona, i otoczyła mu szyję ramionami, by utrzymać równowagę. Pod palcami czuła napięte jak struny mięśnie.

Czekała, nie wiedząc, co dalej robić. Brody otworzył oczy i spojrzął na nią tak, że przebiegła ją fala gorąca.

- Proszę... - powiedział cicho, błagalnie.

- Nie chcesz mnie?

- Pragnę cię bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Zrobiłam już wszystko, żebyś chciał mnie znów całować, ale ty nawet nie drgnąłeś. Nawet wtedy, kiedy sama cię pocałowałam...

- Robiłaś to z rozmysłem? Dotykałaś mnie, przysuwałaś się tak blisko, pocałowałaś?

Spuściła głowę i skinęła w milczeniu.

- Dobrze. - Wziął głęboki oddech. - Więc powiem ci. Jest cienka skóra, błonka, tam gdzie mężczyzna wchodzi w ciebie. Za pierwszym razem ona się rozdziera i wtedy boli. Po tym przestajesz być dziewicą.

- Sam, gdybyś się ze mną kochał - zaczęła, ignorując jego przeczący ruch głową - obchodziłbyś się ze mną łagodnie?

- Oczywiście.

- A myślisz, że jakiś inny mężczyzna byłby równie łagodny? Czy zadałby mi mniej bólu?

- Nie, nie sądzę - odparł po chwili wahania.

- Mam już dwadzieścia lat - ciągnęła powoli - a nawet nie miałam adoratora, nie mówiąc już o narzeczonym. I nigdy dotąd nie myślałam o mężczyznach tak jak o tobie. Jesteś wyjątkowy i jedyny. Wiem, że

mnie nie skrzywdzisz. - Spojrzała na niego ogromnymi, błękitnymi oczami. - Chciałabym, żebyś był tym pierwszym.

Sens jej słów nie dotarł jeszcze do Brody'ego. Milczał, walcząc z zamętem myśli.

- Sam? - Pochyliła się i pocałowała go raz, a potem jeszcze raz. - Sam?

Czuła, że jego ciało drży w napięciu. Odsunął się od niej gwałtownie. Piers unosił mu szybki, urywany oddech.

- Amy, ostrzegam, za mało mnie znasz. Jeszcze chwila, a przestanę nad sobą panować i...

Nim skończył, przyłgnęła do niego namiętnie.

- Tego właśnie chcę - szepnęła z wargami tuż przy jego ustach. - Kochaj mnie, Sam. Proszę.

Z głuchym, niemal zwierzęcym pomrukiem ogarnął ją ramionami i potoczyli się na ziemię. W zapamiętaniu szukał jej ust, by obdarzyć je nienasyconym pocałunkiem. Jego wargi były wszędzie - na jej policzkach, powiekach, szyi. Pieszczotliwie kąsał ucho dziewczyny. Amy w niemym oddaniu przyłgnęła do niego, wpijając palce w twarde ramiona. Gorący, chrapliwy oddech mężczyzny parzył jej skórę.

Sutki miała boleśnie napięte. Piersi tęskniły za pieszczotą. Kazał jej czekać nieznośnie długo, wreszcie jego dłoń rozpoczęła powolną wędrówkę szlakiem wiodącym ku najtajniejszemu miejscu jej ciała. Nigdzie nie zatrzymała się dłużej i z tą samą denerwującą powolnością wróciła ku piersiom, zamierając tam w bezruchu. Amy przytrzymała ją mocno, a Sam uśmiechnął się triumfalnie. Jawny dowód, iż dziewczyna tak bardzo go chciała, napełniał go dumą i szczęściem.

- Kochana - szepnął, sunąc wargami wzdłuż jej napiętej szyi. - Ach, Amy...

Niespiesznie rozluźnił wiązanie dekoltu i ściągnął jej bluzkę z ramion, obnażając jędrne piersi. Uniósł się na łokciu i przyglądał się im, a potem powiódł palcem wokół różowego sutka, patrząc, jak twardnieje w napięciu. Podobnie działo się z jego męskością, boleśnie domagającą się natychmiastowego spełnienia. Czuł, że jeszcze chwila i eksploduje. W głowie wirowały mu szalone myśli, niweczając wszelkie odruchy rozsądku. Teraz jego ciałem rządziły wyłącznie zmysły.

Skłonił głowę i powiódł językiem wokół różanego pączka, a potem chwycił go w usta. Amy wstrzymała oddech. Kiedy przeszedł do drugiego, z jękiem wygięła się w łuk, podając mu piersi do pieszczoty.

Jaskrawe światła zatańczyły pod powiekami dziewczyny, kiedy poczuła jego szalone dłonie, usta i język. Wpiła palce w gęstą czuprynę Sama, szarpiąc boleśnie, lecz ból rozpułynał się w wirze radosnej pasji, która go ogarnęła.

Nagle oderwał się od Amy, zostawiając ją oniemiałą i rozdygotaną. Usiadł i zaczął szarpać się z guzikami koszuli. Zerwał ją sobie i rozłożył na ziemi, a potem uniósł Amy i ściągnął jej bluzkę przez głowę. Zrozumiała, że już jej nie zostawi tak jak poprzednio.

Wstała i zaczęła rozpinąć spódnicę. Sam przykucnął i patrzył. Nie miała halki, tylko długie, bawełniane pantalonki, obszyte skromnymi koronkami. Przesunął językiem po spierzchniętych wargach. Serce biło mu dziko, a płuca pracowały jak miechy. Amy zerknęła na niego i z zachwytem dostrzegła namiętny błysk wycieknięcia w czarnych oczach. Nigdy żaden mężczyzna

nie oglądał jej nagiej. Gdyby to nie był Sam, spaliłaby się ze wstydu. Ale rozbieranie się dla niego było cudownym, podniecającym przeżyciem. Teraz czuła się wyzwolona i bezwstydna.

Rozwiązała tasiemki i jednym ruchem wyzbyła się ostatniej części ubrania. Stała przed Samem zupełnie naga i zamarła w napięciu. Długo chłonał ją wzrokiem, milcząc, aż w jej myśli wdarło się zwątpienie. Czy mu się nie podoba?

Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie drżał niekłamany zachwyt.

- Jesteś piękna, Amy. Nigdy nie widziałem kogoś tak pięknego.

Rozłożył spódnice na koszuli, tworząc poślanie na twardej ziemi, i wyciągnął rękę do dziewczyny. Podeszła powoli i położyła się na wznak, ani na chwilę nie spuszczać oczu z Sama. On również wydawał jej się piękny. Silne, zwarte ciało, złożone z węzlastych mięśni, prężących się pod smagłą skórą, pociągało ją dziką, niemal prymitywną męską urodą. Na ramieniu bieleła poszarpana blizna, kontrastując z ciemnym, twardym owłosieniem okrywającym pierś, zwięzającą się smugą dochodzącym do pępka. Brązowa skóra lśniła w słońcu, mokra od potu. Widziała żebra poruszane ciężkim oddechem i stalowe mięśnie wklęsłego brzucha. Lata twardego, niebezpiecznego życia odcisnęły swoje piętno na jego twarzy i ciele. Ale te właśnie znaki nadawały mu mocy i piękna, właściwego dzikim, wolnym zwierzętom.

Amy wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Jej delikatne białe palce ześlizgnęły się po bliźnie wzdłuż obojczyka. Sam kurczowo wciągnął oddech i błyskawic-

cznie pozbył się reszty ubrania. Dziewczyna znieruchomiała, wpatrując się w niego szeroko rozwartymi oczami. Nigdy nie widziała nagiego mężczyzny i była zupełnie nie przygotowana na ten widok. Przełknęła ślinę, pokonując skurcz w gardle. Przerazał ją trochę- był taki męski, duży i silny. Nie wiedziała, co będzie dalej.

Drgnęła mimowolnie, kiedy ukląkł koło niej. Oczy tak mu błyszczały, a rysy były tak napięte, że przez chwilę wydawał jej się obcy i groźny. Lecz tylko przez chwilę. Kiedy delikatnie musnął dłonią jej twarz, wróciła dawna ufność, a z nią ciekawość i narastające pragnienie. Tak bardzo chciała należeć do niego. Czuła, że zostawiłby ją, gdyby o to poprosiła, nawet teraz, ale nie miała tego zamiaru. Zbyt wiele chciała wiedzieć, zbyt tęskniła za rozkoszami, które przeczuwała. Wyciągnęła ku niemu ramiona z radosnym uśmiechem.

Sam, okrył ją swoim długim, twardym ciałem. Teraz chłonoła go dotykiem, całą sobą. Szorstki zarost na jego piersi podniecająco drażnił jej gładką skórę. Każdy splot ścięgien i mięśni odciskał się w jej miękkim ciele. Twarde kości wąskich bioder przyciskały ją do ziemi, a między silnymi udami pulsowała nabrzmiała, gorąca męskość. Był ciężki, ale cieszyła się tym ciężarem. Zaczął całować ją niecierpliwymi, głodnymi ustami. Widok jej chętnego, wyczekującego ciała rozpalił w nim długo tłumioną żądzę. Teraz już nic nie mogłoby go powstrzymać - ani myśl, że mógłby zadać jej ból, ani obawa, że nie jest jej wart. Zostało tylko nagłace pragnienie spełnienia.

Poruszył biodrami, podciągając ją pod siebie. Pulsująca kolumna naparła na jej podbrzusze. Porzucił jej usta i zaczął znaczyć pocałunkami szlak po gładkiej

skórze. Jęczała i wiła się pod nim, rozpalona nieznana błogością, dręczona pragnieniem, którego nie potrafiła pojąć ani nazwać.

Kiedy zsunął rękę między jej uda i dotknął jasnych kędziorków, nie cofnęła się. Przeciwnie, rozchyliła nogi, ułatwiając jego niecierpliwym palcom dostęp do aksamitnego, wilgotnego ciepła. Ten jawny dowód jej gotowości rozpętał w nim zmysłową burzę. Sprężył się, jak zwierzę szykujące się do skoku. Teraz musiał ją mieć.

Wparł kolano między nogi Amy, rozsuwając je szerzej, palcami otwierając sobie dojście do upragnionego celu. Dziewczyna szarpnęła się pod nim, ale już zaczął wchodzić w nią ostrożnie, hamując się resztką woli, by sprawić jej jak najmniejszy ból. Przez chwilę palił ją, ostry i rozdzierający, a potem poczuła w sobie męczyzną. Teraz dopiero pojęła, jak pusta czuła się dotąd.

Sam zaczął poruszać się w niej powoli. Czuła każdy jego ruch jako zdumiewające doznanie, na granicy cierpienia i przyjemności. Poddawała się temu rytmowi, instynktownie dążąc do spełnienia, którego jeszcze nie znała, choć coraz bardziej go pragnęła. Każde pchnięcie jego bioder zdawało się wznosić ją wyżej na fali wzbierającej rozkoszy. A kiedy już miała wrażenie, że wdarła się wraz z nim na zawrotne wyżyny, runęła z krzykiem w przepaść zmysłowego zapamiętania. Przeszywające doznania, które targnęły jej ciałem, wyniosły Sama na jego własny szczyt, gdzie dokonało się spełnienie. Ciepły strumień jego nasienia wtargnął w jej wnętrze jak ostatnia fala, po której cichnie sztorm.

Opadli na posłanie, ciężko dysząc. Ich splątane ciała lśniły od potu. Amy miała ochotę śmiać się ze szczęścia,

lecz ogarnął ją rozkoszny bezwład. Najchętniej leżała-
by tak w ramionach Sama do końca świata, przeżywa-
jąc bez końca najpiękniejsze chwile, po których drżało
jeszcze jej ciało.

Brody nigdy nie doznawał tak wszechogarniającej
błogości, tak całkowitego zaspokojenia. Amy należała
do niego, oddała mu się, a on zagarnął jej słodką nie-
winność. Nadal nie był przekonany, czy jest jej wart, ale
ta myśl nie mąciła mu już spokoju. Wiedział, że i tak
nie pozwoli dziewczynie odejść. Teraz była częścią jego
samego i nic już nie mogło ich rozłączyć.

- Kocham cię - wyszeptała.

Sam musnął jej ciało leniwą pieśczołą. Nie przypo-
minał sobie, by kiedykolwiek wypowiadał te słowa.

- Kocham cię - powiedział niskim, chrapliwym
głosem.



Kiedy dotarli do Austin, Slater odprowadził Victorie pod hotel Avenue. Tam się rozstali. Normalnie nie zostawiłby młodej kobiety samej w obcym mieście, ale zjadł milczenie, w jakim odbyli resztę drogi, na nowo pogłębiło rozdźwięk między nimi. Czuł się winny, że nie sprostał jej oczekiwaniom, a jednocześnie wściekły, gdyż żądała niemożliwego. Była egoistyczna i porywczą. Świadomość własnej klęski pogłębiała jego frustrację. Wiedział, że rozgrywka z Brodym jeszcze się nie zakończyła, ale na razie z ulgą rozstał się z dziewczyną i pospieszył do kwatery swojego dowództwa.

Victoria również była zadowolona, że Slater zniknie jej z oczu. Jednak kiedy patrzyła, jak odjeżdża, poczuła ucisk w gardle. Widok hotelu, w którym jeszcze nie tak dawno była z Amy, doprowadził ją niemal do łez.

Weszła do środka, czując na sobie liczne spojrzenia.

- Chciałabym wynająć pokój - zwróciła się do recepcjonisty, łypiącego na nią znad lady.

Zmarszczył brwi i zabębnił palcami w blat.

- Przykro mi, ale damy bez towarzystwa nie mogą przebywać w naszym hotelu. Może spróbowałaby pani gdzie indziej, na przykład w Pierwszej Osadzie - powiedział, obrzucając znaczącym spojrzeniem jej zakurzone ubranie.

Dziewczyna wyprostowała się z bojową miną.

- Nazywam się Victoria Stafford, szanowny panie
- oznajmiła z godnością - a mój ojciec to Edward Stafford. Jak pan śmie traktować mnie, jak... jak...

Mężczyzna wzruszył ramionami z obojętną miną. Najpierw miała ochotę się rozpłakać, a potem nawrzeszczeć na niego, by spokorniał. Zamiast tego zmusiła się do najpiękniejszego ze swoich uśmiechów.

- Zdaję sobie sprawę, że wyglądam fatalnie - oznajmiła, patrząc recepcjoniście prosto w oczy. - Niestety, zmuszona byłam podróżować w bardzo szybkim tempie. Pan rozumie, sprawy losowe. W ciągu kilku dni mój ojciec dołączy do mnie. Byłabym wdzięczna, gdyby szanowny pan udostępnił mi pokój, jako że jestem niezmiernie zmęczona.

Victoria wiedziała, że nie był do końca przekonany, ale uśmiech wywarł spodziewane wrażenie. Ponadto, z jej sposobu mówienia wywnioskował, iż musi jednak należeć do lepszych sfer. Z ulgą wpisała się do rejestru gości i szybko porwała klucz. Pragnęła zniknąć z oczu recepcjonisty, który ponownie nabrał podejrzeń, widząc, że nie ma bagażu.

Wydała dyspozycje, by umieszczono w stajni jej konia, a potem poszła na pięterko, do swojego numeru. Pokoik był mały, ale po dniach spędzonych na prerii wydał jej się wytworną komnatą. Miała ochotę zamówić sobie kąpiel, a potem się zdrzemnąć, ale postanowiła nie tracić czasu. Oczyszczyła się tylko z grubsza z kurzu, uczesała i obmyła w miednicy.

Zszedłszy na dół, zapytała recepcjonistę, czy wie, gdzie można wynająć tropiciela.

- Nie mam pojęcia, panienko - mruknął, patrząc na nią z niesmakiem. Najwyraźniej żałował, że wpuścił ją

do hotelu. Zagryzła wargi i wymusiła na nim, by wytłumaczył jej, gdzie jest biuro pocztowe. Pobiegnęła tam i nadała dwa telegramy - na ranczo i do hotelu w Santa Clara, gdzie leżała pani Childers. Miała nadzieję, że wiadomość prędzej czy później dotrze do jej ojca.

Następnie zjadła szybki obiad w jadłodajni przy Congress Avenue. Była jedyną kobietą na sali i musiała znosić natarczywe męskie spojrzenia. Ani kelner, ani portier nie wiedzieli, gdzie można nająć tropiciela. Victoria doszła do wniosku, że człowieka, który ściga zbiorów za pieniądze, będzie musiała poszukać w mniej eleganckiej dzielnicy. Przypomniała sobie, że recepcjonista wspomniał coś o Pierwszej Osadzie. Kiedy poprosiła kelnera, by wskazał jej drogę, spojrzał na nią dziwnie, ale wytłumaczył, jak ma iść.

Na pierwszym rogu skręciła z głównej ulicy na zachód. Mijała liczne kantory, hotele i saloony, mieszczące się w eleganckich, piętrowych budynkach. Stopniowo zabudowa stawała się coraz niższa, a knajpy i hoteliki nabierały coraz bardziej podejrzanego wyglądu. Również męskie spojrzenia były o wiele bardziej bezczelne i zaczepne. Wreszcie uwagę Victorii zwrócił szyld oznajmiający, że niejaka pani Gandy trudni się praniem. Pomyślała, że tu pewnie zdoła się czegoś dowiedzieć. Na podwórku krępa, silna kobieta pochylała się nad tarą, wstawioną w wielką drewnianą balię. Kosmyki wilgotnych, szpakowatych włosów przykleiły się do zaczerwienionej z wysiłku twarzy. Słyszając pozdrowienie, uniosła głowę. Otaksowawszy dziewczynę wzrokiem, przerwała robotę i podeszła usłużyć, wycierając ręce w fartuch. Robiła już pranie dla tylu dam, że potrafiła rozpoznać kobietę z lepszego

domu, nawet jeśli zabłąkała się do tej podejrzanej dzielnicy.

- Chyba się panienka zgubiła - powiedziała z uśmiechem.

- Nie, po prostu szukam kogoś. Kogoś, kto potrafi odnaleźć zagubioną osobę. Tropiciela.

Pani Gandy nie kryła zdumienia, więc Victoria pokrótce opowiedziała jej historię porwania Amy. Kiedy skończyła, praczka pokiwała głową z przejętą miną.

- Straszne, panienko, żeby porywać taką porządną dziewczynę. Szczęściem mam oko na wszystko, co się tu w okolicy dzieje, i widzi mi się, że najlepszy do tej roboty będzie Cam McBride. Jak raz zjechał do miasta i pewnikiem chętnie się najmie. Ale panienka nie powinna sama z nim gadać. To typ spod ciemnej gwiazdy, cwany jak lis i śliski jak wąż.

- Trudno, nie mam wyjścia. Ważne, żeby znalazł Brody'ego.

- Może, kochana - kobieta wzruszyła ramionami. - Nikomu się to jeszcze nie udało. Ale Cam jest strasznie cięty na Brody'ego. Parę lat temu wszedł mu w drogę i na pamiątkę ma teraz o, taką bliznę - nakreśliła palcem długą, zygzakowatą linię na własnej twarzy.

- Gdzie znajduję tego McBride'a?

- Ani chybi w którejś spelunie. Bo ja wiem? Może u Billy Carsona albo jeszcze lepiej u Weichertera. Ale niech panienka nie waży się tam wchodzić! Lepiej dać centa jakiemuś chłopakowi z ulicy, żeby go zawołał. To nie są miejsca dla dam.

Najbliższy był saloon Weichertera. Zajrzawszy do środka, Victoria musiała przyznać, że rada pani Gandy

była słuszna. W długiej, zadymionej sali stały zbite z surowych desek stoły, obiegane przez mężczyzn. Przy jednym z nich zauważyła kobietę, która śmiała się głośno, przytulona do swego towarzysza. Miała mocno wymalowaną twarz i głęboko wydekoltowaną, jaskrawą suknię. Victoria wpatrywała się w nią, zszokowana. Po raz pierwszy widziała prostytutkę. Kobieta musiała poczuć jej spojrzenie, bo odwróciła się nagle i spiorunowała ją wzrokiem. Dziewczyna zaczerwieniła się i szybko wycofała na ulicę. Zaczepiła obdartego chłopaka i wcisnąwszy mu do ręki monetę poprosiła, by zapytał o McBride'a. Niestety, nikt nic nie wiedział. Tę samą operację powtórzyła u Carsona. Tam wskazano jej inny saloon.

Tym razem adres okazał się właściwy. Poprosiła o przysługę wchodzącego kowboja i po chwili z zadymionego wnętrza wyszedł do niej wysoki, chudy mężczyzna. W olstrach miał parę rewolwerów o rękojeściach wysadzanych perłową macicą, a w ręku trzymał niedbale strzelbę z obciętą lufą. Ubrojenia dopełniał ogromny nóż myśliwski w pochwie u pasa. Brodę, wąsy i długie, rozwichrzone włosy przetykały pasemka siwizny. Z pobrużdżonej, ogorzałej twarzy patrzyły podejrzliwie szarobrazowe oczy, nieprzeniknione jak błotnista kałuża. Jego ubranie wyglądało tak, jakby nigdy nie tknęła go ręka pani Gandy. Na koszulę miał zarzucony długi chałat bez rękawów, zszyty ze zwierzęcych skór. Słynna blizna przecinała mu twarz jak cięcie bicia, znikając w gęstwie brody.

Victoria poczuła niemiły dreszcz wzdłuż krzyża. Jedno spojrzenie w te gadzie oczy wystarczyło, by pożałowała, że go odnalazła.

Zebrała się na odwagę i wyprostowała dumnie. Robisz to dla Amy, powtarzała sobie.

- Czy ty jesteś Cam McBride? - zapytała. Skinał prawie niedostrzegalnie głową. - Słyszałam, że mógłbyś zrobić coś dla mnie. Potrzebuję kogoś, kto wytropiłby Sama Brody'ego.

Kiedy padło to nazwisko, senne oczy ożywił nagły błysk.

- Chodzę za Brodym od dawna. Na co ci on?

Dziewczyna po raz drugi tego dnia opowiedziała swoją historię. Słuchał jej, nie przerywając ani razu. Kiedy skończyła, wciąż milczał.

- I co? - zapytała. - Zrobisz to dla mnie?

- Jasne. Masz załatwione. Jeśli sprowadzę dziewczynę, zapłacisz mi, ale Brody będzie mój.

Victoria wzdrygnęła się mimowolnie, jakby poczuła dotknięcie jadowitego węża.

- Brody jest mi obojętny. Chcę tylko, by Amy wróciła zdrowa i cała.

- Dobra, ile dasz?

- Kochana, szkoda pieniędzy - rozległ się nagle urągliwy głos za jej plecami. Odwróciła się z bijącym sercem i napotkała złe spojrzenie zielonych oczu. Slater!

- Szpiegujesz mnie! - wybuchnęła.

- Nie musiałem cię szpiegować. Cała ulica wie, czego chcesz od tej gnidy.

Żrenice McBride'a zwięziły się niebezpiecznie.

- Jak śmiesz wycierać sobie mną gębę, Slater? - wycedził nienawistnie.

- Taki ścierwojad jak ty nie zasługuje na nic innego. Ja nie żyję z zabijania ludzi.

- Zabijam tylko we własnej obronie - warknął McBride. -I tylko tych, za którymi poszły listy gończe.

- Możliwe. Ale chociaż chcą ich żywych lub martwych, dziwnym trafem nigdy nie zdarzyło ci się schwytać ich żywcem.

Ręka zbira błyskawicznie zacisnęła się na rękojęści obrzyna i Victoria zachłysnęła się z przerażenia. McBride zerknął na nią i zreflektował się.

- Na drugi raz, kiedy będziesz chciała ze mną pogadać, pozbadź się go - upomniał ją uprzejmiejszym tonem.

- Posłuchaj, McBride... - zaczęła, ale mężczyzna odwrócił się i odszedł bez słowa. Z furią doskoczyła do Slatera.

- Widzisz, co narobiłeś?! Po co go drażniłeś? Jeśli nie potrafisz sam uwolnić Amy, nie przeszkadzaj mi przynajmniej w znalezieniu właściwego człowieka!

- Chciałem tylko cię ostrzec - powiedział chłodno.
- Nie masz pojęcia, jaką kreaturą jest Cam McBride.

- Jest tropicielem, z którym pertraktowałam na temat uwolnienia Amy... dopóki ty się nie wtrąciłeś.

- Nazywa siebie zawodowym tropicielem, a jest zawodowym mordercą! Szuka ludzi, za których głowy wyznaczono nagrody, a potem strzela im w plecy i inkasuje należność.

- Nie narusza przecież prawa.

- Jasne, że nie. Zawsze się tłumaczy, że go napadli, więc zabijał we własnej obronie. Może ty nazwałabyś to uczciwością, ale ja nie. Jeszcze raz ostrzegam, że nie powinnaś się z nim zadawać.

- Przecież nie zamierzam umawiać się z nim na tańce. Omawialiśmy zwykły interes. Płacę mu, żeby odnalazł Brody'ego.

- Chciałaś powiedzieć: żeby zabił Brody'ego.

- Co, żal ci go? Jest groźnym przestępcą, który uprowadził Amy i Bóg wie, co jej zrobił. Należy mu się kulka.

- Jestem oficerem, pilnującym porządku na tych ziemiach, co oznacza, że przestrzegam litery prawa. Nawet najgorszy przestępca winien być sprawiedliwie osadzony, a nie zamordowany przez łotra, który feruje wyroki na własną rękę. McBride zabija ludzi we śnie albo z ukrycia. Nie daje im żadnej szansy, by mogli się poddać. I łudzisz się, sądząc, że zadba o bezpieczeństwo twojej kuzynki. Jeśli, nie daj Boże, Amy stanie mu na linii ognia, pociągnie za spust bez mrugnięcia powieką. On chce tylko Brody'ego. Od dawna ma z nim na pieńku.

- Ty też masz. I ja. I pewnie połowa stanu Teksas.

Slater skrzyżował ręce na piersiach i zmarszczył brwi.

- Jednym słowem, postanowiłaś wybrać się z nim w pogoń za Brodym, tak? Cóż, życzę szczęścia.

- Nie powiedziałam, że z nim jadę! Zostaję tutaj i czekam na ojca. Resztą zajmie się McBride.

Miała już dosyć Slatera i jego kąśliwych uwag, choć w głębi ducha musiała przyznać, że ma rację. Nie należało ufać temu człowiekowi. Zasiał w niej zwątpienie, lecz nie byłaby sobą, gdyby nagle zmieniła decyzję. Błądziła wzrokiem po ulicy, gorączkowo zastanawiając się, jak uciąć tę niewygodną rozmowę. Nagle drgnęła i wydała stłumiony okrzyk. Jakiś człowiek wyłonił się z drzwi hoteliku na rogu i teraz stał na chodniku, jakby zastanawiał się, dokąd iść. W końcu wyciągnął z kieszeni cygaro i zaczął je zapalać.

- Victoria? Co się stało? - Slater natychmiast znalazł się tuż obok, opiekuńczo otaczając ją ramieniem.

Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy.

- Tamten człowiek, na rogu. Uważaj, bo cię zobaczy - ostrzegła, widząc, że odwraca głowę. - To jeden z bandy Brody'ego.

Slater mocno ścisnął ją za ramię.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście!

- Skąd ta pewność?

- Widziałam go! Nigdy nie zapomnę, jak gnał w naszą stronę razem z innymi, na chwilę przed ucieczką Brody'ego. Poznałabym go wszędzie. To on!

Slater udał, że rozgląda się niedbale. Człowiek pod hotelem wydawał mu się znajomy, ale nie mógł go dokładnie skojarzyć. Spotykał setki takich facetów - w kowbojskich kapeluszach, długich butach, brudnoszarych koszulach i wytartych spodniach, o nie ogolonych, pobrużdżonych twarzach, na których twarde życie wycisnęło swoje piętno. Mógł być równie dobrze zbirem z bandy Brody'ego, jak i zwykłym pastuchem, który wybrał się na sobotnią hulankę do miasta.

- Wydaje mi się znajomy, ale nie jestem pewien...

- Wystarczy, że ja jestem. Wierz mi, to jeden z nich.

Gdyby miał do czynienia z inną kobietą, nie uwierzyłyby. Zdążył już jednak poznać zimną krew i chłodny rozsądek tej dziewczyny. Nawet w momencie zaskoczenia i w zamęcie walki nie traciła głowy.

- Dobrze, pójdę za nim.

- Idę z tobą.

- Co? Masz wracać do hotelu i czekać na tatusia.

- Dopóki go tu nie ma, nikt nie będzie mną rządził. Poza tym, tylko ja wiem, jak wyglądają jego kumple. Nie sądzisz, że będzie chciał się z nimi spotkać?

- Możliwe, ale i tak nie pójdziesz.

Mężczyzna wypalił cygaro i niedbałym krokiem ruszył wzdłuż ulicy.

- Muszę iść za nim - powiedział niecierpliwie Slater i bezceremonialnie potrząsnął Victorie za ramiona.

- Mówię ci po raz ostatni: znikaj stąd. Jeśli będziesz ze mną, rozpozna nas. Wyglądasz na tej ulicy jak fiołek na błocie. To nie jest dzielnica dla dam.

- Oni nie wiedzą, kim jestem.

Z desperacją wzniosł oczy do nieba.

- Dziewczyno, przecież wystarczy na ciebie spojrzeć! I nasz przyjaciel prędzej czy później to zrobi, a wtedy będziemy spaleni.

Miał rację. Pani Gandy wystarczył jeden rzut oka, by zorientowała się, z kim ma do czynienia.

- W porządku - westchnęła. - Ale powiesz mi później, jak ci poszło.

- Dobrze - rzucił na odchodnym i zniknął jej z oczu.

Victoria ze zwieszoną głową powlokła się w stronę hotelu. Żałowała, że nie może śledzić tego człowieka. Czy to możliwe, by Brody również był w Austin? Odzyskała nadzieję na uwolnienie Amy.

Po kilkunastu krokach wyprostowała się i zaczęła bystro spoglądać wokół. Podjęła decyzję. Pomoże Slaterowi śledzić tego łotra, ale najpierw musi zmienić swój wygląd. Usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądała kobieta, którą obserwowała w saloonie. Z uczesaniem da sobie radę, twarz mogłaby umalować, ale skąd wziąć tak wydekoltowaną suknię?

Nagle przystanąła. To musiało być zrzączenie losu. Z bocznej uliczki wyłoniła się kobieta w niebieskiej sukni z błyszczącej satyny, tak krótkiej, że odsłaniała kostki. Głęboki dekolt w kształcie litery „V” obramowany był czarną koronką, podobnie jak dół sukienki. Stroju dopełniały długie, czarne, koronkowe rękawiczki.

Victoria poczekała, aż kobieta się zbliży, po czym podeszła do niej z uśmiechem.

- Dzień dobry. Przepraszam, że panią zatrzymuję, ale chciałam prosić panią o pewną przysługę. Właściwie nie będzie to przysługa, bo dobrze zapłacę.

Kobieta patrzyła na nią nieco zdumiona.

- No więc... może to zabrzmie dziwnie, ale chciałabym kupić pani ubranie. To znaczy suknię i dodatki.

- Moje ubranie? Pani ze mnie żartuje?

- Nie, przysięgam. Potrzebuję takiej sukienki, i to zaraz.

- No, dobrze - nieznajoma rozejrzała się ukradkiem, jakby popełniała przestępstwo i pociągnęła Victorię za rękę. - Chodźmy do mnie. Przecież nie zdejmę tego na ulicy.

Po chwili weszły do nędznego, małego domku. W środku, na fotelu, drzemała pochrapując, stara kobieta. Na podłodze u jej stóp bawiło się małe dziecko, a drugie, większe, patrzyło ciekawie z kąta. Nieznajoma wskazała je gestem.

- To moja córka, Hazel. A ja mam na imię Gemma.

- Jak się masz? Jestem Victoria Stafford.

Gemma popatrzyła na nią przez chwilę i pokręciwszy głową, zniknęła w drugim pokoju. Po chwili wróciła, niosąc niebieską suknię. Kiedy Victoria zapytała, czy może się przebrać na miejscu, zdumiała się jeszcze bardziej.

Suknia okazała się tak obcisła, że musiała poprosić o pomoc w zapinaniu. Potem, na prośbę dziewczyny, Gemma zrobiła jej fryzurę na wzór swojej własnej: upięła włosy w luźny kok i spięła je z boku błyszczącą klamrą, pod którą wetknęła długie błękitne pióro.

Na koniec Victoria przejrzała się w lustrze. Wyglądała jak wcielenie grzechu. Piersi pyszniły się nieskromnie, uniesione skąpym stanikiem zasznurowanym tak ciasno, że ledwie mogła oddychać. Nieprzyzwoicie krótka suknia odsłaniała kostki, opięte wzorzystymi czarnymi pończochami. Tanie pantofle na wysokim obcasie były trochę ciasne.

Z westchnieniem poprawiła pióro we włosach, Czy odważy się w tym stroju wyjść na ulicę?

Gemma musiała mieć podobne wątpliwości.

- Kochana, dlaczego to robisz? - zapytała.
- Ja... muszę kogoś znaleźć.
- Mężczyznę?
- Tak. Może powiesz mi, gdzie mam się udać, żeby go spotkać?

- Ja chodzę do Charlie Coneya w Meksyku.

- W Meksyku?

- No, tam, gdzie mieszkają Meksykanie, na zachód od Pierwszej Osady. Charlie ma saloon i dwa albo trzy razy w tygodniu urządza fandangos, to znaczy potańcówki. Wtedy przychodzi dużo mężczyzn i dziewczyny. Wiesz, takie jak ja.

- Dobrze, pójdę tam.

- Poczekaj - Gemma zmarszczyła brwi. - Mam taki mały, damski pistolecik. Jak tam idę, zabieram go ze sobą w torebce. Dam ci go. Powinnaś mieć broń.

Przyniosła torebkę, a potem umalowała jeszcze

wargi dziewczyny jaskrawą szminką i uróżowała policzki.

- Jesteś cudowna - Victoria uśmiechnęła się do niej serdecznie i zapłaciła pocziwiej istocie więcej, niż było umówione. Na widok tych dwóch kobiet i dzieci krajało jej się serce.

Zaledwie wyszła na ulicę, pożałowała swojej decyzji. Kiedy wpadła na pomysł zamiany ubrań z kobietą lekkich obyczajów, myślała jedynie o przebraniu, dzięki któremu przestałaby się wyróżniać. Tymczasem osiągnęła to, że ścigały ją bez ustanku męskie spojrzenia. Nie było mężczyzny, który nie wlepiłby łakomego wzroku w wycięcie jej dekoltu. Szła coraz szybciej, utykając w przyciasnych butach i czerwieniąc się po uszy pod grubą warstwą pudru.

Kiedy wreszcie doszła do saloonu Coneya, najpierw ostrożnie zajrzała do środka. Zobaczyła dużą salę o ścianach z niedbale oheblowanych, surowych desek. Przy barze tłoczyli się mężczyźni. W powietrzu wisiał gęsty opar dymu z cygar, a podłogę pokrywały plamy wyplutego tytoniu. W drugim kącie sali ostro przygrywała meksykańska kapela, ledwie słyszalna w gwarze głosów. Na parkiecie tańczyły pary, a nawet pojedynczy mężczyźni. Dostrzegła też kobiety, ubrane podobnie do niej. Siedziały z mężczyznami przy stołach, ochoczo racząc się piwem lub wódką. Niektóre całowały się ze swymi towarzyszami tak bezwstydnie, że Victoria poczuła, iż się rumieni.

Na widok tego pijackiego, hałaśliwego tłumu opuściła ją odwaga. Ale pomyślała o Amy, zdanej na pastwę takich samych prymitywnych mężczyzn, i odetchnąwszy głęboko, pchnęła drzwi.

Brody skrobał złowione ryby, co chwila zerkając na Amy, zajęta gotowaniem fasoli nad ogniem. Lubił patrzeć na miękkie łuk jej bioder i krągłość piersi, falujących pod cienką bluzką, tak jak lubił słodki płomień, palący mu podbrzusze. Pożądanie nie było już bolesne - teraz, kiedy mogło być zaspokojone.

Wystarczyło, żeby zawołał, a Amy już biegła, porzucając wszystkie zajęcia. Ciągłe jeszcze zdumiewało go, że pragnie go równie szaleńczo jak on jej. Nie mogli nasycić się sobą i kochali się, kiedy tylko przyszła im na to ochota - nie zważając na porę dnia, kamienistą ziemię ani na pogoń deptającą im po piętach.

Amy odwróciła się i dostrzegła uśmiech Sama. Natychmiast podeszła i stanęła za nim.

- Fasola już gotowa. Mogę smażyć ryby? - zapytała, masując mu ramiona.

- Mmm... jak dobrze - mruknął, przymykając oczy. Często robiła mu takie masaże. Wyraźnie czuła potrzebę dotykania go. Brody nigdy nie był tak pieśczoney, więc chłonał jej czułość jak życiodajne promienie słońca. Kiedy dotykała go, uśmiechała się do niego czy podawała mu chętne usta, czuł, jak kolejne czarne łuski opadają z jego skołatanej duszy. Wiedział, że nie jest dobry, ale przy niej na pewno stawał się lepszy.

- Minał już tydzień, Amy - zaczął powoli. - Myślę, że ich zgubiłem. Będziemy musieli odjechać do mojej kryjówki.

- Dobrze. - Dziewczyna przyjmowała jego decyzje bez dyskusji. Jej ufność chwilami przerażała Sama. Bał się, że może ją kiedyś zawieść.

- Żałuję, że musimy stąd odjeżdżać - powiedział

wstając. Nigdy nie zapomni tego cudownego zakątka, który na parę dni użyczył im schronienia. Na zawsze zapamięta, jak kochali się po raz pierwszy, jak wędrowali leniwie wśród skał i strumieni, albo jak nadzy stali pod wodospadem, a jasna skóra Amy lśniła w świetle księżyca.

- Ja też żałuję - przytuliła się mocno do niego. - To miejsce było dla nas jak dom, prawda?

- Moja kryjówka też ci się spodoba - Brody opiekuńczo otoczył ją ramieniem. - Wyruszymy jutro rano.



Victoria szła przez salę, uwodzicielsko, nęcąco kołysząc biodrami. Dostrzegłszy wolny stolik, usiadła przy nim i w tej samej sekundzie, hałasując krzesłami, przysiedli się do niej dwaj młodzieńcy. Odetchnęła z ulgą. Znała ten typ mężczyzn - stale miała z nimi do czynienia na farmie - i wiedziała, jak z nimi postępować. Zapewne oderwali się od ciężkiej harówki przy bydle, by w sobotni wieczór wyszumieć się w mieście.

- Czy możemy postawić pani kolejkę? - zapytali, szczerząc zęby w uśmiechu.

- W porządku, chłopcy, ale mówcie do mnie Vicky, dobra? - odparła swobodnie.

Jeden z nich natychmiast pospieszył do baru, a drugi szarmancko zaprosił ją do tańca. Zgodziła się chętnie. Był to najlepszy sposób spędzenia czasu, w dodatku ułatwiający obserwację sali. Ale po przetańczeniu dwóch kawałków wiedziała już, że ludzi Brody'ego nie ma w tym saloonie.

Usiadła, zastanawiając się, co dalej robić, i pociągnęła łyk podłej whisky, krztusząc się od jej ohydneho smaku. Wielbiciele byli w siódmym niebie. Prawili jej kwieciste komplementy i czynili coraz śmielsze aluzje, na co normalnie nigdy by nie pozwoliła. Wreszcie, po godzinie, odważniejszy z nich zaczął sugerować, by poszli na górę zabawić się we dwoje. Kiedy jednak Vic-

toria grzecznie, acz stanowczo odmówiła, obaj, speszeni, pożegnali ją szybko i ruszyli na poszukiwanie nowej, bardziej obiecującej okazji.

Niestety, nie na długo zostawiono ją w spokoju. Już po chwili dosiadł się do niej inny mężczyzna. Tym razem nie był to niedoświadczony młokos, lecz stary wyjadacz, twardy i arogancki.

- Obserwowałem cię - powiedział, przysuwając swoje krzesło zbyt blisko i zapuszczając lubieżne spojrzenie w rowek między jej piersiami. - Te szczeniaki nie są dla takiej kobiety jak ty, prawda?

- Nie o to chodzi. Po prostu czekam na kogoś.

- Wiem, kotku. Czekasz na mnie.

- Ależ... umówiłam się tu z pewnym mężczyzną. Mamy wyjść razem - wybąkała, siląc się na uśmiech.

- Nie martw się, zdążymy załatwić sprawę i wrócić, zanim się zjawi - uspokoił ją, oblizując obleśnie wargi. Jego ręka niepostrzeżenie powędrowała ku biustowi dziewczyny.

Victoria wzdrygnęła się i uprzejmie, lecz stanowczo odsunęła go od siebie.

- Proszę, nie. Mój przyjaciel jest bardzo zazdrosny.

- Musisz mu dawać dużo powodów do zazdrości, laluniu - zarechotał i bezceremonialnie otoczył ją ramieniem. Uderzył w nią kwaśny odór potu i whisky.

- Proszę, niech pan przestanie!

Nawet nie zareagował i na serio zabrał się do pieszczot. Przygarnął ją do siebie i przyssał się ustami do szyi, wolną ręką gniotąc jej piersi. Złapała ją i odsunęła od siebie, ale za chwilę poczuła, jak wsuwa dłoń pod spódnicę, unosząc halki. Victoria szarpnęła się i z całej siły odepchnęła natręta.

- Co jest? - warknął wściekle. - Chcesz mnie podbechtać, żeby podnieść cenę? Wybij sobie takie numery z głowy, laluniu. Nie urodziłem się wczoraj.

- Nic nie rozumiesz! - syknęła z pasją. - Nie chcę cię, i tyle!

Znów przyciągnął ją do siebie.

- Zaraz zmienisz zdanie, zobaczysz - wychrypiał, powoli zbliżając wargi do jej ust.

- Nie! - usiłowała go odepchnąć, wpierając dłonie w jego pierś. Na próżno. Był twardy jak skała i brutalnie dążył do pocałunku. W panice odwróciła głowę, ale wiedziała, że nic nie wskóra i nikt nie przyjdzie jej na ratunek.

Pomimo to zaczęła walczyć - dziko, desperacko, drapiąc i kopiąc. Nawet nie drgnął, jakby nie zauważał jej rozpaczliwych wysiłków. Zresztą, nikt ich nie zauważał. Traciła już siły, kiedy niespodziewanie napastnik puścił ją i znieruchomiał.

Odwróciła się, zdumiona nagłą zmianą jego zachowania, i sama zamarła.

Mężczyzna miał lufę rewolweru przyłożoną do skroni. Stopniowo dostrzegała dalsze szczegóły - rękę trzymającą broń, ramię, twarz, zacięte usta i... lodowate, zielone oczy Slatera!

- Szanowny panie - odezwał się cicho - mam nieodparte wrażenie, iż pomylił pan miejsca. Ta dama czeka na mnie.

Twierz kowboja przybrała niezdrowy, ziemisty odcień.

- Przepraszam, nie wiedziałem - burknął.

- W porządku, zdarza się.

Slater odstaąpił do tyłu, lecz nie opuścił colta. Męż-

czynna wstał powoli i ruszył ku drzwiom. Ostatnie metry przebył prawie biegiem.

Victoria odetchnęła z ulgą. Jeszcze drżała z napięcia.

- Dzięki Bogu, że przyszedłeś - westchnęła.

Schował rewolwer, chwycił ją za ramiona i gwałtownie odwrócił ku sobie, wbijając w nią wściekłe spojrzenie.

- Co ty tu robisz, do diabła? - warknął.

Urażona, wyprostowała się bojowo, ryzykując, że piersi wysuną się jej ze skąpego stanika.

- A jak myślisz? - zapytała wyzywająco.

- Myślę, że sama prosisz, żeby cię zgwałcono! - wykrzyknął z pasją, potrząsając nią brutalnie. - Zdajesz sobie sprawę, co by było, gdybym się w porę nie zjawił?

- Mam pistolet w torebce.

- Ach, cudownie. Victoria Stafford ubrana jak ladażnica, aresztowana w podejrzonej speluncie za morderstwo. Twoja rodzinka byłaby zachwycona.

Zaczerwieniła się gwałtownie. Furia wzbierała w niej, każąc zapomnieć o niedawnym lęku i upokorzeniu.

- Puść mnie - wycodziła przez zęby.

- Z przyjemnością - Slater puścił ją nagle, aż ciężko opadła na krzesło, ale nie odszedł. Stał, groźnie mierząc ją wzrokiem.

- Teraz wrócisz do hotelu.

- Nie.

- Tak! Choćbym miał cię przerzucić przez plecy i wynieść stąd!

Nie puściła wzroku. Wiedziała, że to zrobi i że nie wygra z nim na siłę. Ale od czego miała rozum?

- A co z człowiekiem, którego śledzisz? Mam nadzieję, że go nie zgubiłeś.

- Nie. Gra w karty o trzy stoliki dalej.

- W takim razie moglibyśmy śledzić go razem - zaproponowała z przymilnym uśmiechem.

- Wykluczone.

- Posłuchaj, może byś usiadł i przestał robić taką groźną minę? Chyba nie chcesz, żeby nasz przyjaciel cię zauważył?

Slater zacisnął zęby, aż zadrgała mu szczęka, ale sięgnął po krzesło i usiadł przy niej posłusznie.

- Dziewczyno, bądźże rozsądna. Chcesz, żebym złapał tych ludzi, a jednocześnie robisz wszystko, żeby wejść mi w drogę.

- Nie wchodzę ci w drogę. Przeciwnie, jestem tutaj, żeby ci pomóc - powiedziała, nie zważając na jego niechętny pomruk. - Tylko ja mogę rozpoznać dwóch pozostałych. I, co też nie jest bez znaczenia, mam broń.

- Nic mi nie pomożesz. Będziesz tylko niepotrzebnym obciążeniem.

- Czyżby? Już raz tak mówiłeś.

- W porządku, przyznaję, że strzelasz lepiej, niż myślałem. Ale nie powinnaś się niepotrzebnie narażać, zwłaszcza że na nic mi się nie przydasz.

- Mylisz się. Dzięki mnie będziesz mógł się lepiej zamaskować.

- Jak to?

- Jeśli będziesz musiał spędzić tu parę godzin, wreszcie stanie się to podejrzane. Samotny mężczyzna, który tkwi w takim miejscu nic nie robiąc, zacznie zwracać uwagę. Ale jeśli będziesz umilać sobie czas towarzystwem damy lekkich obyczajów...

Slater nie wierzył własnym uszom.

- Po tym, jak zobaczyłem cię w tym miejscu, przebrana za zwykłą dziwkę, myślałem, że już niczym mnie nie zaskoczysz. Tymczasem to, co proponujesz, przekracza wszelkie granice. Chcesz, abym udawał, że przyszedłem się z tobą zabawić do Charliego Cooneya?

Victoria zaczerwieniła się po uszy, lecz dzielnie brnęła dalej.

- Poczekaj, nie powiedziałam, że masz mnie... No, w każdym razie możesz postawić mi kolejkę, zaprosić do tańca, zabawić rozmową i... w ogóle...

- Tak, teraz rozumiem. - Wzrok mężczyzny powędrował ku jej ustom, a potem ku krągłym, białym pierścionom, nieprzyzwoicie piętrzącym się w uwięzi stanika tak ciasnego, że twarde sutki wyraźnie odznaczały się pod cienkim, błyszczącym materiałem. Jego dłonie rwały się do pieścioty, lecz powstrzymywała go myśl, iż raz zacząwszy, nie mógłby już przestać.

Victoria czuła, jak pełne pożądania spojrzenie Slate-ra wędruje po jej ciele, i zapragnęła, by objął ją i pieścił, jak przed chwilą tamten mężczyzna. Znów przeniknął ją tak dobrze znany dreszcz pożądania.

- Wiesz, czasami zastanawiam się, czy ty w ogóle masz ojca. Nawet nie podejrzewa, biedak, jaką diablicą jest jego córka.

- Mam rozumieć, że nie zgadzasz się na mój plan?

- Zgadzam się, ale Bóg mnie za to pokarze - westchnął. - Chodź, zatańczymy - wstał gwałtownie i pociągnął ją w stronę parkietu.

- Dobrze tańczysz - pochwaliła, kiedy wrócili do stolika.

- Zaskoczyło cię to?

- Trochę.

- Wbrew powszechnej opinii nie urodziłem się w siodle, z coltem w każdej ręce.

- I całe szczęście - uśmiechnęła się. - A gdzie się urodziłeś?

- W domu, w łóżku, jak inni - zakpił, błyskając białymi zębami. - A konkretnie, na ranczu w południowym Teksasie, niedaleko Corpus Christi. Mama usiłowała mi zapewnić staranne wychowanie, więc wzięłem parę lekcji tańca.

- Twoi rodzice jeszcze tam mieszkają?

Rozbawienie zniknęło z jego twarzy.

- Nie. Oboje już nie żyją.

- Przykro mi.

- Cóż, ojciec zginął na wojnie, a mama nie umiała żyć bez niego. Może i lepiej się stało, że odeszła.

- Nadal masz to ranczo?

- Tak, ale zostawiłem je zarządcy. Nie byłem w stanie usiedzieć w jednym miejscu.

- I tak po prostu je rzuciłeś?

- Tak.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego?

- Ziemia ojca jest dla mnie częścią mojego życia. Po jego śmierci przejdzie na mnie, a kiedyś zostawię ją moim dzieciom. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym ją porzucić.

- Ja też kiedyś tak myślałem, ale wojna zmienia ludzi. - Smętnie wbił wzrok w stół. - Byłem w oddziale kawalerii. Po wojnie została nas połowa. Kochałem tych chłopców jak własnych braci. Miałem trójkę kum-

pli. Zawsze trzymaliśmy się razem. Ale tylko ja wyszedłem cało z tego piekła. Dziewczyno, zabiłem trzy razy więcej ludzi niż Sam Brody!

Zamilkł, ponuro zwiesiwszy głowę. Współczuła mu całym sercem. Wreszcie podniósł się z krzesła i ruszył do baru. Victoria ukradkiem rozejrzała się po sali. Mężczyzna, którego śledzili, był całkowicie pochłonięty grą w karty. Najwyraźniej przegrywał, bo stos monet leżący przed nim był dużo mniejszy niż u pozostałych graczy.

Slater wrócił i pociągnął łyk piwa.

- Wybacz, że się tak rozkleiłem. Zresztą, dajmy temu spokój. - Uśmiechnął się do niej. - Dalej, zrób wesołą minę. Trzeba zabrać się do roboty.

Zachichotała. Mężczyzna przysunął bliżej krzesło i czule otoczył ją ramieniem, muskając wąsem policzek.

- Czy teraz mogę uchodzić za kochanka? - szepnął.

- Chyba tak - odpowiedziała cicho. Jego bliskość była wprost porażająca. Czowała świeży zapach gładko wygolonych policzków i po raz pierwszy z tak bliska spoglądała w zielone oczy, uwodzicielsko patrzące spod leniwie przymkniętych powiek, ocienionych gęstymi, ciemnymi rzęsami.

Slater nie miał wyboru. Siedząc w ten sposób, mógł patrzeć tylko w zachwycający rowek między jej kremowymi, cudownie krągłymi piersiami. Wiedział, że jeszcze chwila, a nie zdoła powstrzymać ręki, która rwała się, by obdarzyć je pieśczołą. Chryste, co za kobieta! Jeszcze jej nie dotknął, a już czuł, że męskość zaczyna mu twardnieć.

- On wstaje od stołu - szepnęła nagle Victoria.

- Co? - minęła dobra chwila, nim skojarzył, o kogo chodzi. - O, cholera, mów, dokąd idzie?

- Chyba do baru - powiedziała drżącym głosem. Slater dotykał już niemal wargami jej ust. - Nie uważasz, że powinniśmy wyglądać bardziej przekonująco?

- Racja - musnął palcami jej policzek. - Uważaj, zaraz cię pocałuję. Nie cofaj się.

Serce biło jej coraz mocniej. Jakżeby mogła się teraz cofać!

Zrazu chciał tylko udawać, że ją całuje, ale kiedy dotknął lekko rozchylnych, wyczekujących ust, zaczął je smakować z rozkosznym pomrukiem. Teraz już całował ją naprawdę i z pasją. Victoria zamarła na moment, speszona. Szybko jednak zapomniała, że siedzą wśród gwarne go tłumu, i impulsywnie otoczyła ramionami szyję mężczyzny.

W tej samej chwili Slater przerwał pocałunek i wyprostował się czujnie.

- Gdzie on jest?

- Kto? Ach, ten. - Niechętnie zerknęła ponad jego ramieniem. - Stoi przy barze i popija coś, rozglądając się. - Oblizła wargi. - Czy mamy dalej udawać?

Odpowiedzią był kolejny pocałunek, jeszcze bardziej namiętny. Tym razem mężczyzna zaborczo wsunął język pomiędzy jej wargi. Kiedy odruchowo szarpnęła się w tył, wycofał się i samym jego czubkiem powiódł delikatnie wzdłuż linii ust. Przyłgnęła do niego, łakomie domagając się pieszczoty. Ruchliwy, zachłanny język znów wypełnił jej usta, aż serce zabiło jej jak szalone, a w dole brzucha poczuła drażniący skurcz. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna tak jej nie całował. Nigdy

w życiu nie była tak rozczarowana, jak w momencie, gdy musieli przerwać, bo zabrakło im tchu.

Slater patrzył na nią, ciężko dysząc i usiłując uspokoić myśli. Victoria miała przymknięte powieki i głowę odchyłoną do tyłu. Lekko rozwarłe, obrzmiałe od pocałunków wilgotne usta kusiły do grzechu. Poczuł niepohamowany, bolesny przypływ żądz.

Wiedział, że powinien przerwać tę grę, ale zamiast się wycofać, mocniej chwycił dziewczynę i jednym ruchem posadził ją sobie na kolanach. Ufnie wtuliła głowę w zagłębienie jego ramienia.

- Teraz będę miał lepszy widok na salę - stwierdził tonem usprawiedliwienia, ale to, co robiła jego ręka, musiało go bardzo rozpraszać. Drżącymi palcami przeczesywał bowiem czarne loki, walcząc z pokusą, by pochwycić je całą garścią i wygiąć głowę Victorii do tyłu.

Bał się znów dotknąć jej ust, zaczął więc obsypywać drobnymi, pieśczośliwymi pocałunkami powieki, policzki, a potem szyję. Kiedy wygięła ją w łuk, poddając się pieścizocie, jego wygłodniałe usta osunęły się niżej, współzawodnicząc z niecierpliwymi dłońmi.

Zaczął drażnić kciukiem twardy sutek, który zdawał się przebijać miękki materiał sukni, i dotarł ustami do wypiętrzonych, gładkich krągłości, kryjących między sobą ponętny wąwóz, w który zagłębił łakomy język. Marzył aż do bólu, by wyłuskać te piękne owoce z ich uwięzi i nasycić się nimi do woli, ustami, rękami i wzrokiem.

Victoria zatraciła się całkowicie w nowych doznaniach. Usta mężczyzny, dotykające jej ciała, wywoływały w niej nieopanowaną eksplozję zmysłów.

Jego bliskość miała w sobie coś dzikiego i nieokiełzanego, nawet niebezpiecznego. Ale zagrożenie zawsze stanowiło dla niej wyzwanie. Wygrana walka z własnym lękiem napawała ją błogim poczuciem dumy. Teraz igrała z nie znanym jej dotąd niebezpieczeństwem - i nie miała najmniejszego zamiaru powiedzieć „stop”.

- Slater - szepnęła bezgłośnie, zagłębiając usta w jego włosy. Gorące pulsowanie w dole brzucha stało się nieznośne. Zaczęła się wiercić na kolanach mężczyzny, szukając ulgi. Zwiadowca jęknął chrapliwie i objąwszy rękami jej biodra, mocno przycisnął do siebie. Poczowała, że coś uwiera ją dziwnie podniecająco. Nagle skojarzyła, co to jest, i oblała się rumieńcem.

- Nie wytrzymam już - szepnął i wtulił twarz w jej włosy, paląc szyję gorącym oddechem. Musiał użyć całej siły woli, by uciszyć szalejącą w nim burzę. - Wybacz mi, Victorio - powiedział, odsuwając ją od siebie. Jej spojrzenie było zamglone i nieprzytomne.

- Co się stało? Dlaczego przestałeś?

Miała tak zawiedzioną minę, że omal nie wybuchnął śmiechem.

- Musiałem, bo jeszcze chwila, a cały saloon zobaczyłby miłosną scenę. - Z niepokojem zerknął w stronę baru i zaklął paskudnie. - On zniknął - oznajmił z wściekłością.

- O, nie! - poczucie winy natychmiast przywróciło Victorie do rzeczywistości. Jak mogła aż tak się zapomnieć!

Przez chwilę oboje rozglądali się gorączkowo, wreszcie Slater odetchnął z ulgą.

- Dzięki Bogu, jest tam. Rozmawia z dwoma innymi mężczyznami.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem i zeszywniała.

- To są pozostali członkowie bandy - szepnęła.

- Jesteś pewna?

- Jasne. Patrz, młodszy ma ramię na temblaku. To ten, którego postrzeliłeś.

- Jesteś spostrzegawcza.

- Więc może wreszcie mi uwierzysz.

- Nie chodzi o uwierzenie ci - powiedział cicho, patrząc jej prosto w oczy. Dłonią nieświadomie zaczął pieścić jej kark, aż wygięła się, jak żadna głaskania kotka. Gwałtownie cofnął rękę. - Do diaska! - zaklął.

- Nie możemy tego dalej ciągnąć - stwierdził stanowczo, choć z żalem.

- Wiem - odwróciła wzrok. - Ale jak będziemy się dalej... maskować?

- Posiedzimy, pogadamy, trochę potańczymy, wypijemy jeszcze po piwie. To przynajmniej niczym nie grozi.

Siedzieli w milczeniu. Victoria rysowała palcem wzory na blacie stolika, a Slater nie spuszczał oczu z podejrzanego typu. Nawet nie zauważyli mężczyzny, który cicho stanął przy nich.

- No, no, kogo to widzą moje oczy! Mój najlepszy przyjaciel, Slater - odezwał się kpiąco. Oboje drgnęli i obrócili się ku niemu jak na komendę.

- Nie nazywaj mnie przyjacielem, McBride - burknął zwiadowca, patrząc na niego z nie ukrywaną niechęcią. - Samo twoje istnienie jest obrażą dla naszego prawa i porządku.

- To ciekawe, bo służę temu prawu tak jak i ty.

- Tylko nie porównuj mnie do siebie, szmato - spojrzenie Slatera było mordercze, ale drwiący uśmieszek nie zniknął z twarzy McBride'a.

- W ogóle ciekawe rzeczy się dzieją - powiedział, przyglądając się im z udanym zdziwieniem. - Kto by pomyślał, że taki prawy obywatel jak pan kapitan, zamiast łapać Brody'ego, będzie sobie popijał piwko w spelunie Charliego i zabawiał się z piękną dziewczyną - zerknął na Victorie i nagle zrobił wielkie oczy. - Ale, ale, co ja widzę? To ci numer! Ta szykowna damulka, która chciała mnie najać do tropienia bandyty, robi teraz za dziwkę w Coney Saloon. Powiadają, że ludzie się zmieniają, ale żeby aż tak? - sztychł.

Victoria zerknęła na Slatera, ale ten miał nieprzeniknioną minę.

- Pewnie macie swoje powody - McBride uważnie omiół spojrzeniem salę. - Nie będzie wam przeszkadzało, że się na chwilę przysiadę?

- Owszem, będzie.

Mężczyźni przez chwilę mierzyli się wzrokiem, aż wreszcie McBride wzruszył ramionami i usiadł przy następnym stoliku, plecami do ściany.

- Słuchaj, on coś podejrzewa. Co robimy? - zapytała z niepokojem Victoria.

- Nic. Kiedy ludzie Brody'ego zaczną wychodzić, musimy pójść za nimi tak, żeby McBride nie widział. Za żadne skarby nie pozwolę, żeby ten ścierwojad ubiegł mnie w pościgu.

- Nienawidzisz go bardziej niż tamtego, prawda?

- Już ci mówiłem: Brody nie zabija bez wyraźnej

potrzeby. McBride - tak. Raz widziałem ciało, które dostarczył szeryfowi. Było jasne, że ten nieszczęśnik nie umarł szybko ani łatwo. I na pewno nie zabił go w obronie własnej.

Victoria wzdrygnęła się mimowolnie.

- Teraz żałuję, że w ogóle z nim rozmawiałam. Trzeba było cię posłuchać.

- Trudno, miałaś dobre intencje - uśmiechnął się pocieszająco. Przez moment myślała, że ją pocałuje, ale nie zrobił tego.

Następne trzy godziny były nieznośne. Slater tańczył z Victoria, śmiał się i flirtował, siedząc tuż przy niej i udając, że świetnie się bawi. Jej uroda mąciła mu myśli. Pożądał jej i dręczył się, marząc choćby o pocałunku.

Wreszcie zaczęło się coś dziać. Jeden z ludzi Brody'ego poszedł na piętro z kobietą.

- Dokąd on idzie? - szepnęła Victoria z niepokojem. - Pójdziemy za nim?

- Nie, on wróci. Stamtąd nie ma innego wyjścia.

- A co jest na tym piętrze?

Spojrzał na nią z dziwnym błyskiem w oku.

- Pokoje. Z łózkami.

- Och... - zaczerwieniła się po uszy. - Pewnie pomyślałaś, że jestem okropnie naiwna.

- Panienci z dobrych domów na ogół niewiele wiedzą o tanich tancbudach i pokoikach na godziny.

- Pewnie prędzej czy później domyśla się czegoś, kiedy mąż zacznie znikać - prychnęła.

- O tym też nie musisz na razie wiedzieć.

Pogroziła mu zabawnie palcem. Slater roześmiał się. Świetnie rozmawiało mu się z tą dziewczyną. Miała

w sobie coś z damy i coś z zadziornego łobuziaka. Ta urocza mieszanka działała na niego piorunująco.

Tymczasem mężczyzna, jak było do przewidzenia, wrócił szybko. Zaraz potem wszyscy trzej wstali i ruszyli do wyjścia.

Slater chwycił Victorie za ramię.

- Uważaj, oni wychodzą - szepnął. - My też, ale będziemy udawać, że idziemy za tym facetem, który jest przed nimi. Chcę podrzucić McBride'owi fałszywy trop.

Podniosła się bez słowa, ujęła go pod rękę i nawet nie zerknęła na ludzi Brody'ego. Na ulicy Slater szybko pociągnął ją w ciemną boczną uliczkę. Śledzili zza rogu, jak z saloonu wyszedł McBride i rozejrzawszy się czujnie, ruszył za mężczyzną, którego mu wystawili. Kiedy zniknął w ciemnościach, na ulicę wytoczyli się trzej kumple Brody'ego, zanosząc się pijackim rechotem.

Slater ujął dziewczynę za rękę. Szybko, kryjąc się pod ścianami, ruszyli za nimi. Po krótkiej wędrówce uliczkami Pierwszej Osady dotarli do obskurnego hotelu. Kiedy mężczyźni załatwili sprawę z recepcjonistą i poszli na górę, zwiadowca wciągnął Victorie do ciemnawego wnętrza. Zamówił również pokój na piętrze, z oknem na ulicę. Potykając się w mroku, weszli po schodkach.

W pokoju Slater zapalił lampę.

- Już lepiej, żeby było ciemno - mruknęła dziewczyna, rozglądając się z odrazą. Pokoik był ciasny i brudny. Nie było zasłon, a zakurzona tapeta miejscami zwisała w strzępach. Wąskie, wygniecione łóżko nie zachęcało do spania.

- Będę dżentelmenem i odstąpię ci materac - po-

wiedział ze śmiechem mężczyzna. - Sam prześpię się na krześle.

- Daj spokój, nie wyśpisz się. Musisz być w formie, żeby ich śledzić. Ja zajmę krzesło, a nad ranem się zamienimy.

- Nie martw się, spałem w gorszych warunkach. Zresztą, muszę wstać o świcie i pilnować, czy nie wychodzą.

- Slater, bądźże rozsądny!

- Jestem, kotku. A może wolisz wrócić do swojego hotelu?

- Nie. Nie wiem, co by powiedzieli, gdybym zjawiła się tam w nocy, w takim stroju. I tak patrzą na mnie podejrzliwie.

- Wobec tego kładź się i daj mi zasnąć.

- Dobrze - powiedziała ugodowo i podeszła do łóżka. Pod brudną kapą nie było prześcieradeł, tylko goła kołdra. Skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Myślisz, że da się w tym spać?

- To zależy, jak bardzo jesteś zmęczona. Odstąpisz mi jedną poduszkę?

- Jasne.

Slater usiadł na krześle i ściągnawszy wysokie buty, z westchnieniem ulgi zaczął poruszać palcami u nóg. Victoria patrzyła na niego z rozczuleniem. Ten gest często obserwowała u swego ojca, ale teraz wydał się jej dziwnie intymny.

Podąła mu jasek. Kiedy sięgnął po niego, ich oczy spotkały się na moment. Oboje natychmiast odwrócili wzrok.

- Słuchaj - zaczęła dziewczyna, wyłamując palce.

- Ta sukienka jest za ciasna. Muszę ją zdjąć.

- To zdejmuj - wzruszył ramionami.

- Ale... nie mogę, kiedy patrzysz.

Wstał i odwrócił się ostentacyjnie. Szelest materiału wprawiał w drżenie jego ciało. Rozpalona wyobraźnia podsuwała nęcące obrazy tego, czego nie mógł zobaczyć.

- Slater? - głos Victorii był zakłopotany, a zarazem zalotny. - Nie chciałabym cię fatygować, ale naprawdę nie mogę sięgnąć do haftek na plecach. Pomóżesz?

Spojrzał w jej kierunku. Stała boso przy łóżku. Czarne pończochy i czarne koronkowe halki leżały niedbale rzucone na kołdrze. Podtrzymawała na piersiach na wpół rozpiętą suknię, która opadała z ramion, odsłaniając białe plecy.

Slater poczuł nagłą suchość w ustach. Podeszedł i przez moment wpatrywał się w smukłą szyję dziewczyny, walcząc z pokusą okrycia jej pocałunkami. Wreszcie sięgnął do zapięcia i zaczął zmagać się z opornymi haftkami. Ręce miał jak z drewna. Na domiar złego dostrzegł na łopatce Victorii apetyczny pieprzyk. To cud, że zdołał odwrócić się i odsunąć od dziewczyny. Sięgnął po buty i zaczął wciągać je w pośpiechu.

- Ja... wyjdę sobie na chwilę, żeby zapalić cygaro. Będziesz miała więcej... uhm... prywatności.

- Dzięki - rzuciła przez ramię. Wołała nie oglądać się na niego. W rozpiętej sukni czuła się dziwnie naga.

Całe szczęście, że wyszedł. Dotyk jego palców, rozbierających ją powoli, znów obudził w niej nieznośne, zmysłowe napięcie. Szybko zdjęła suknię i roz-

puściła włosy. Nie mając grzebienia, zaplotła je w luźny warkocz. Wreszcie weszła do łóżka i okryła się aż po szyję. Nie spodziewała się, że zaśnie przed powrotem Slatera, ale dzień okazał się bardziej męczący, niż sądziła.



Slatera obudziło blade światło brzasku. Rozejrzył się nieprzytomnie po pokoju, obolały po nocy na twardym krześle. Podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Była pusta, tak jak się spodziewał.

Ziewnął i przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. Co za cholerna noc! Spojrzył na Victorie, smacznie śpiącą w łóżku. Gęste włosy rozsypały się po poduszce jak czarna chmura. Jego palce poznały już ich jedwabisty dotyk. Oblizął suche wargi, wyobrażając sobie, jak ciemną kaskadą spadają mu na nagą pierś. Mały pokój stał się nagle jeszcze ciaśniejszy. Obraz śpiącej kobiety w ponętym negliżu zdawał się wypełniać całą przestrzeń. Z przerażeniem pomyślał o nadchodzącym dniu. Wiedział, że nie będzie w stanie jeszcze raz udawać kochanka Victorii w saloonach ani spędzić z nią nocy we wspólnym pokoju. Musi przekonać dziewczynę, by wróciła do swojego hotelu, i wziąć się za śledzenie ludzi Brody'ego.

Victoria uniosła powieki i rozejrzała się ze zdumieniem, a potem usiadła, w ostatniej chwili chwytając zsuwającą się kołdrę.

- Dzień dobry - powiedziała, czerwieniąc się.
- Dzień dobry.

Slater, w skarpetkach i w wychodzącej ze spodni koszuli, choć rozczochrany i zapuchnięty z niewyspa-

nia, wyglądał dziwnie miło i domowo. Senne myśli Victorii ożywiły się, gdy popatrzyła na niego.

- Ubierz się - rzucił, wciągając buty. - Wychodzę na chwilę. Kiedy wrócę, ustalimy co dalej.

Zdażyła ubrać się i zrobić pobieżną toaletę, gdy wrócił, niosąc tacę z kawą, filiżankami i koszykiem słodkich bułeczek. Aż zaklaskała w dłonie z zachwytu.

- Och, dzięki! Jak wspaniale pachną! Umieram z głodu - zawołała i zaczęła zajadać bułki, oblizując się ze smakiem. Przypominała mu małą dziewczynkę.

- Widziałeś ludzi Brody'ego?

- Nie. Myślę, że pośpią jeszcze dobre parę godzin.

- W takim razie teraz ja popilnuję, a ty się jeszcze połóż.

- Nie muszę. Słuchaj, chcę, żebyś teraz wróciła do swojego hotelu.

- Dlaczego?

- Po prostu... byłoby mi łatwiej działać samemu. Przecież nie wiem, dokąd będę musiał iść za nimi, a są takie saloony, gdzie nie mają wstępu nawet kobiety lekkiego prowadzenia. Co wtedy zrobisz? Zresztą, Victorio, jak by to wyglądało, gdybym, trzymając cię za rączkę, wodził się z tobą przez cały dzień?

Musiała przyznać, że ma wiele racji. Jednak podniecało ją to polowanie i nie chciała rozstawać się ze Slaterem.

- Może moglibyśmy się zmieniać? Jak dasz sobie radę sam?

- Mam wprawę. Od dawna to robię.

Miała tak zawiedziona minę, że w nagłym odruchu przykucnął przy łóżku i ujął jej dłonie w swoje.

- Jak ci się podoba myśl, żebyśmy razem pojechali za nimi, kiedy opuszczą miasto? Zawiadomię cię.

- Naprawdę? - rozjaśniła się natychmiast.

- A dlaczego nie? - Wcale nie miał ochoty jechać sam. Okazała się znakomitym towarzyszem. Była bystra, sprawna, szybka - a jej uroda przez cały dzień cieszyła jego oczy. Zresztą, nie ukrywał już przed samym sobą, że pragnął jej coraz bardziej.

- Przecież - ciągnął z ożywieniem - naprawdę możesz mi pomóc. Kiedy będę chodzić za nimi, mogłabyś zorganizować zapasy i przygotować konie. - Wyjął z kieszeni wygniecioną kartkę i szybko napisał na niej parę słów. - Idź do naszej kwatery, tam wydadzą ci mojego wierzchowca i rzeczy. Bądź w pogotowiu, bo w każdej chwili mogę przysłać po ciebie.

- Dobrze, załatwię wszystko. - Popatrzyła na niego z głębokim namysłem. - Poślanie po mnie zajmie ci zbyt dużo czasu. Mam lepszy plan.

- Mianowicie?

- Kiedy będę gotowa, zwolnię pokój w tamtym hotelu i przyjadę tutaj. Nie sądzę, by oni mieli jakieś interesy w lepszej części miasta. Stąd będzie bliżej.

Slater w zakłopotaniu przygryzł wargę. Plan był dobry, ale oznaczał ponowne spędzenie nocy w jednym pokoju.

- Victorio, to nie jest najlepszy pomysł.

- Czemu?

- Pomyśl o swojej reputacji. Masz zamiar spędzić kolejną noc w podejrzanym hotelu, we wspólnym pokoju z mężczyzną?

- O Boże, przecież spędziłam już z tobą noc w jednym łóżku!

- Co takiego? - spojrzał na nią, osłupiały.

- U Milesów, kiedy byłeś chory, a oni myśleli, że jesteśmy małżeństwem.

- Słowem, uważasz, że nie jestem niebezpieczny, tak?

- A jesteś?

Spoważniał i spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

- Co prawda, nie zgwałciłem cię - powiedział powoli - ale po ostatnim wieczorze zaczynam myśleć, że mógłbym cię uwieść.

- No nie, to bezczelność! - wykrzyknęła, kryjąc zakłopotanie. Uwaga była aż nadto celna. Miękkła jak wosk pod jego dotykiem i nie miałyby żadnych trudności, gdyby chciał doprowadzić ją do grzechu. Ta świadomość wywołała w niej natychmiastowy odruch irytacji i buntu.

- Skoro tak uważasz, kapitanie Slater - dodała cierpko - nie mam zamiaru wystawiać twojej cnoty na próbę. Obiecuję, że wynajmę sobie osobny pokój, co nam zaoszczędzi kłopotów. Teraz zadowolony? - prychnęła wstając i demonstracyjnie kierując się ku drzwiom.

Skoczył za nią i chwycił jej rękę. Czuł się podle.

- Zaczekaj - powiedział błagalnie. - Nie gniewaj się na mnie. Przepraszam za to, co powiedziałem. Obraziłem cię. Nie miałem prawa. Przecież chciałaś mi pomóc.

Victoria, zakłopotana i zaskoczona jego słowami, milczała.

- Wiem, że zachowałem się jak ostatni cham, ale myśl, że czeka mnie jeszcze jedna noc spędzona obok

twojego łóżka, wyprowadziła mnie z równowagi. Doszło do tego, że nie mogę ręczyć za siebie! Tej nocy prawie nie spałem. Przez cały czas myślałem o tobie, leżącej na łóżku - wyrzucał z siebie urywane zdania z dziwną szczerością. - Chcę dotykać cię i całować. Uwielbiam twoje pocałunki, twój język w moich ustach. Chciałbym poczuć go teraz - szepnął i pochylił się, szukając jej warg. - Masz piękne usta. Doskonałe. O Boże... - westchnął z udręką i przytulił jej głowę do piersi. - Sama widzisz. Nie jestem święty. Drugi raz nie zostawiłbym cię w spokoju.

Victoria poczuła skurcz w gardle. Drżała pod wpływem jego gorących słów i wiedziała, że jeszcze chwila, a sama przestanie ręczyć za siebie.

- Dlatego powiedziałam ci, że wynajmę osobny pokój.

- Dobrze, ale ten hotel w ogóle nie jest bezpieczny dla ciebie. Tutaj drzwi nie mają zamków.

- Będę za ścianą, więc zdążysz przybiec, kiedy zaczną krzyczeć - uśmiechnęła się. - I nie próbuj mnie już dalej przekonywać. Mam dużo rzeczy do załatwienia, a ty musisz uważać, bo ludzie Brody'ego niedługo wstaną.

Skinęła mu na pożegnanie i wyszła. Patrzył za nią z okna, dopóki nie zniknęła za rogiem. Victoria Stafford była nie podobna do żadnej z kobiet, które znał. I pragnął jej, jak żadnej innej!

Victoria zaczęła działać z wrodzoną sobie energią i skutecznością. Najpierw wstąpiła do Gemmy i przebrała się w swoje rzeczy. Potem odebrała konie i przeprowadziła je do pobliskiej stajni. Wreszcie wróciła do

swojego hotelu i zwolniła pokój. Kiedy regulowała rachunek, recepcjonista obrzucił ją spojrzeniem pełnym potępienia.

W nędznym hotelu, gdzie spędzili noc, samotnej kobiecie nie czyniono żadnych trudności. Tu recepcjonista nie zadawał pytań, a napiwek pozwolił jej otrzymać pokój obok Slatera.

Resztę dnia przesiedziała przy oknie, co chwila z niecierpliwością wyglądając na ulicę. Wreszcie, o północy, zrezygnowała i poszła spać.

Zobaczyła Slatera dopiero rano. Przyniósł tacę ze śniadaniem i kiedy jedli, opowiadał, jak przez całą noc zwiedzał kolejne saloony i w każdym zmuszony był dla niepoznaki zamawiać sobie piwo.

- Jeśli oni zaraz nie wyjadą z miasta, to moja głowa i żołądek zbuntują się do reszty - jęknął komicznie.

Uśmiechnęła się. Jak na całonocną hulankę wcale nie wyglądał źle.

- Czy masz jeszcze inne spostrzeżenia? - zapytała z przekąsem.

- Właściwie nie. Podśluchałem tylko strzępy rozmowy. Rozpytywali wszędzie o niejakiego Vance'a. To ten, który doniósł mi o planie napadu na bank w Santa Clara. Pewnie Brody chce ukarać zdrajcę.

- Myślisz, że go zabije?

- Brody wymaga absolutnej lojalności. Musi go ukarać, choćby dla przykładu. Zresztą, gardzi tym człowiekiem i właściwie ma rację.

Reszta poranka upłynęła im na rozmowach i wartowaniu na zmianę przy oknie. Koło południa Victoria dostrzegła, że ludzie Brody'ego wychodzą z hotelu.

- Slater, oni odjeżdżają - szepnęła, podekscytowana. - Na pewno, bo niosą siodła i założyli ostrogi.

Jednym skokiem znalazł się przy oknie.

- Masz rację. Ruszamy!

Bandyci mieli konie w tej samej stajni. Slater odczekał, aż je wyprowadzą, i zaczął szybko siodłać swoje. Victoria tymczasem obserwowała, w którym kierunku odjeżdżają. Po chwili oboje wskoczyli na siodła i zachowując odpowiedni dystans, ruszyli w ślad za trzema mężczyznami. Zajęci przemykaniem się wśród wozów i innych jeźdźców na ciasnych ulicach, nie dostrzegli, że Cam McBride opuszcza miasto, podążając ich tropem.

Kierowali się na północ, ruchliwym traktem wiodącym do Round Rock. Ale w pewnym momencie bandyci niespodziewanie zбочyli na zachód, w miejscu, gdzie z pozoru nie było żadnej drogi. Teraz Slater zmuszony był zwiększyć odległość.

Rozbili obozowisko, kiedy zrobiło się ciemno. Zjedli zimną kolację i zawinęli się w koce. Slater z ciężkim sercem uświadomił sobie, że wcale nie będzie mu łatwiej zasnąć obok Victorii tu, na otwartej przestrzeni, niż w hotelowym pokoju. Dobrze chociaż, że była ubrana od stóp do głów.

Następnego dnia zerwali się o świcie i niezwłocznie ruszyli tropem ściganych. Zwiadowca z przykrością zauważył, że jego towarzyszka nie miała kłopotów z zaśnięciem. Wyglądała świeżo, wręcz kwitnąco.

W rzeczywistości Victoria już od dwóch dni żyła w ciągłym napięciu. W hotelu i w czasie długiej jazdy miała aż za dużo czasu na roztrząsanie wszystkiego, co zdarzyło się między nią a tym mężczyzną. I na marzenia, co jeszcze mogłoby się zdarzyć...

Koło południa ślad urwał się na płaskich skałach u podstawy wyniosłego wzniesienia. Zaniepokojny Slater zsiadł z konia i zaczął dokładnie badać grunt. Zrazu podejrzewał, że bandyci okrążyli wzgórze, ale nic na to nie wskazywało.

Nagle zaklął szpetnie. Za jedną z kęp kolczastych krzaków, ciągnących się aż do podnóża skalistego uskoku, natknął się na końskie odchody. Szybko wskoczył na siodło i zaczął objeżdżać zarośla, aż wreszcie znalazł ukrytą za nimi szczelinę. Z bijącym sercem zeskoczył na ziemię, przywiązał starannie swojego Jacka i wyciągnąwszy colta, ruszył w kierunku czarnego otworu.

Szczelina była wystarczająco duża, by mógł się w niej swobodnie zmieścić koń. Zajrzawszy w mroczny otwór, zdołał dostrzec, że jej dno łagodnie opada w dół. Szybko zawrócił i pogalopował do Victorii.

- Znalazłem! - wykrzyknął z podnieceniem.
- Cholera, teraz rozumiem, dlaczego zawsze go gubiłem. Brody ma tu swoją tajną jaskinię!

Amy wzdrygnęła się na widok ciemnej czeluści, ziejącej w skalistej ścianie, ale Brody zagłębił się w nią bez wahania. Zapalił latarnię, wydobytą z ukrytej niszy, i ujawszy swego konia krótko przy pysku, dał jej znak, by zrobiła to samo i szła za nim.

- To jaskinia? - spytała, posłusznie zeskakując z siodła.

- Tak. - Uniósł światło wysoko, aż wydobyło z mroku chwiejne kontury skalistych ścian. - Odkryłem ją przypadkiem przed laty. Ma wiele odgałęzień. Jeśli ich nie znasz, łatwo możesz się zgubić. Niektóre są niebezpieczne. Ale nie to.

- I tu mieszkałeś? - głos jej drżał od skrywanego lęku.

Brody uśmiechnął się, słysząc, jak bardzo stara się być dzielna.

- Nie, tu jest tylko przejście. Dochodzi do doliny po drugiej stronie skały.

Dosyć długo szli wijącym się tunelem. W pewnym momencie ominęli leżącą pod ścianą stertę skalnego gruzu.

- Sam to wykułem - wyjaśnił mężczyzna - kiedy po raz pierwszy badaliśmy te jaskinie. Trzeba było poszerzyć wejście do głównej komory. Jeśli zechcesz, zaprowadzę cię tam później. Z niej odchodzą trzy inne korytarze. Jednego nie zbadaliśmy, bo jest wąski i stromy jak studnia. Drugi jest łagodniejszy i można nim pełznąć w dół. W trzecim trzeba się chwilami spuszczać na linie. Tam trafiliśmy na głębokie pieczary, a w nich stawy, z których sterczą dziwne skalne kolumny, zawsze mokre. Jedne zwisają z sufitu jak sople, a inne wyrastają z dołu. Niektóre są grubsze od mojego ramienia.

- Chciałabym je zobaczyć - powiedziała, zafascynowana - ale tylko z tobą. Wtedy nie będę się bała.

Wreszcie podziemny korytarz zaczął się lekko wznosić. Przekroczyli wąski strumień o lodowatej wodzie i wkrótce Amy dojrzała majaczące z przodu światło. Blask powiększał się, aż zaczął razić ich przywykłe do ciemności oczy. Po chwili stanęli u wylotu jaskini i zobaczyła wąską dolinę, otoczoną skalnymi zrębami. Jej dno przecinał strumyk, osłonięty malowniczą kępą drzew. Resztę terenu porastały kaktusy i krzaki *mesquito*. Dojrzała też dwa prymitywne szałas, skleco-

ne z posplatanych ze sobą kolczastych gałęzi. Ułożone w krąg przed każdym z nich kamienie świadczyły, że bez obawy palono tu ogniska.

Brody również ogarnął wzrokiem swoją dolinę, próbując przyjrzeć się jej na nowo oczami Amy. Cenił to miejsce jako idealną kryjówkę, ale dziś po raz pierwszy piętrzące się skalne ściany, zamykające wąską przestrzeń, skojarzyły mu się nie z ucieczką, lecz z więzieniem.

Bywało, że przebywali tu nawet przez kilka tygodni. Strumień zapewniał świeżą wodę, a w chłodnych zakątkach jaskini znakomicie można było przechowywać zapasy. Mizerna trawa wystarczała koniom, przynajmniej na jakiś czas. Szałaszy dawały całkiem wygodne schronienie. Sam zrobił nawet proste prycze oraz sienniki, wypchane trawą i liśćmi. Przez lata uważał to miejsce niemal za swój dom, a jednak teraz zdało mu się tylko jego nędzną namiastką. Zimową porą chłód tak dawał się we znaki, że przenosili się do zacisznych jaskiń. Latem słońce prażyło niemiłosiernie. Bez przewiewu i cienia, upał stawał się wprost nieznośny. Nigdy jednak nie odczuwał potrzeby znalezienia lepszego miejsca. Ważne było tylko to, że dolina zapewniała bezpieczne schronienie. Większość czasu włączył się ze swoją bandą po całym Teksasie, wydając zrabowane pieniądze na hulanki w San Antonio bądź w Austin. Nie wyobrażał sobie jednak, że mógłby prowadzić takie życie z Amy. Dlatego początkowo miał zamiar zostawić ją w dolinie, by czekała na jego powrót.

Teraz uświadomił sobie, jakim bezsensiem byłoby zmuszanie kobiety takiej jak ona do życia w tej ponurej dziurze. Nawet żona najbardziej nędznego koniokra-

da, gnieźdząca się w ruderze na przedmieściach, miała o niebo lepiej.

Spojrzał na dziewczynę. Uśmiechnęła się i ufnie wsunęła mu rękę pod ramię. Jak zwykle, ogarnęła go czułość i ciepłe uczucie błogości.

- Możemy się rozejrzeć? - zapytała. - Chcę zwiedzić całą twoją kryjówkę.

- Tak, oczywiście. - Wiedział, że szybko się rozczaruje, ale był pewien, że nie będzie narzekać. Ta wspaniała istota potrafiła dostrzec najlepsze strony każdej sytuacji i cieszyć się nimi - choćby było to spanie pod gołym niebem i mordercza ucieczka. Ale jak długo potrafi być z nim szczęśliwa?

Z przerażeniem pomyślał, co by było, gdyby został ją tu, wyczekującą, drżącą ze strachu przed dzikimi zwierzętami, a sam dał się zabić albo pojmać. Co by zrobiła, zdana tylko na siebie? Ale przecież nie mógł jej zmusić, by dzieliła z nim twarde życie łotra i banity.

Dopiero teraz zdał sobie w pełni sprawę, że wpędził się w sytuację bez wyjścia. Oszołomiony szczęściem, odsuwał wszelkie myśli o przyszłości, żyjąc w nierealnym świecie marzeń. Dopiero przybycie tutaj boleśnie przywróciło go rzeczywistości.

Pomyślał o kufierku pełnym złotych monet, zakopanym pod dębem nad strumykiem. Mógłby zabrać go i spróbować zacząć nowe życie tam, gdzie teksańskie prawo nie mogłoby go osiągnąć. Plan był ryzykowny, ale widok rozradowanej, słodkiej twarzyczki Amy napełnił go otuchą. Kiedy była u jego boku, wszystko wydawało się możliwe.

Całe popołudnie krążyli po dolinie, zapatrzeni w siebie, czuląc się i rozmawiając. Pełne zachwyty nie-

dowierzanie, więziło ich jak zakłęcie od czasu, gdy objawiła im się miłość. Potem kochali się w szałasie na szeleszczącym sienniku, zdyszani i szczęśliwi.

Brody usiłował nie dopuszczać do siebie myśli o nieuchronnej decyzji, wmawiając sobie, że ma jeszcze dużo czasu. Kiedy jednak słońce zaczęło chować się za skalną ścianę, głębokie cienie kładące się w kanionie nadały mu ponury, złowrogi wygląd. Wiedział już, że długo tu nie wytrzyma, i wiedział zarazem, że wyrwanie się stąd będzie oznaczało początek nowego życia. Tylko jakiego? Złoto powinno zapewnić im byt na jakiś czas. Może nawet udałoby się kupić kawałek ziemi. A później...? Powinien zbudować Amy prawdziwy dom. Może będą dzieci. Pomyślał o nich po raz pierwszy i zdumiał się, jak bardzo poruszyła go ta myśl. Bał się jej, a jednocześnie skrycie pragnął, by stała się prawdą.

Czym mógłby się zająć? Może tym samym co Raul? Znał się na koniach, a nieodżałowany T.J. Moore zdążył nauczyć go, jak obchodzić się z bydłem. Może zdołałby żyć jak inni, uczciwi mężczyźni. Może mógłby zostać mężem i ojcem...

Nie obawiał się tęsknoty za wolnym życiem, za smakiem ryzyka i przygody. Już teraz Amy zastąpiła mu wszystko. Myśl o wyjechaniu z nią nęciła Sama jak syrenia pieśń.

Tuż po zmroku usłyszeli nagle dźwięk podkowy uderzającej o kamień. Brody porwał strzelbę opartą o ścianę szałasu i wystawił lufę zza węgła, nakazując Amy, by siedziała cicho. W głębi jaskini narastał blask, aż wreszcie z ciemnego otworu wyłonił się Purdon, niosący latarnię. Za nim podążali Jim i Grimes. Sam odłożył strzelbę i wyszedł im na spotkanie.

- Widzę, że się wam udało - stwierdził.
- Ano - przytaknął Purdon i postawiwszy latarnię na ziemi, zaczął rozkulbaczać konia.

- Jak było w Austin?
- Przepytałem się o Vance'a.

Brody nie od razu skojarzył, kim jest Vance.

- Ach, tak. I co z nim? - zapytał bez zainteresowania.

- Stary Blackie Morris słyszał, że zainkasował swoją cholerną forszę i zmył się. Ludzie powiadają, że pojechał na południe, gdzieś w okolice San Marcos.

- Aha!

Jeszcze niedawno Sam marzył o zemście, ale teraz była mu dziwnie obojętna.

- I to wszystko, co masz do powiedzenia? - zdumiał się Purdon.

- A co byś chciał, żebym jeszcze powiedział?

- Na przykład, kiedy za nim pojedziemy.

Brody wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałem.

- Jak to? Co masz zamiar z nim zrobić?

- Też jeszcze nie myślałem.

Purdon w milczeniu mierzył go wzrokiem, zacisnąwszy usta. Nadeszła Amy i stanęła, kryjąc się za plecami Sama. Obecność tych ludzi napawała ją lękiem.

- Ona ciągle jest z tobą? - zdziwił się Purdon.

- Owszem. Dlaczego pytasz? - Brody zeszywniał.

- Nigdy nie przywoziłeś kobiet do kryjówki - powiedział twardo mężczyzna, puszczając swego konia luzem i podchodząc bliżej. Wzrok miał podejrzliwy i wrogi.

- A teraz przywożłem - stwierdził sucho Sam,

wyraźnie dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą dyskusję.

Przez moment Amy myślała, że Purdon rzuci jakąś grubiańską uwagę na jej temat, ale zmierzył ją tylko niechętnym spojrzeniem i usiadłszy przy ogniu, wyciągnął prymkę tytoniu do żucia. Jim i Grimes przysiedli przy nim. Brody przycupnął po drugiej stronie ogniska, mając Amy tuż za sobą. Była niezadowolona z pojawienia się tych ludzi. Wolałaby być tylko z nim.

Sam musiał wyczuć jej niechęć, gdyż ujął ją za kostkę i ścisnął porozumiewawczo. Rozpromieniła się i czułym gestem pogładziła go po włosach. Uwielbiała go dotykać. Odruchowo zagłębiła palce w gęstej czuprynie. Brody odprężył się, zapominając o ponurych myślach i przymknął oczy, poddając się pieśszczocie.

Nie zwrócili uwagi, że Purdon przygląda się im z pogardliwym grymasem.

- Niech to czart popieści! Do głowy by mi nie przyszło, że zobaczę, jak Sam Brody chodzi na babskim pasku - zarechotał.

Amy zamarła i zerknęła na Sama, zła na siebie, że znów narobiła mu wstydu. Mężczyzna otworzył oczy i wbił zimne spojrzenie w Purdona.

- Co powiedziałaś? - głos miał niski i tak przerażliwie spokojny, że ciarki przebiegły dziewczynie po krzyżu.

- To, co słyszałeś. - Purdon wyzywająco skrzyżował ręce na piersi. - Ja tam bym w życiu nie pozwolił, żeby byle samica mi...

Sam z furją porwał się na nogi.

- Stul pysk! Jeszcze jedno słowo o niej, a pożałujesz! Zrozumiano?

Pozostali mężczyźni powstali również. Purdon znalazł się twarzą w twarz z Brodym. Mierzyli się wzrokiem, z rękami czujnie opuszczonymi wzdłuż bioder.

- Mam prawo mówić to, co myślę - rzucił zaczepnie Purdon.

- Kiedy chodzi o nią, ja dyktuję prawa.

- Mam gdzieś twoje prawa. Może mi zabronisz, co? Ty nie jesteś już mężczyzną, Brody. Ta twoja słodyczka zrobiła z ciebie wałacha.

- Czyżby? A chcesz sprawdzić? Masz ochotę stanąć przeciwko mnie, śmierdzielu? Chcesz się przekonać, czy jeszcze potrafię wypruć ci flaki?

Nozdrza Purdona zadrgały i jednocześnie Amy dojrzała w jego oczach błysk strachu. Ale nie mógł się już wycofać.

- Dobra, przekonamy się - powiedział, wysuwając podbródek. - Nie dasz rady, Brody. Ona cię zmięczyła.

- Amy, idź do szałasu.

Poczuła lodowaty ucisk w żołądku.

- Sam, nie... - wyjąkała błagalnie.

- Nie dyskutuj. Rób, co ci każę - rzucił ostro, nie oglądając się. Jego ręka powędrowała za plecy i wyciągnęła myśliwski nóż, który miał zawieszony w pochwie u pasa. Uchwycił mocno rękojeść i stanął na ugiętych nogach, gotów do ataku. Czerwonozłoty odblask płomieni zalśnił na zimnej stali długiego ostrza.

Przerażenie dosłownie sparaliżowało dziewczynę. Oczami wyobraźni widziała już Sama leżącego na ziemi, krwawiącego ze śmiertelnych ran. Przycisnęła dłonie do ust, by nie krzyknąć.

- Odejdź!

Po raz pierwszy mówił do niej takim tonem. Nie mogła nie posłuchać. Odwróciła się i chwiejnie pobiegła do szałas. Tam skuliła się na pryczy zatykając uszy dłońmi, by nie słyszeć śmiertelnego jęku ukochanego.

Po chwili ochłonęła na tyle, by zacząć myśleć rozsądniej. Musi coś zrobić. Nie może tchórzyc i czekać biernie, aż Sam zginie od noża tego łotra. Co by w tej sytuacji zrobiła Victoria? Na pewno postarałaby się o broń.

Rozejrzała się po ciemnym wnętrzu, ale niczego nie dostrzegła. Strzelba musiała pozostać na zewnątrz. Na szczęście w porę przypomniała sobie, że w kącie powinien być pas z rewolwerem. Wymacała go w mroku i drżącą ręką wyszarpnęła colta z kabury. Ukrywszy broń w fałdach spódnicy, ostrożnie wyszła z szałas.

Księżyc upiornym blaskiem oświetlał miejsce walki. Jim z Grimesem stali z boku, patrząc, jak Brody i Purdon krążą wokół siebie na ugiętych nogach, z wyciągniętymi ramionami. Ostrza długich noży lśniły złowieszczo. Obaj dyszeli ciężko, a pot błyszczał im na twarzach. Rękaw koszuli Sama zwisał w strzępach, oddarty od ramienia po nadgarstek długim cięciem, które zostawiło na skórze krwawą rysę.

Amy zadrżała i zacisnęła palce na rękojeści colta. Po raz pierwszy w życiu miała ochotę zastrzelić człowieka. W tym momencie nienawidziła Purdona całą duszą.

Po chwili jednak dostrzegła, że choć Sam został zraniony, to jego przeciwnik był w o wiele gorszym stanie. Krwawił z cięcia na policzku, a przód jego koszuli po-

woli nasiąkał czerwienią z niewidocznej rany. Brody tańczył wokół niego z przerażającą zwinnością, parując ciosy, tnąc i odskakując. Purdon poruszał się coraz wolniej i coraz bardziej chwiejnie. Przegrywał i wiedział o tym. Teraz już tylko desperacko walczył o życie i Amy czuła, że rozpaczliwie żałuje, iż wyzwał Sama. Brody musiał to również dostrzec, gdyż zaatakował ze zdwojonym impetem i rozplątał mu ramię. Raniony zachwiał się, niezdolny zadać ciosu, lecz Sam nie wykorzystał przewagi. Krążył wokół przeciwnika, nęka-
jąc go płytkimi ukłuciami. Dziewczyna miała wrażenie, że drażni go tak, jak drażni się byka, by sprowokować go do ataku. Purdon cofał się chwiejnie, aż nagle desperacko rzucił się w przód, najwidoczniej wkładając wszystkie siły, jakie mu pozostały, w ten jeden, decydujący cios. Brody niedostrzegalnym ruchem przeslizgnął się pod jego ręką i wbił swój nóż prosto w pierś mężczyzny.

Rozległ się koszmarny, głuchy zgrzyt, kiedy ostrze wdarło się między żebra. Purdon zamarł w pół kroku, otwierając szeroko oczy, jak gdyby nie rozumiał, co się stało. Nóż wypadł mu z osłabłych palców i zadźwiczął o kamienie. Brody odstaąpił o krok, gotowy do następnego ciosu. Spływająca wzdłuż klingi krew splamiła mu dłoń. Lśniaca, pulsująca plama czerwieni wykwitła na piersi Purdona. Usiłował zakryć ją ręką, ale zachwiał się. Jeszcze poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, lecz tylko opadł ciężko na kolana. Za chwilę runął na twarz i znieruchomiał.

Sam popatrzył na niego, ciężko dysząc, po czym pochylił się i wytarł nóż w trawę. Kiedy się wyprostował, twarz miał nieruchomą jak maska.

- Zabierajcie go i jazda stąd - warknął do Jima i Grimesa. - Ale już!

Przez moment patrzyli na niego, osłupiali. Groźnie postąpił krok w ich kierunku. Wówczas rzucili się do ciała i szybko odciągnęli je na bok. Kiedy konie były gotowe, przewiesili trupa swego kompana przez siodło i bez słowa skierowali się do jaskini. Dopiero wtedy Sam odwrócił się i spojrzał w kierunku szałasów. Amy stała nieruchomo u wejścia, wpatrując się w niego z pobladłą twarzą.

A zatem widziała wszystko. Widziała, jak zabił człowieka.

- Amy... - ruszył ku niej, wyciągając ramiona. Ostrze zalśniło srebrnym odblaskiem. Wzdrygnął się, uświadomiwszy sobie, że ciągle trzyma nóż, a na rękach ma krew Purdona. Zatrzymał się, pospiesznie wepchnął nóż do pochwy i na próżno usiłował wytrzeć ręce. Krew już zaschła. Dziewczyna musiała to zauważyć. Czy znienawidzi go teraz?

Amy nie miała siły stać. Z ciężkim westchnieniem usiadła na ziemi. Sam przyklęknął tuż przed nią.

- Kochana, dlaczego wyszłaś? Nie chciałem, żebyś to oglądała.

- On nie żyje - wyszeptała drżącym głosem. Twarz miała chorobliwie bladą. - Och, Sam...

- Przykro mi - powiedział bezradnie. - Sprowokowałem mnie. To musiał być on albo ja.

- Wiem. Był złym człowiekiem. Ale to było okropne. Tyle krwi. Pierwszy raz widziałam, jak ktoś umiera. - Wargi drgały jej spazmatycznie. - Obiecuj mi, że nigdy więcej tego nie zrobisz. Błagam, czy możemy stąd odjechać... żeby nie było już wokół takich ludzi?

- Tak. Jutro odjedziemy i nigdy tu nie wrócimy. Obiecuję. Znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce - może Meksyk? Kupilibyśmy tam małe ranczo i zaczęli żyć jak zwykli ludzie.

Popatrzyła na niego, uśmiechając się niepewnie.

- jesteś bardzo dobry dla mnie, Sam. Dziękuję.

Otoczył ją ramionami, tuląc z całej siły.

- Nie, wcale nie. To ty jesteś dobra. Ale przysięgam, że będę cię chronił. Nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Nie będziesz się musiała lękać takich zbirów jak Purdon.

- Kocham cię, Sam. Kocham cię - objęła go za szyję i przytuliła policzek do jego policzka. Rewolwer, który ciągle jeszcze trzymała, trącił go w plecy.

Sam sięgnął do tyłu i zdumiony, zważył go w ręce.

- Wzięłaś mojego colta? - zapytał zdławionym głosem. - Po co? Żeby zabić Purdona?

- Tak. Bałam się, że cię zrani. Przecież było ich trzech. Nie wiedziałam, co zrobią. Chciałam cię jakoś bronić...

- Amy, najdroższa - wtulił twarz w jej włosy, wzruszony i przepełniony dumą, iż jest tak kochany. Ta słodka, łagodna istota gotowa była walczyć na śmierć i życie, aby go chronić! - Kocham cię i klnę się na jedynego Boga, że zrobię wszystko, byś była szczęśliwa - obiecał wolno i uroczyście.

- Będę szczęśliwa, jak długo będziesz ze mną - szepnęła, tuląc się do niego z ufnością i oddaniem.

Była już późna noc, kiedy wreszcie zasnęli na twardej pryczy, zmęczeni miłością.

Rankiem, zaraz po śniadaniu, Sam wykopał spomiędzy korzeni dębu kuferek i rozmieścił pieniądze

w torbach przy siodle. Wyruszyli, nie zwlekając. Amy nie dłużyła się już droga przez tunel, a wydobyte z mroku przez chwiejne światło latarni cienie skał straciły groźne kształty. Wyruszała z Samem na spotkanie nowego, jasnego życia i nic już nie było w stanie zmać jej radości. Nawet okrutne sceny minionego wieczoru zdążyły zatrzeć się w jej pamięci.

Kiedy wreszcie zajaśniał wylot jaskini, Brody podał wodze Amy, zdmuchnął latarnię i postawił ją w skrytce. Już miał wyrzeć w oślepiające światło dnia, kiedy nagle dosłyszał wyraźny szmer głosów. Cofnął się instynktownie, dając dziewczynie znak, by się zatrzymała. Kiedy spojrzała na niego zdumiona, przyłożył dłoń do ucha w geście nasłuchiwania. Zrozumiała. Z najwyższą ostrożnością zawrócili konie, zatykając im chrapy, i skręcili w wylot bocznego korytarza. Sam wyciągnął colta i odbezpieczył go.

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Poznali, że należą do mężczyzny i kobiety. Kiedy stanęli przy wejściu, a ich sylwetki zarysowały się wyraźnie na tle nieba, Brody wstrzymał oddech z wrażenia. Slater i Victoria!

Z obawą zerknął na Amy. Czy zawoła swoją ukochaną siostrzyczkę? Nie mógł do tego dopuścić, ale nie wyobrażał sobie, że miałby brutalnie zatkać jej usta dłonią. Zresztą, nie bardzo mógłby to zrobić. W jednej ręce trzymał rewolwer, a drugą ścisnął chrapy konia.

W ciemnościach nie widział twarzy ukochanej, ale poczuł, iż drgnęła nieznacznie. Czekał w rosnącym napięciu, czując zbierające się na czole i karku krople potu. Tamci kręcili się niezdecydowanie u wejścia.

Wreszcie Slater wyciągnął zapalniczkę. Nikły płomyk na moment rozjaśnił mrok.

- Hej, patrz, latarnia! - wykrzyknęła Victoria, sięgając do schowka Brody'ego.

Zwiadowca zapalił ją i trzymając wysoko nad głową, badał dalszy odcinek korytarza, wiodącego do doliny. Przyczajeni zbiegowie znajdowali się tuż poza kręgiem światła. Mężczyzna uklęknął i zaczął uważnie oglądać podłoże. Sam modlił się, by najpierw trafił na ślady prowadzące w głąb. Ku jego ogromnej uldze, tak się też stało. Slater wstał, dając znak Victorii. Oboje ostrożnie ruszyli tunelem.

Dopiero kiedy ich kroki ucichły, Brody ośmielił się odetchnąć. Amy nie zawołała swojej siostry. Miała szansę, by uciec od niego i wrócić do rodziny, lecz dokonała wyboru.

Odczekał jeszcze jedną, nie kończącą się minutę, żeby odgłos kopyt nie zwrócił uwagi prześladowców. Kiedy wyszedł z tunelu, rozejrzał się na wszelki wypadek po okolicy, choć nie przypuszczał, żeby Slater i Victoria przyjechali w licznej asyście. Skinał na Amy. Szybko wyprowadzili konie. Teraz mógł już spokojnie schować rewolwer.

U podnóża skalnej ściany stały dwa wierzchowce, uwiązane u kolczastego krzaka. Brody odwiązał wodze i nie wypuszczając ich z ręki, dosiadł swego konia. Ostrożnie sprowadził całą kawalkadę ze wzgórza, a kiedy wydostali się na równinę, ruszył kłusem. Amy patrzyła z niepokojem, jak Sam uprowadza konie Victorii i Slatera. Wiedziała, że bez nich zginą. Ku jej ogromnej uldze, zatrzymał się wreszcie i przywiązał je do innego krzaka, tak by znajdowały się jeszcze w zasięgu

wzroku kogoś, kto stałby przy jaskini. Tym sposobem opóźniał pogoń, nie narażając życia tych dwojga.

Amy nagrodziła go pełnym wdzięczności uśmiechem. Sam, nareszcie szczęśliwy, popędził konia. Galopowali przez rozległą równinę, wesoło pokrzykując do siebie.

I tak jak poprzednio Slater i Victoria, oni również nie zauważyli samotnego jeźdźca, odzianego w luźne skóry, który śledził ich spod szczytu sąsiedniego wzgórza. Kiedy oddalili się, wbił ostrogi w boki wierzchowca i galopem zjechał po stoku, by podążyć ich śladem.



Victoria czuła się nieswojo, wstępując w nieznaną, mroczną czeluść. Wyobraźnia podsuwała jej wizje czarnych studni otwierających się nagle u ich stóp albo zbiorów Brody'ego czających się za kolejnym zakrętem. Kiedy potknęła się o stertę kamieni, z obawą spojrzała w górę, jakby sklepienie miało za chwilę runąć im na głowy.

W tym momencie Slater obejrzał się za siebie. Jego białe zęby błysnęły w mdłym świetle latami.

- Hej, czyżby było coś, czego się boisz? - wyszeptał.

- A ty? Czemu mówisz szeptem? - syknęła ze złością.

Zachichotał cicho i uniósł światło wyżej. W tym miejscu korytarz skręcał w lewo. Po prawej ziała otchłań, której ścian nie sposób było dojrzeć. Slater wołał trzymać się korytarza, zwłaszcza że na ziemi nadal dostrzegał ślady kopyt.

Victoria nie przypuszczała, że zobaczy otwór jaśniejący dziennym światłem. Spodziewała się raczej jakiejś jaskini, służącej bandzie za kryjówkę. Widok nieba i skał zaskoczył ją.

- Czy zatoczyliśmy koło? - zapytała zdumiona. Mężczyzna, równie zaskoczony i poirytowany, ostrożnie wyrztał na zewnątrz. Jednak krajobraz był mu zupełnie obcy.

- To nie jest to samo wejście. Najwidoczniej całe

wzgórze jest pokryte jaskiniami, jak plaster miodu. Musieliśmy wyjść po drugiej stronie albo z boku.

- Czyli zgubiliśmy ich, tak? Mogą być w innej części?

- Nie. Popatrz - wskazał na szałas. - To jest chyba ich kryjówka. Tam widać świeże ślady ognisk.

Powiodła wzrokiem po stromych ścianach.

- Myślisz, że ta dolina jest zamknięta i odgradzona od świata?

- Jeśli nie całkiem, to w dużej części. - Slater z uznaniem pokręcił głową. - Teraz się nie dziwię, że Brody był nie do znalezienia. Wspaniała kryjówka.

- Ale tu chyba nikogo nie ma.

- Zaraz zobaczymy. Osłaniaj mnie - nakazał, podając jej strzelbę. Wyciągnął rewolwer i zaczął schodzić na dno dolinki, skulony, kryjąc się za krzakami. Victoria czekała z bronią u ramienia, aż da jej znak. Tak przesuwali się coraz bliżej potoku, lecz jedyną oznaką życia był furkot skrzydeł spłoszonego ptaka.

Slater zakradł się do wejścia szałasu i ostrożnie zajrzał do środka.

- Wygląda na to, że niedawno stąd wyjechali - powiedział, prostując się. Zaczął badać teren, zataczając coraz większe kręgi. - Było tu niedawno sporo koni i ludzi. Wszystko jest zdeptane. Poczekaj... widzę ślady kobiecej stopy. Reszta to mężczyźni. Wiem tylko, że większość z nich miała ostrogi.

Jeszcze uważniej oglądał zrytą ziemię koło ognisk.

- Tu ślady są bardzo gęste - mówił podekscytowany. - Albo roił się w tym miejscu cały tłum, albo kilku ludzi miotało się na małej przestrzeni. Widzę jeszcze wygniecioną trawę, jakby położono na niej coś ciężkie-

go. Zaraz... - przyklęknął. Jego uwagę przyciągnęły brunatne plamy na kamieniach. - To chyba krew - stwierdził i rozejrzał się uważnie. - A, rozumiem - podniósł z ziemi długi myśliwski nóż o poplamionym ostrzu.

Victoria miała wrażenie, że całe powietrze ucieka jej z płuc.

- Czy myślisz, że oni zabili Amy?

- Mało prawdopodobne. Wygląda raczej na to, że Brody wdał się w bójkę na noże z którymś ze swoich ludzi. Jeden z nich zginął, ale założę się o każdą sumę, że nie on.

- Co się w takim razie z nimi stało? Dokąd odjechali?

- Nie wiem. Może Brody zaczął się domyślać, że depczemy mu po piętach. Mogli się pokłócić, na przykład, o podział łupów, a potem wyjechać stąd szybko.

- Więc jedźmy za nimi. Nie mogą być daleko.

- W każdym razie nie bliżej niż dotychczas - westchnął sceptycznie. - Widać, że ta dolina jest zamknięta i jedyna droga do niej prowadzi przez jaskinię. Musimy wrócić tym samym korytarzem i szukać śladów po drugiej stronie.

Tym razem posuwali się o wiele pewniej i szybciej. Kiedy dotarli do wyjścia, zamrugali, osłepieni ostrym blaskiem słońca. Nagle Slater zatrzymał się tak gwałtownie, że Victoria omal nie wpadła na niego.

- O, dranie! - zaklął wściekle.

- Co się stało?

- Zabrali nasze konie.

- Co takiego?! - Dziewczyna wyskoczyła z jaskini.

Rzeczywiście, przy krzaku *mesquite* nie było już zwierząt. Zaczęła rozglądać się z przerażeniem.

- Spokojnie, są tam - zwiadowca wskazał na równinę. W oddali widać było konie. Stały spokojnie, skubiąc krzak. - Chodźmy - kiwnął na nią i zaczął schodzić w dół.

- Czy mogły same odejść?

- Tak daleko? Niemożliwe. Swojego przywiązałem bardzo dokładnie. Ty chyba też?

- Oczywiście. W takim razie ktoś musiał widzieć, jak wchodziliśmy do jaskini. Wiedząc, że trafimy do kryjówki, odwiązał nasze konie, aby opóźnić pogoń.

Slater przytaknął z kwaśną miną.

- Jak mogłem być tak lekkomyślny? Musieliśmy minąć się z Brodym dosłownie o krok. Cholera, wystarczyłoby, żebym się lepiej rozejrzał, a już bym go miał!

- Przecież rozglądaliśmy się oboje. Musiał być dobrze ukryty.

- Jasne! Tak dobrze, że prawie się o niego otarliśmy. Ten korytarz miał parę odgałęzień. Pewnie tkwił w którymś z nich.

- Możliwe, ale jeśli to był Brody, musiała być z nim Amy. Dlaczego w takim razie nie krzyknęła?

- Pewnie miała knebel albo zatykał jej usta ręką.

- Nie wierzę, że nie próbowała innych sposobów. Wystarczyłoby, aby się poruszyła czy szurnęła nogą.

- Nie wiem, ale nie musisz od razu podejrzewać, że była martwa. Może próbowała dawać ci jakieś znaki, ale nie usłyszałaś. A może w ogóle jej tam nie było. Na razie się nie dowiemy. Szkoda czasu na dyskusje.

Kiedy doszli do koni, stwierdzili ze zdumieniem, że ktoś je starannie przywiązał do krzaka.

- Nic z tego nie rozumiem - pokręciła głową Victoria i wskoczyła na siodło. - Dlaczego zatroszczył się,

żeby nie uciekły? Przecież zyskałby więcej czasu, gdybyśmy musieli je łapać. Zresztą, z jego punktu widzenia najbardziej opłacałoby mu się zabrać je ze sobą, żebyśmy się wykończyli na tym pustkowiu.

- Najwidoczniej nie miał zamiaru nas wykańczać - stwierdził Slater, uderzając konia piętami.

- Nie rozumiem. To nie pasuje do takiego bandyty jak on.

- Nigdy nie mówiłem, że Brody jest bandyta. Powiedziałem tylko, że łamie prawo.

- Może i tak, a jednak to dziwne.

- Może - stwierdził filozoficznie Slater, zerkając na nią ukradkiem. Przyszło mu do głowy, że, być może, jakimś cudem Amy zdołała zmiękczyć serce tego twardego. Nie zdecydował się jednak podzielić tymi przypuszczeniami z Victorią. Nie chciał, żeby domyśliła się, w jaki sposób jej anielska siostra mogła to zrobić.

Wiedział, że istnieją kobiety zdolne odmienić mężczyznę, nawet takiego jak Sam Brody. Osobiście nie gustował jednak w słodziutkich i cnotliwych panienkach w typie Amy. O wiele bardziej odpowiadały mu te zadziorne, kąśliwe i niepokorne - takie jak jej siostra. Jej pocałunki były jak ogień i woda, a ciało spełnieniem marzeń każdego mężczyzny.

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Z irytacją pognał konia. Kiedy obiecywał sobie, że jej nie dotknie, nie przypuszczał, że skaże się na takie cierpienia.

Mieli za sobą długi, męczący dzień. Jechali aż do zmroku i byli bardzo wyczerpani.

Po kolacji Victoria z tajemniczym uśmiechem wyciągnęła papierową torebkę.

- Co to jest?

- Coś dobrego. Ale dam ci, jak zasłużysz - zachichotała, wyjmując z niej pomarańczowy krążek i wsuwając go sobie do ust.

- Suszona gruszka? - domyślił się.

- Morela. I jabłka.

- Och - oblizał się łakomie i bezceremonialnie sięgnął po smakołyk. - Chyba nie wątpisz, że zasłużyłem.

- No, nie wiem - droczyła się, próbując zabrać torbę z zasięgu jego ręki, ale pochwycił ją i triumfalnie uniósł do góry.

Ze śmiechem uwiesiła się na jego ramieniu, próbując odzyskać swój skarb. Zachwiali się i potoczyli na ziemię, tarmosząc się i chichocząc jak para uczniaków. Nagle znieruchomieli. Zapomniana torebka upadła w kurz. Victoria spostrzegła, że leży w mocnym uścisku mężczyzny, przygnieciona do ziemi jego ciężarem. Już się nie śmiali. Patrzyli sobie w oczy, a serca biły im jak szalone. Slater czułym ruchem zgarnął z jej twarzy pasmo włosów, które wymknęło się z luźno spleczonego warkocza. Victoria mimowolnie rozchyliła usta, czując dotyk jego palców na policzku. Oczy mężczyzny pociemniały. Wiedział, jak smakuje jej pocałunek, jak łakome są wargi i język. Przesunął dłoń ku wyniosłym wzgórkom piersi dziewczyny.

Poczuła, jak jego twarde ciało napina się z pożądania. Pragnął jej, a ona jego. Dlaczego jeszcze się wstrzymywali?

- Slater... - szepnęła prosząco.

Z bolesnym westchnieniem puścił ją i gwałtownie poderwał się na nogi. Usiadła, patrząc, jak odchodzi na

bok i staje, odwrócony do niej plecami, wepchnąwszy ręce za pas.

- Chodź do mnie - poprosiła bezwstydnie, w szaleńczym porywie odrzucając wszystkie wpajane jej zasady.

- Nie mogę.

- Nie chcesz mnie?

Szerokie ramiona drgnęły.

- Oczywiście, że chcę. Jesteś wszystkim, o czym może marzyć mężczyzna. Ale byłbym skończonym draniem, gdybym cię wziął.

- Nie byłbyś.

- Tak! - chwycił patyk i złamał go z trzaskiem o pień drzewa. - Nie jestem mężczyzną, jakiego naprawdę pragniesz i potrzebujesz.

- Nie uważasz, że osąd należy do mnie? - zapytała cierpko.

- O zbyt wielu sprawach nie masz pojęcia. Jesteśmy zupełnie różni. Nie ma dnia, żebyśmy się nie kłócili. Nie pasujemy do siebie, taka jest prawda.

- Jak zwykle decydujesz bez pytania mnie o zdanie. - Teraz była już naprawdę wściekła. - Tylko jakim prawem odmawiasz mi głosu w sprawie moich własnych uczuć? Uważasz się za lepszego ich znawcę?

- Victorio, jesteś niesprawiedliwa.

- Ja? To ty zachowujesz się jak skończony egoista, jak zapatrzony w siebie dureń! - Stała przed nim z rękami opartymi na biodrach. - Szczerze mówiąc, nawet nie mam ochoty się z tobą przespać! - parsknęła z furją i odwróciła się na pięcie. Błyskawicznie wyciągnęła koc, rozesłała go na ziemi i opatuliła się nim, demonstracyjnie odwracając się plecami.

Slater z ciężkim sercem położył się również. Czuł się zgnębiony i rozżalony. Ogromny wysiłek, jaki włożył w trzymanie się z dala od niej, nie tylko nie został doceniony, ale na dodatek spotkał się z potępieniem i pogardą. Każda inna kobieta byłaby mu wdzięczna, że zachował się wobec niej jak dżentelmen. Ale nie Victoria.

Niestety, jak na ironię, nie pragnął żadnych innych kobiet, tylko jej - złośliwej, upartej i aroganckiej.

Kiedy obudził się rano, czuł się jak po nocy spędzonej na łożu tortur. Poprzysiągł sobie, że gdy tylko wróci do miasta, rozstanie się z dziewczyną raz na zawsze. Wyglądało na to, że dalsze przebywanie w jej towarzystwie wykończy go szybciej niż kulka albo nóż Brody'ego. Widok jej ślicznej twarzy, rozkosznie zaróżowionej od snu, upewnił go, że ani na chwilę nie przestał jej pragnąć.

Natychmiast zaczął wyobrażać sobie, że sadza tę piękną kobietę przed sobą w siodle, by do woli upajać się dotykiem jej cudownego ciała. Oczami duszy widział, jak odwraca się ku niemu na końskim grzbiecie, opasując jego biodra nogami, a jego twarda, rozpalona męskość wchodzi w nią coraz głębiej z każdym ruchem konia.

Jego ciało zareagowało tak gwałtownie, że zagryzł zęby, powstrzymując jęk. Na Boga, jakim cudem zdołała go tak usidlić?

Jechali w pośpiechu, z rzadka odzywając się do siebie. Ruchy konia aż nazbyt boleśnie przywoływały obrazy, które opanowały umysł Slatera. Szukał śladów Brody'ego i Amy zupełnie odruchowo.

- Wiesz, jest coś dziwnego w tych tropach - ode-

zwał się wreszcie, pragnąc rozproszyć uporczywe wizje.

- Co takiego? - zapytała z roztargnieniem. Ton miała oschły, ale złość wywołana wczorajszą odmową Slatera znacznie zmalała. Teraz, w jasnym blasku dnia, znów była zdolna myśleć rozsądnie. I musiała przyznać mu rację. W końcu, już dawno doszła do wniosku, że związek z takim człowiekiem nie ma przyszłości. Jednak świadomość, że w swoim pożądaniu posunęła się nawet do tego, by odrzucić wszelkie konwenanse, podczas gdy mężczyzna zdawał się panować nad sobą, irytowała ją niezmiernie.

- Wydaje mi się, że szły tędy trzy konie.

- Trzy? - Victoria ocknęła się wreszcie. - Myślisz, że dołączył do nich inny członek gangu?

- Nie mam pojęcia. Coś tu nie pasuje. Popatrz, dwa ślady idą cały czas obok siebie, a ten trzeci to zbliża się, to oddala, jak gdyby ktoś jechał w pewnej odległości za nimi. Może po walce i kłótni w kryjówce jeden z jego ludzi zdecydował się dołączyć do Brody'ego?

- Jak myślisz, w jakim kierunku jadą?

- Przypuszczam, że do San Antonio.

- Dlaczego?

- Brody ma tam przyjaciół. Między innymi kobietę, o której wiem, że już wcześniej go ukrywała. Ona jest...
- urwał nagle.

- Kim jest? - spojrzenie Victorii stało się czujne.

- Tylko nie waż się mówić mi, że są rzeczy, o których nie powinnam słyszeć.

- Dobrze. Ona jest właścicielką domu publicznego.

Dziewczyna patrzyła na niego z rosnącym przestraszaniem.

- Czy podejrzewasz, że on... odda Amy tej kobiecie? Zmusi ją, żeby pracowała dla niej?

Slater wzruszył ramionami.

- Mógłby to zrobić, ale sądzę, że tylko poszuka u niej schronienia. Jednak długo nie będzie mógł tam siedzieć. Pewnie spróbuje się przedostać do Meksyku.

- Do Meksyku?

- Tak, to logiczne. Jego gang się rozpadł. Kryjówka została odkryta. Wie, że deptamy mu po piętach. A tylko w Meksyku będzie miał szansę zacząć nowe życie.

- Nie możesz go tam ścigać?

- Nie.

- W takim razie musisz za wszelką cenę złapać go, zanim opuści Teksas.

- Są duże szanse. Jesteśmy na jego tropie, a jeśli rzeczywiście przycai się u Dorette, to będę go miał - powiedział z obiecującym uśmiechem.

Victoria odprężyła się i z ulgą pokiwała głową.

- Gorzej, jeśli zatrzyma nas ulewa. - Zerknęła na gromadzące się nad ich głowami ołowiane chmury.

Jechali dalej, z niepokojem śledząc ciemniejący horyzont. Kiedy poczuli pierwsze podmuchy zimnego wiatru, pognali konie kłusem.

- Lepiej poszukajmy jakiejś kryjówki - zaniepokoił się Slater.

- Szkoda czasu. Mogę jechać w deszczu - stwierdziła Victoria. Niepewna mina przeczyła dziarskim zapewnieniom. Zanosiło się na potężną burzę.

Błyskawica przecięła niebo, rozświetlając czarne, pędzące coraz szybciej chmury. Już po chwili poczuli pierwsze krople. Ulewa gęstniała błyskawicznie. Po kilku minutach byli kompletnie przemoczeni.

Pioruny uderzały wokół nich, a z dala usłyszeli groźny pomruk gromu. Kiedy rozległ się ogłuszający huk, spłoszony koń Victorii stanął dęba. Z trudem zapanowała nad nim. Slater miał rację, trzeba było jak najszybciej poszukać schronienia. Zasłona deszczu była tak gęsta, że prawie nic nie było widać.

Teraz posuwali się wolniej, walcząc z płoszącymi się wierzchowcami. Nie dali się jednak skusić nielicznym grupom drzew, wiedząc, że mogą przyciągnąć pioruny. Potrzebowali solidniejszego schronienia. Tym razem dziewczyna z żalem pomyślała o zaciszu jaskini.

- Hej, zobacz! - Slater wychylił się w siodle i wpatrzył w jakiś punkt przed nimi, ocierając twarz z wody.
- Tam chyba jest dom.

Po chwili dojrzała w oddali zarys jakiejś ciemnej bryły, która równie dobrze mogła być domostwem, jak i grupą skał.

Zmusili ślizgające się na błocie konie do szybszego kłusa. Tajemniczy obiekt okazał się prymitywnie skleconą, na wpół zrujnowaną chałupą. Nie mieli wyboru. Lepszego schronienia nie było widać. Niestety, od celu oddzielała ich szybko przybierająca rzeka.

Slater ściągnął wodze i zatrzymał wierzchowca na brzegu, usiłując ocenić szanse przeprawy. W tym miejscu woda była płytka i szeroko rozlana. Dno pokrywały duże, płaskie kamienie. Dopiero dalej głębokość zwiększała się nieznacznie. W innych warunkach skierowałyby konia w nurt bez zastanowienia. Wiedział jednak, że przy takiej ulewie nawet niegroźne miejscowe rzeczki potrafią w ciągu kilku chwil zmienić się w niebezpieczne, wzburzone masy huczącej wody.

- Jeszcze nie przybrała! - zawołała z tyłu Victoria.
- Jedźmy!

Pchnął konia w rzekę. Dziewczyna była tuż za nim.

Byli w połowie brodu, gdy przypadkiem zerknęła w bok i z przerażeniem zobaczyła ścianę wody, która parła ku nim z rykiem.

- Slater! Do przodu! - krzyknęła, bodąc konia ostrogami.

Zwiadowca obejrzał się, jednocześnie poganiając swojego wierzchowca, aż ten skoczył szczupakiem ku brzegowi. Widząc, że fala za chwilę przetoczy się po nich, chwycił rękami kulbakę i przyłgął do grzbietu konia, wysuwając nogi ze strzemion i mocno obejmując nimi jego boki.

Ściana wody zwała się na nich, kiedy byli już niedaleko brzegu. Koń Victorii zachwiał się, poślizgnął na kamieniach i upadł na kolana. Zdażyła wprawdzie w ostatniej chwili uchwycić się kulbaki, ale potężny wir porwał ją i ściągnął z siodła. Pomimo to nie rozluźniła chwytu. Czuła, jak zwierzę miota się, walcząc z naporem wody i usiłując stanąć na nogi. Wreszcie udało mu się wydobyć na powierzchnię i zaczął płynąć, znoszony rwącym nurtem. Victoria usiłowała płynąć obok niego, kurczowo trzymając się siodła.

Woda zalewała jej twarz, a pasma mokrych włosów dosłownie zalepiały oczy. Nie mogła ich odgarnąć, bojąc się oderwać rękę od zbawczego uchwytu. Potrząsnęła głową i mocno zaczerpnęła powietrza.

- Victorio!

Odwróciła z wysiłkiem głowę. Slater siedział na koniu i wraz z nim płynął z prądem, w niewielkiej odległości, która jednak okazała się za duża. Pomimo wy-

siłków nie był w stanie zmusić swojego Jacka do skręcenia na środek rzeki. Doświadczone zwierzę parło uparcie ku brzegowi, wiedząc, że tam znajdzie ratunek. Victoria słyszała tylko bezsilne przekleństwa. Nagle jedna z gałęzi przepływającego obok drzewa uderzyła ją w plecy z takim impetem, że nie zdołała utrzymać się siodła. Prąd oderwał ją od łęku i ze zdwojoną szybkością poniósł w dół rzeki.

Slater przestał walczyć z koniem. Wiedział, że płynąc, nie zdoła już dogonić Victorii. Na szczęście Jack zdołał utrzymać równowagę i z ogromnym wysiłkiem wygramolił się na stromą skarpe. Mężczyzna natychmiast popędził go wzdłuż brzegu. Kiedy wypatrzył wreszcie ciemną głowę w falach, ścisnął nogami boki konia.

- Jack, stary diable, zrób to dla mnie! - krzyczał zmęczonemu zwierzęciu do ucha. - Dawaj, dawaj naprzód!

Drugi koń zdołał dopłynąć do brzegu i stanął chwiejnie na nogach w płytkiej wodzie. A dzielny Jack niezmiernie parł naprzód, zagrzewany zaklęciami swego pana.

Na jedną przerażającą chwilę dziewczyna straciła orientację i miotła się pod wodą, nie wiedząc, gdzie jest powierzchnia. Fala cisnęła ją o skały. Ostre krawędzie darły jej ubranie i kaleczyły skórę, ale nie zważała na ból. Najważniejsze, że mogła wreszcie zaczerpnąć powietrza. Kątem oka dostrzegła galopującego wzdłuż rzeki Slatera. Na nowo wstąpiła w nią nadzieja i wróciła zdolność myślenia. Wiedziała, że musi starać się spokojnie płynąć z prądem, sterując w stronę brzegu. Na nieszczęście długie jeździeckie buty ciągnęły ją do

dna jak kajdany. Opadała z sił i poruszała się z coraz większym trudem.

W samą porę zauważyła przepływającą obok grubą gałąź i zdołała się jej uchwycić obiema rękami, zyskując chwilę wytchnienia. Zerknęła w bok. Slater już prawie się z nią zrównał i dawał jej rozpaczliwe znaki. Próbowała skierować się ku brzegowi, mocno pracując nogami, lecz prąd był zbyt silny.

Nagle tuż przed nią wyrosła skalna ostroga. Gałąź pękła z trzaskiem. Victoria spróbowała uchwycić się skały, ale palce ześlizgnęły się bezsilnie po mokrym kamieniu. Prąd poniosł ją ku brzegowi. I znów nadaremnie wyciągała ręce, które tym razem grzęzły w śliskim mule. Ku jej rozpaczycy znowu zaczęło ją znosić na środek rzeki. Szarpnęła się desperacko i w ostatniej sekundzie jej ręce natrafiły na wystający ze skarpy korzeń.

Chwyciła mocniej, zaklinając się w duchu, że tym razem już nie puści. Napór wody niemal wrywał jej ramiona ze stawów.

- Trzymaj się, kochana! Idę! - dosłyszała nad sobą głos Slatera. Dodał jej otuchy i ze zdwojoną siłą zacisnęła palce. - Uważaj, rzucam łąso! - zawołał.

Victoria na ułamek sekundy uwolniła jedną rękę i uniosła ją nad głowę. Pętla spadła ze świstem i zacisnęła się, otaczając jej ramiona. W tej samej chwili zdrętwiałe palce drugiej ręki puściły korzeń. Ciało dziewczyny znów zanurzyło się w wodę, ale łąso napięło się, ściągając ją z powrotem.

Slater stał mocno wparty w ziemię, dla lepszego chwytu owinąwszy sobie linę wokół pasa, i ciągnął z całej siły. Victoria również czyniła desperackie wysiłki, by wydostać się z rwącego nurtu. Ślizgając się

w błocie, mężczyzna cofał się krok za krokiem. Wreszcie natrafił na wystający zrąb skalny i zahaczył o niego nogą. Teraz mógł ściągać linę rękami.

Powoli i z ogromnym trudem udało mu się wyciągnąć dziewczynę z wody. Kiedy jej stopy wreszcie znalazły oparcie, ostatnim wysiłkiem przerzuciła ciało przez urwistą krawędź brzegu i dysząc, upadła na ziemię. Napięcie liny osłabło tak nagle, że Slater zachwiał się i padł na plecy. Victoria nie miała nawet siły wstać. Pełzła ku niemu, aż wreszcie ogarnęły ją opiekuńcze, silne ramiona.

I tak leżeli przez długą chwilę, objęci, nie zważając na strugi lodowatego deszczu.

- Victoria... Tory... o Boże, jak strasznie się bałem - szeptał Slater, okrywając jej twarz pocałunkami.
- Myślałem już, że cię stracę.

Serce łomotało mu gwałtownie, jakby chciało wyrwać się z piersi, a lodowaty ucisk dławił gardło. Nigdy w życiu nie bał się tak jak w ciągu tych kilku strasznych minut - nawet na wojnie, w środku bitwy, kiedy wokół ginęli ludzie.

Nie powiedziała ani słowa. Nie była w stanie. Mogła tylko, drżąc, tulić się do niego.

Slater ujął w dłonie twarz dziewczyny i przylgnął wargami do jej ust. Pocałunek był głęboki, namiętny, pełen pasji zrodzonej z lęku przed utratą i radości ocalenia. W odpowiedzi otoczyła jego szyję ramionami, jakby budziła się z koszmarne go snu i przylgnęła do niego. Gorąca, pulsująca fala życia zwyciężyła czającą się śmierć. Teraz liczyły się tylko ciała, namiętne usta, jego zachłanne dłonie, jej pragnienie, dziewczęce biodra, prężące się na spotkanie twardej męskości.

Slater zatracił się zupełnie. Pragnął już tylko jednego - by jak najszybciej być blisko, jak najbliżej z tą kobietą. Teraz, kiedy omal jej nie stracił, marzył, by uczynić ją częścią siebie, jakby to miało dać mu pewność, że już nigdy się nie rozłączą.

Ale przejmujący wiatr i siekący, zimny deszcz przytłumiły wreszcie płomień pożądania. Otrzeźwiony lodowatym dotknięciem kropel spływających mu wzdłuż krzyża, oderwał wargi od ust Victorii i wtulił głowę w zagłębienie jej szyi, czekając, aż ochłonie zupełnie.

- Musimy się gdzieś schronić - wydyszał wreszcie.
- Trzeba się ogrzać i wysuszyć.

Zaczął wysuwać się z jej ramion, wstając powoli. Przez chwilę nie chciała go puścić, ale zimne dreszcze przywołały ją do rzeczywistości. Jak zwykle miał rację. Podał jej rękę. Podniosła się powoli.

Konie stały niedaleko, ze spuszczoneymi łbami, odwrócone zadami do wiatru. Slater wskoczył na siodło i zapraszająco wyciągnął rękę. Nie chciał rozstawać się z nią ani na chwilę. Victoria szybko usadowiła się przed nim i z radością pozwoliła, by przytulił ją mocno do siebie.

Kiedy wyciągnął ją z rzeki i chwycił w objęcia, miała uczucie, jakby wyrwana śmierci wracała do niego jak do życia, jak do ukochanego domu. Ukochanego... Tak, w tamtym momencie zrozumiała nagle, że go kocha.

Teraz zastanawiała się, jak mogła być tak ślepa, by tego nie zauważyć. Slater doprowadzał ją do pasji i prowokował właśnie dlatego, że był mężczyzną dla niej. On jeden miał w sobie wystarczająco dużo chara-

kteru i twardości, godności i siły. Dlatego ścierali się jak śmiertelni wrogowie. Był pierwszym, który ośmielił się rzucić jej wyzwanie, który opanował jej serce i myśli, który zburzył jej spokój. Dlatego przerażał ją i fascynował.

Kochała go i miała wrażenie, że tak było od początku. Zawsze wiedziała, że jeśli już kogoś pokocha, uczyni to na zawsze. Bo nie należała do kobiet zmieniających zdanie. Jeśli poddała się uczuciu, nie wyrzeknie się go, nawet gdyby się okazało, że Slater nic do niej nie czuje. Teraz nie ukrywała już przed sobą, że pragnie jego ciała, jego fizycznej bliskości. Jego serca i jego myśli. Czas przestał się liczyć. Gotowa była czekać, choćby i do końca życia.



Dotarli do zrujnowanej chaty. Z boku miała przybudówkę, do której wprowadzili konie. Slater rozsiodłał je błyskawicznie, a potem wprowadził Victorie do izby. Szła, uwieszona jego ramienia. Dawała sobą kierować, potulna jak dziecko. Po raz pierwszy w życiu nie miała ochoty być silną i niezależną.

Jej zachowanie coraz bardziej go niepokoiło. Podejrzał, że jest w szoku albo, co gorsza, ma jakieś wewnętrzne obrażenia. Jedno wiedział na pewno: powinna jak najszybciej zdjąć z siebie mokre rzeczy i rozgrzać się.

Jedyna izba domu była zarośnięta kurzem i pusta, jeśli nie liczyć starego, koślawego kredensu. Przy ścianie Slater z zadowoleniem dostrzegł kominek z kamieniami, lecz nigdzie nie było widać drewna na podpałkę. W końcu musiał połamać drzwi i polki z kredensu. Cudem udało mu się rozpalić ogień.

Przejrzał torby przy siodłach, szukając choć jednej suchej rzeczy. Niestety, koce przemokły. Pozostała tylko jego zapasowa koszula.

- Proszę, włóż to - powiedział i podał ją Victorii.
- Musisz zdjąć te mokre łachy.

Była jednak zbyt wyczerpana, by się ruszyć. Ukłął i ściągnął jej buty, a potem zaczął rozpinać bluzkę. Działał powodowany wyłącznie troską o jej zdrowie, bez żadnych zdrożnych myśli. Przepełniało go osobli-

we, głębokie wzruszenie, jakby ta kobieta była bezcennym skarbem, który należy tylko do niego i którego o mało nie utracił - toteż powinien w dwójnasób dbać o nią.

Dopiero kiedy ściągnął jej bluzkę i cisnął na podłogę, stłumione opiekuńczym instynktem pożądanie gwałtownie dało znać o sobie. Mokra koronkowa koszulka przylgnęła do kształtnych piersi jak druga skóra, ujawniając jego zachwyconym oczom ponętnie sterzące sutki.

Znów ogarnęła go pierwotna, nieopanowana żądza posiadania. Nigdy w życiu nie zdarzyło mu się pragnąć kobiety tak, jak teraz pragnął Victorii. Kiedy, nie kryjąc już dłużej swoich uczuć, popatrzył na nią, odpowiedziała mu radosnym, wyczekującym spojrzeniem. Znalazł w nim potwierdzenie tego, o czym wiedział już, tuląc ją na błotnistym brzegu - że nieuniknione zdarzy się jeszcze tego wieczoru, bo zdarzyć się musi.

Błede policzki Victorii okrył rumieniec. Wiedziała, jak wyraźnie rysują się jej piersi pod mokrą koszulką. Równie dobrze mogłaby stać przed nim naga. Ale wstyd był ostatnim uczuciem, jakie wzbudzało w niej spojrzenie Slatera. Czuła narastające podniecenie i dumę z własnej kobiecości. Widok tego mężczyzny, drżącego z pożądania, obudził w jej ciele radosne i rozkoszne oczekiwanie.

Slater powoli sięgnął do wstążek ściągających wycięcie koszulki i rozwiązał je lekkim, prawie niedostrzegalnym ruchem palców. Ręce zaczęły mu drżeć, a wargi rozchyliły się zmysłowo, gdy ujrzał piersi dziewczyny w całej ich oszałamiającej doskonałości, zdobne różowymi sulkami, kuszącymi go jak słodkie maliny.

Z tą samą dręczącą powolnością rozpiął jej pasek i spódnicę, pozwalając im opaść na podłogę. Teraz miał przed sobą Victorie tylko w pantalonach i pończochach, zdradzających tajemnice jej ciała, podobnie jak wcześniej koszulka. Nie mógł oderwać oczu od kobiecej krągłości bioder i płaskiej linii brzucha. Pasek z gustownej niebieskiej satyny i białe podwiązki z koronkami sprawiały, że wyglądała nieprawdopodobnie podniecająco.

Teraz odpinał każdą podwiązkę po kolei, choć miał ochotę szarpać je i zdzierać. Ukląkł i rolując pończochy, sunął dłońmi po smukłych nogach. Na koniec sięgnął do wąskiej talii dziewczyny i rozwiązał tasiemkę pantalonów. Były zbyt mokre, by mogły zsunąć się same, więc zdejmując je, doznał nowej porcji słodkich tortur. W ostatniej chwili powstrzymał się, by nie przygarnąć jej bioder ku swojej twarzy i nie nasycić się smakiem tego, co czekało, drżąc, po raz pierwszy odsłonięte przed jego wzrokiem.

Wstał i cofnął się o krok, by długo, dokładnie przyjrzeć się każdemu szczegółowi pięknego kobiecego ciała. Było doskonałe i piekielnie ponętne. Teraz mógł odrzucić niepotrzebne wątpliwości. Już nie zadawał sobie pytań, jak powinien postąpić z Victoria Stafford, niewinną panienką. Miał przed sobą kobietę, której pragnął dać najczulszą, prawdziwą miłość.

Wziął swoją koszulę i zaczął troskliwie osuszać jej mokre ciało. Dziewczyna przymknęła oczy, tłumiąc drżący oddech. Dotyk miękkiej flaneli pieścił jej piersi, brzuch, pośladki, uda i stopy, rozpalając skórę.

Slater podniósł się z klęczek i ostatnim wysiłkiem woli stłumił w sobie odruch, każący mu pochwycić Victorie w ramiona i potoczyć się z nią na podłogę. Zamiast tego narzucił jej koszulę na ramiona i odsunął się.

Otworzyła oczy, wytrącona z pełnego wyczekiwania błogostanu. Mężczyzna stał przed nią nieruchomo. Szeroką pierś unosił gwałtowny oddech. Nie miała wątpliwości, że jej pragnie. Nawet jej niedoświadczone spojrzenie potrafiło to dostrzec.

- Slater? - zagadnęła niepewnie.

- Bardzo cię pragnę. - Głos miał niski, chrapliwy.

- Ale nie będę nalegać. Nie chcę namawiać cię do tego, czego możesz później żałować.

Odpowiedziała mu leniwym, zmysłowym uśmiechem, pełnym odwiecznej kobiecej wiedzy.

- Nie będę żałować.

Jej słowa rozpały w nim ogień. Zaczął się rozbierać, niespiesznie rozpinając guziki, a Victoria stała i patrzyła. Rozchylone poły koszuli, którą miała narzuconą na ramiona, odsłaniały oczom mężczyzny wąski, kuszący skrawek nagiego ciała. Zachwycała go bardziej, niż gdyby stała przed nim naga - i wiedziała o tym.

Slater ściągnął koszulę i cisnął ją na stos mokrych rzeczy. Victoria czekała, drżąc, upajając się świadomością, że rozbiera się dla niej i tylko dla niej. Wiedziała, że za chwilę ogarną ją silne ramiona i stanie się jego kobietą. Pragnęła go. Czuła, że mógłby mieć całkowitą władzę nie tylko nad jej ciałem, ale i nad duszą. I po raz pierwszy nie buntowała się.

Twarde, rzeźbione ciało mężczyzny przyzywało jej dłonie, ale jeszcze się wahała. Pamiętała jego dotyk, kiedy obmywała go w gorąco, lecz wtedy płonął innym

ogniem. Patrzyła na jasne włosy porastające pierś Slatera. Pragnęła dotknąć ukrytych pod nimi sutków. Czy staną się twarde, tak jak jej?

Zwiadowca ściągnął buty, skarpetki i spodnie, przylegające jak pancerz do bioder. Oczy Victorii rozszerzyły się nagle ze zdumienia, kiedy ujrzała jego męskość w całej imponującej okazałości. Natychmiast poczuła falę gorąca, ogarniającą podbrzusze. Lękała się go - był zbyt wielki, mógł zadać jej ból. A jednocześnie zapragnęła, by wypełnił ją sobą i dał jej poczuć swoją twardość i moc.

Slater dostrzegł w jej oczach pożądanie walczące z obawą. Jeszcze nie widział Victorii z tak niepewną miną.

- Nie bój się, kochana - powiedział uspokajającym, czułym tonem. - Będę bardzo delikatny. Na pewno cię nie skrzywdzę.

Z trudem zdobyła się na nieśmiały uśmiech.

- Nie wiem, czy ci się uda, ale wiem, że będziesz się starał. A ja... chcę tego, bez względu na wszystko.

Zbliżył się do niej. Czekwała w rosnącym napięciu, czując dławiący ucisk w gardle.

Ujął jej dłoń i podniósł do ust. Wąsy połaskotały jej skórę.

- Zareczam ci, że on nie jest tak straszny, na jakiego wygląda - odezwał się z żartobliwą czułością, prowadząc rękę Victorii w dół. - Sama się przekonaj, że jest nieszkodliwy.

Kiedy dotknęła go po raz pierwszy, wydała stłumiony okrzyk i cofnęła rękę, ale ciekawość zwyciężyła. Po raz drugi śmielej objęła dłonią pulsującą kolumnę. Slater gwałtownie wciągnął oddech.

- Co się stało? Przepraszam, jeżeli zrobiłam coś złego. Zabolało cię?

- Nie - wykrztusił z wysiłkiem. - Wręcz przeciwnie. Dałaś mi aż za dużo przyjemności. Jeszcze chwila, a będę zbyt podniecony, żeby być łagodny.

Znów go dotykała, o wiele delikatniej, choć z równą ciekawością. Słyszac, stłumiony jęk, spozrzała na niego i zdumiała się, widzac, jak intensywnie przeżywa jej nieporadne pieszczoty. Pot błyszczacł mu na czole, rysy napięły się, ciężkie powieki opadły na oczy, a usta były jeszcze bardziej obrzmiałe i zmysłowe niż wtedy, gdy ją całował. Siła tej namiętności wywołała w jej ciele gwałtowny odzew.

- Teraz moja kolej - wyszeptał, zsuwając jej koszulę z ramion, aż piersi ukazały się w pełnej krasie. Ujął w dłonie ich kragłości i lekko ścisnął. Jędrne ciało zadrżało pod jego dotykiem. Zważył je w rękę z zachwytem, a potem obwiódł kciukami ciemne otoczki sutków. Opuszkami palców zataczał coraz mniejsze kręgi, aż dotknął stulonych, różowych pączków, które rozwinęły się pod jego dotknięciem.

W tej samej chwili Victoria poczuła drażniące pulsowanie w dole brzucha i gorącą wilgoć gromadzącą się w najtajniejszym miejscu. Własne ciało zadziwiała ją. Nie była pewna, czy wszystko jest tak, jak powinno. A jednak było to tak przyjemne, że nie wyobrażała sobie, by miało nagle ustać.

Wreszcie Slater porzucił jej piersi i sunął dłońmi po gładkiej skórze brzucha, kolistymi ruchami okrążając pępek i zdążając niżej, coraz niżej, aż Victoria drgnęła w nerwowym napięciu.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptał uspokajająco. - Nie sprawię ci bólu.

- Wiem - wydyszała bez tchu. - Tylko że ja nigdy nie... och!

Objął dłońmi jej kragłą pupę i mocno ścisnął, parząc na dziewczynę z leniwym uśmiechem doświadczonego mężczyzny.

- Dlatego będę cię uczył.

Niespiesznie przeniósł jedną dłoń na jej brzuch, a potem zsunął rękę w gąszcz miękkich, kędzierzawych włosów. Już chciała się cofnąć, ale przytrzymał ją drugą ręką. Teraz poczuła, jak wsuwa palce pomiędzy jej nogi, najwyraźniej pożądaną cieplej, jedwabistej miękkości. Victoria zamarła ze wstydu. Zaraz poczuje tę dziwną wilgoć!

- Ach... - na chwilę zacisnął powieki, a nozdrza mu zadrgały. Delikatnymi ruchami palców błędził w skrytym przedsionku kobiecej tajemnicy, śliskim od miłostnego fluidu.

- Kochanie... Jesteś już gotowa dla mnie.

Victoria uniosła głowę i popatrzyła na niego bez słowa. Nie cofnął ręki. Pochylił się i zaczął ją całować. Jęknęła cicho i odchyliła głowę do tyłu, poddając się władzy jego warg. Język błędzący w jej ustach był równie ruchliwy jak jego palce, otwierające przedsionek rozkoszy.

Miała cudowny przedsmak tego, co może ją czekać. Najeżdźca brał w posiadanie jej ciało, lecz nie miała zamiaru się bronić. Przeciwnie, jej biodra zaczęły instynktownie wykonywać namiętne koliste ruchy, sprzyjające pieszczocie.

Slater rozpoczął szlak pocałunków, wiodących przez policzek do delikatnego wnętrza jej ucha. Kiedy czule chwycił jego koniuszek zębami, dziewczynę

przeniknął mrowiący dreszcz. Ale mężczyzna już błędził ustami po jej szyi, pociągając ją na ziemię. Gdy legli na rozłożonej koszuli, muskał już jędrną kragłość piersi. Na jedną denerwującą chwilę zawisł ustami nad napiętym, wyczekującym sutkiem, a potem przylgnął do niego wargami i językiem. W tym samym momencie jego palce natrafiły na czuły, ukryty punkt jej kobiecości.

Pod powiekami Victorii rozbłysły jaskrawe fajerwerki. Pograżała się w tej pieszczocie, tracąc kontrolę nad swoim rozedrganym, oszalałym ciałem, które prężąc się i wijąc, błagało mężczyznę o rozkosz.

Mężczyzna doprowadził grę miłosną do granicy, poza którą mogło być już tylko spełnienie. Niedoświadczona, lecz pełna żarliwego pragnienia gotowość Victorii doprowadzała go do zmysłowego szaleństwa. Ogromne poczucie szczęścia zaparło mu dech, kiedy wsunął się pomiędzy jej gorące, chętne uda. Ostatnia świadoma myśl nakazywała, by poruszał się w niej powoli, zadając jak najmniej bólu.

Lecz ona była zbyt rozpalona i zbyt niecierpliwa, by czekać. Głód spełnienia stał się tak nagły, że wyprężyła się gwałtownie pod Slaterem, oddając swoje dziewictwo w jednym gwałtownym paroksyzmie bólu. Teraz mężczyzna wypełniał ją i zdobywał długimi, mocnymi pchnięciami, jakby chciał dotrzeć do najtajniejszego jądra jej istoty. Był szalony i niepomny na nic, ogarnięty oszalałą namiętnością. Victoria z równą pasją pozwalała się unosić ku najdalszym granicom, gotowa na wszystko. Razem poszybowali na szczyt i razem runęli w dół w spazmach rozkoszy, dając się ponieść wzburzonym falom ekstazy. Dziewczyna wydała

triumfalny okrzyk, który zlał się w jedno z jękiem Slatera, a potem, tuląc się do siebie, zatracili się w błogim zapomnieniu.

W drodze do San Antonio Brody i Amy nie oszczędzali koni. Sam nie miał zamiaru tracić cennych godzin przewagi na kluczenie i zacieranie śladów. Był pewien, że Slater i tak odgadnie, iż zmierzają do Meksyku. Podchody się skończyły, teraz pozostał tylko morderczy wyścig do granicy. Wiedział, że zwierzęta wytrzymają, przynajmniej ten etap. W mieście będzie musiał kupić nowe. Tam też miał szansę zgubić zwiadowcę w ulicznym tłumie. Zresztą, był pewien, że Dorette nie zdradziła nikomu jego tajemnicy. Przenocują u niej, a rano ruszą dalej.

Kiedy nad ich głowami rozpętała się burza, pomyślał, że same niebiosy mu sprzyjają. Zdażyli się już przeprawić przez rzekę Guadalupe i drogę przecinały im tylko strumyki, niegroźne nawet przy ulewnym deszczu. Był niemal pewien, że Slater nie zdażył przeprawić się przez wzburzone wody i straci jeden dzień.

Troskliwie okrył Amy peleryną, którą zabrał z kryjówek, i jechali dalej w strugach ulewy. Zresztą, w tej okolicy nie było żadnego schronienia. Zmrok zapadł, kiedy dzieliło ich już tylko kilka mil od San Antonio, więc Sam zaryzykował jazdę po ciemku. Bez trudu znalazł drogę do domu Dorette.

Amy zsiadła z konia i rozejrzała się ze zdumieniem. Ludzie w tym mieście zdawali się nie przejmować późną porą. W wielu domach paliły się światła. Z salonu dochodził gwar głosów. Drzwi budynku, przed którym się zatrzymali, były otwarte zapraszająco, a zza

wiszącej u wejścia zasłony dobiegały śmiechy, rozmowy i dźwięk pianina.

- Czy tam jest zabawa? - zapytała naiwnie.

- No, niezupełnie - odparł ze śmiechem Sam.

- Ale musi im być wesoło.

- U Dorette zawsze jest wesoło - powiedział i otoczył ją ramieniem. - Masz się trzymać blisko mnie, rozumiesz? Nigdzie nie odchodź.

- Dobrze.

Weszli do środka. Brody zaczął rozglądać się po dwóch dużych salonach, wyraźnie kogoś szukając. Amy patrzyła, oniemiała. Nigdy nie widziała takiego miejsca.

Meble były ciężkie i ozdobne, zupełnie inne niż proste, funkcjonalne sprzęty w jej domu. Za to liczne kanapki i krzeselka miały lekką linię, a plusz, którym były obite, pysznił się jaskrawoczerwonym kolorem, który wydał się dziewczynie zupełnie niepraktyczny. Okna zasłaniały ciężkie kotary z bordowego aksamitu, obficie udrapowane i podwiązane złotymi sznurami. W kącie jednego salonu chudy Murzyn grał na pianinie. Całą długość ściany w drugim zajmował obficie zaopatrzone barek, gdzie drugi Murzyn serwował napoje.

Jednak bardziej niż wystrój zdumiewało Amy bawiące się w tym domu towarzystwo. Większość stanowili mężczyźni, zarówno w znoszonych, codziennych ubraniach, jak i w eleganckich surdutach. Stali przy barku lub siedzieli na kanapkach, pijąc i paląc cygara. Asystowały im rozgadane i rozchichotane kobiety, strojne w najbardziej frywolne stroje, jakie Amy kiedykolwiek widziała. Niektóre miały suknie z jaskrawej satyny, tak wydekoltowane, że prawie całkiem odsła-

niały biust. Inne paradowały w przezroczystych peniuarach i koszulkach, albo, co gorsza, w samej bieliźnie - ozdobnych, błyszczących gorsetach, koronkowych majtkach, frywolnych podwiązkiach i nieprzyzwoitych, czarnych pończochach. Ich policzki i usta były nienaturalnie czerwone, powieki mieniły się kolorami, a oczy były grubo obwiedzione tuszem. Jakby tego było jeszcze mało, nad kominkami w każdym z pomieszczeń wisały wielkie obrazy w ciężkich złotonych ramach, przedstawiające leżące w kuszących pozach kobiety, całkowicie rozebrane - jeśli nie liczyć skrawka lekkiej materii, ledwie okrywającej ich łona.

Amy patrzyła na to wszystko z otwartymi ustami, niezdolna wykrzutusić słowa. Sam zerknął na nią z zakłopotaniem. Zdążył już zapomnieć, jak wygląda wnętrze domu Dorette. Prawdę mówiąc, dotychczas uważał je za bardzo przyjemne.

- Sam? - Dziewczyna mocniej chwyciła go za łokcie. - Kim są ci ludzie? Dlaczego te kobiety są tak... ubrane?

- No, po prostu... - zaczął niezręcznie. Na szczęście z opresji wybawiła go piękna, zadbana kobieta o ognistorudych włosach, ozdobionych długim czarnym piórem. Głęboki dekolt szarej aksamitnej sukni ukazywał wspinające piersi.

- Brody, ty stary diable! - wykrzyknęła niskim, uwodzicielskim głosem. - Jakie wiatry cię tu przywiały?

Rzuciła mu się na szyję, wyściskała serdecznie i namiętnie pocałowała w usta. Na ten widok Amy poczuła niemiłe ukłucie w sercu. Była jednak zbyt niedoświadczona, by rozpoznać w nim klasyczną oznakę zazdrości.

- Witaj, Dorette - Sam odwzajemnił uścisk, ale nie pocałunek. Kobieta przeniosła czujne spojrzenie na Amy i jej źrenice zwięzły się podejrzliwie.

- No, no, kogo my tu mamy? Co jest, Sam? Ostatnio dochodziły mnie wieści, że wyrwałeś się z pudła w Santa Clara i przyczaiłeś na północy, a tymczasem widzę cię w moich progach w towarzystwie nauczycielki ze szkółki niedzielnej, uwieszonyj u twego ramienia.

- Później ci wszystko wyjaśnię. Na razie potrzebujemy pokoju na noc. Załatw to szybko, bo ludzie zaczynają na nas patrzeć.

Amy nie wyobrażała sobie, że ktoś miałby się nimi interesować, skoro wokół było tyle atrakcji, ale coraz więcej spojrzeń wędrowało w ich kierunku.

- Jasna sprawa - Dorette niezwłocznie wyprowadziła ich na zaplecze. Przeszli koło kuchni i wspięli się po wąskich schodach na pięterko. Liczne drzwi wychodziły na długi korytarz. Wskazała im te, na samym końcu. Sam wprowadził Amy do pokoju.

- Czym jeszcze mogę wam służyć?

- Przydałoby się trochę jedzenia. I coś do picia. Co takiego, kochanie? - z uśmiechem odwrócił się do Amy, która pociągnęła go za rękaw i szepnęła coś do ucha. - Tak, oczywiście. - Mrugnął porozumiewawczo do Dorette. - Załatwiłabyś nam jeszcze kąpiel?

- Już się robi - odparła skwapliwie, ale nim odeszła, na moment zatrzymała spojrzenie na mężczyźnie.

Znała Sama od lat, ale dotąd nie widziała, żeby patrzył na kobietę tak jak przed chwilą na tę dziewczynę. Nawet w jego twarzy dostrzegła zastanawiającą zmianę. Tak zwykle twarde, napięte rysy straciły swoją

ostrość, jakby złagodził je wewnętrzny spokój. Jeszcze bardziej zaintrygowała ją jego towarzyszka, ale wiedziała, że lepiej będzie nie zadawać pytań. Jeśli Brody zechce, sam jej wszystko opowie. Wyszła, cicho zamykając drzwi.

Amy stanęła na środku pokoju i zaczęła się rozglądać z nie skrywaną ciekawością. Sam obserwował ją z uśmiechem. Mógł sobie wyobrazić, jakie pytania kłębią się w jej niewinnej głowce.

Ogromne łoże, okryte bogatą złotoczerwoną kapą, zdawało się wypełniać całą przestrzeń. Oprócz niego w pokoju była jeszcze sofka obita czerwonym pluszem, umywalnia o marmurowym blacie i toaletka z niskim, również czerwono wyściełanym pufem. Przy jednej ścianie stało wielkie tremo, a prawie równie duże lustro znajdowało się na suficie. Amy zadarła głowę, przypatrując mu się z szeroko otwartymi ustami, jak zdziwione dziecko.

- Zupełnie nie rozumiem, po co ktoś zawiesił lustro na suficie - powiedziała, odwracając się do Sama. - Z czego się śmiejesz? - nadała się.

- Z ciebie, kochanie, ślicznie wyglądasz, kiedy marszczysz nosek, tak jak teraz. Od razu chciałbym cię całować.

Amy ochoczo przytuliła się do niego, zachwycona propozycją. Jednak kiedy nasycili się pocałunkiem, znów zaczęła pytać.

- Powiedz, czy to nie jest najdziwniejszy pokój, jaki widziałeś? I dlaczego te kobiety na dole były tak ubrane?

Brody westchnął i z zakłopotaniem podrapał się w brodę.

- Nie powinienem przyprowadzać cię tutaj. Ale często się tu ukrywałem i wiem, że Dorette mnie nie wyda. Ona prowadzi dom publiczny, Amy. W takim właśnie domu pracowała moja matka i tam się wychowywałem. Te miejsca mają złą reputację.

- O Boże, więc te kobiety sprzedają się mężczyznom, tak jak mi opowiadałeś?

Przytaknął w milczeniu.

- I Dorette też?

- Już nie musi, chyba że zechce. Prowadzi ten interes, więc sama decyduje.

Nie odzywała się przez chwilę, przetrawiając w myśli to, co usłyszała.

- Czy ty i Dorette kiedyś... no, wiesz...

Miała tak przejętą minę, że uśmiechnął się mimo woli. Była wyraźnie zazdrosna.

- Nie. Po prostu od dawna jesteśmy przyjaciółmi. Kiedyś jej pomogłem, a potem pożyczyłem pieniędzy, kiedy kupowała ten dom. I zawsze mogę na nią liczyć.

- Jak na Raula?

- Tak. Jak na Raula.

- W takim razie się cieszę- wyznała szczerze. - Nie chciałabym usłyszeć, że robiłeś z nią to samo co ze mną.

- Z żadną kobietą nie przeżywałem tego co z tobą - wyznał z powagą.

- Tym bardziej się cieszę. Teraz powiedz mi, po co są te lustra?

Sam ze śmiechem pokręcił głową.

- Dobrze, powiem. Dorette dała nam specjalny pokój. Mężczyźni, którzy tu przychodzą z kobietami, mogą zerkać w lustra, kiedy... no, wiesz....

Amy po raz kolejny tego wieczoru otworzyła szeroko oczy.

- Chcesz powiedzieć, że można się kochać, spoglądając w lustro?

- Właśnie tak, kochana - odpowiedział, patrząc na nią z rosnącym pożądaniem. Sama rozmowa o takich rzeczach wystarczyła, by zaczął znowu pragnąć dziewczyny. Widok jej drobnej sylwetki w chłopięcym stroju na tle tego miłosnego buduaru szczególnie oddziaływał na jego zmysły.

Amy patrzyła to w lustro, to na Sama i czerwieniła się coraz bardziej. Wiedział, o czym myśli: zastanawiała się, czy zobaczą dziś swoje odbicie. Kiedy wyobraził to sobie, krew gwałtownie zatętniła mu w żyłach.

Z roztargnieniem przeciągnął ręką po czole. Jeszcze nie teraz. Jest jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Muszę na chwilę wyjść, Amy. Trzeba kupić nowe konie i wziąć zapasy na drogę. Rano nie będzie na to czasu.

- O tej godzinie chcesz oglądać konie?

- Handlarz mnie zna. Nieraz załatwiałem z nim sprawy o najdziwniejszych porach. Wiem, że wybierze mi najlepsze. Zresztą wie, co mu grozi, gdybym przekonał się w drodze, że podstawił mi ochwaconą chabętkę. Czekaj na mnie, niedługo wrócę. Dziewczyny się tobą zajmą. One są naprawdę bardzo poczciwe.

- Dobrze, Sam. Ale pospiesz się.

Spieszył się. Błyskawicznie dobił targu z koniarzem. Sprawę zapasów postanowił odłożyć na później. Tak pragnął być już z Amy, że nie zauważył mężczyzny, który szedł za nim do domu Dorette, a potem na górę po schodach. Kiedy Brody zniknął w głębi korytarza,

tajemniczy człowiek, odczekawszy chwilę, ruszył na palcach wzdłuż rzędu drzwi, nasłuchując. Usłyszał głosy Sama i Amy i jego ponurą twarz wykrzywił zło-wieszczy uśmiech. Wycofał się na ulicę, by tam czato-wać do świtu.

Kiedy Brody wszedł do pokoju, zamarł na widok dziewczyny. Uśmiechnęła się i okręciła zalotnie na pię-cie, oczekując jego aprobaty.

Miała na sobie suknię z różowej satyny, którą poży-czyła od Dorette. Wycięty w kształcie serca dekolt od-słaniał jej białe piersi prawie po same sutki. Ciasno za-sznurowany gorset unosił i ścisnął kształtny biust tak, że między piersiami utworzył się nęcący rowek. Wąska talia tworzyła podniecający kontrast z krągłością bio-der i pośladków, podkreślona przez niewielką tiurniu-rę.

Skóra Amy była gładka i rozkosznie zaróżowiona po kąpieli. Wokół niej unosiła się delikatna woń lawen-dowych perfum domieszanych do wody. Czyste i lśniące włosy upięła w kunsztowny kok na czubku głowy. Kilka loczków zalotnie spadało na białą, smukłą szyję.

Była po prostu prześliczna i tak ponętna, że Sam do-słownie oniemiał.

- I co, jak ci się podobam? - zapytała, niezbyt za-chwycona jego ogłupiałą miną. Chciała usłyszeć zdła-wiony pożądaniem głos, mówiący jej, że jest piękna.

- Tylko nie schodź w tym stroju na dół, bo klienci pobiją się o ciebie - mruknął. - Boże, jak cudownie wy-gładasz! - Nie wierzył w swoje szczęście. Gdzieś mu-siała zajść pomyłka. To niemożliwe, by tak piękna ko-bieta należała do niego.

Promienny uśmiech rozjaśnił wreszcie twarz Amy.

- Cieszę się, że ci się podobam. - Okręciła się przed lustrem. - Znalazłam tę sukienkę w garderobie i Dorette pozwoliła mi ją włożyć. Ona jest kochana, prawda?

- Uhm...

Stanął za nią i delikatnie położył dłonie na jej ramionach. Zwierciadło odbijało obraz jasnej, czarownej istoty, przy której on sam wyglądał ponuro, dziko i brudno.

- Nie powinienem cię dotykać. Lepiej się z brudu po tej całej drodze.

- Chyba przesadzasz - zachichotała. - Przecież zostałeś dzisiaj dokładnie opłukany.

- Wolałbym się jednak umyć i ogolić - powiedział, odsuwając się i skrobiąc po zarosniętym policzku.

Amy ujęła go za rękę i zaprowadziła do balii.

- Popatrz, służąca zostawiła tu brzytwę i mydło dla ciebie. A woda jest jeszcze ciepła. Chcę popatrzeć, jak się golisz - uśmiechnęła się przymilnie.

- Naprawdę?

- Tak. Ja po prostu... nie wiem dlaczego, ale wtedy czuję, że jesteś mój. Robi mi się zupełnie gorąco w środku. To bardzo głupie, prawda?

- Nie. Wcale nie - wykrztusił, z trudem powstrzymując chęć porwania jej w ramiona i zdercia jednym ruchem tego podniecającego stroju.

Amy wzięła ręcznik, zamoczyła go w wodzie grzejącej się na kominku i wspinając się na palce, przyłożyła do twarzy Sama. Przysiadł na łożku, pozwalając, by przytrzymała okład. Widok ślicznych piersi tak blisko niego wywoływał zawrót głowy.

Kiedy twardy zarost został zmiękczony, mężczyzna wstał, namydlił brodę i podszedł do lustra. Z tyłu wi-

dział odbicie Amy, siedzącej na łóżku z podwiniętymi nogami i wpatrującej się w niego z taką miłością i pożądaniem, że z trudem mógł skupić się na goleniu.

Kiedy skończył, wzięła dzbanek i zaczęła dolewać gorącej wody do wanny. Sam zdjął kurtkę i sięgnął do guzików koszuli.

- Będiesz też patrzeć, jak się kąpię? - zapytał przekornie.

- Będę ci nawet pomagać - rzuciła przez ramię.

- Chyba mogę umyć ci plecy? - zapytała niewinnie.

Brody zamarł na moment, a potem szybciej zaczął ściągać z siebie ubranie. Buty i inne części garderoby pofrunęły na podłogę, ciskane byle gdzie. Kiedy Amy sypała do wody wonne sole, już wchodził do wanny. Z satysfakcją dostrzegł, jak uśmiechnęła się z udaną skromnością, widząc jawny dowód jego pożądania.

Wanna była zbyt krótka i Sam musiał usiąść w niej z kolanami pod brodą. Dziewczyna wzięła myjkę i powolnymi ruchami zaczęła namydlać mu pierś. Oparł się wygodnie i przymknął oczy. Gorąca woda przynosiła ulgę obolałym mięśniom, a czuły dotyk kobiecej ręki sprawiał, że zapomniał o wszystkim oprócz pożądania i miłości.

- Wiesz, w tym pokoju jest mnóstwo ciekawych rzeczy - mówiła Amy, mydląc mu szyję. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Po kąpieli myszkowałam trochę po szafach i szufladach, szukając czegoś do przebrania, i znalazłam bieliznę, która zrobiona jest z samych koronek i właściwie niczego nie zakrywa. Zobaczysz, kiedy zdejmę sukienkę.

Brody otworzył szeroko oczy. Czuł, że pot zbiera mu się na górnej wardze.

- Włożyłaś to? - wykrztusił.

- No tak, przecież nie mam rzeczy na zmianę, a trudno nie mieć nic pod sukienką - niewinnie zatrzepotała rękami. - Ale posłuchaj dalej. Są tu takie koszule, przez które widać dosłownie wszystko i jeszcze mają dekolty o, dotąd - pokazała wycięcie do pasa, wzbudzając kolejny erotyczny dreszcz u Sama. - Była też jedna rozcięta z boku. Ale to nie koniec. Wyobraź sobie. .. Czekał, teraz się pochyl, bo muszę umyć ci plecy.

Myślała mu plecy, a potem głowę, trajkocząc przez cały czas o długich do łokci czerwonych rękawiczkach, czarnych skórzanych gorsetach i innych podniecających ozdobach, które odkryła w szafach. Co gorsza, domagała się dokładnych wyjaśnień. Im dłużej tłumaczył jej ich przeznaczenie, tym bardziej szalała jego wyobraźnia i tym gwałtowniej reagowało ciało. Wreszcie biedny Sam nie wytrzymał.

- Kobieto, zamilknij wreszcie, bo za chwilę każę ci nałożyć jeden z tych kostiumów - mruknął groźnie, obejmując moką ręką szyję Amy i przyciągając ją do siebie.

- Naprawdę? - wyszeptała bez tchu. - Chciałbyś zobaczyć mnie w czymś takim?

Odpowiedział po długiej chwili, kiedy oderwał się od jej ust.

- Uwielbiam cię oglądać, wszystko jedno, w co jesteś ubrana. Albo nie ubrana. A teraz uważaj, bo zaraz będziesz mokra. - Z rozkosznym pomrukiem wtulił twarz w kuszący rowek między jej piersiami.

- W takim razie zdejmę to od razu i nie będzie kłopotu - powiedziała ze śmiechem, wysuwając się z jego uścisku.

Sam patrzył głodnym wzrokiem, jak kilkoma ruchami rozpina suknię i odrzuca ją z wdziękiem.

- Podobają mi się te ubrania - mrugnęła do niego porozumiewawczo - bo tak łatwo się zdejmują.

Woda głośno chlusnęła z wanny. Brody dopadł Amy jednym skokiem i porwał w ramiona. Niósł ją do łóżka, całując zachłannie. Otoczyła jego szyję ramionami, mokra i szczęśliwa. Niczego bardziej nie pragnęła niż jego miłości.

Potoczyli się na łóżko. Sam, nie przerywając pocałunku, błyskawicznie zdarł z dziewczyny skąpe koronki i zaczął sunąć po jej ciele ustami, coraz niżej. Rozwarł jej uda i uwięził w twardym uścisku, drażniąc ją do szaleństwa wargami i językiem, aż zaczęła wić się z jękiem, zatapiając palce w jego włosach. Wówczas spowolnił pieśzczotę, doprowadzając Amy do samej krawędzi rozkoszy, kiedy mogła już tylko błagać bezsilnie, udręczona pragnieniem. Dopiero wtedy zagarnął ją znienacka pod siebie i wszedł w nią gwałtownym pchnięciem.

- Sam, och, błagam - jęknęła, wyprężając się w łuk.

Znieruchomiał na moment, pragnąc przedłużyć rozkosz. Ręce Amy błędziły po jego plecach i pośladkach urywanymi, chaotycznymi ruchami, jakby do reszty traciła już kontrolę nad sobą. Sam cofnął się jeszcze, prawie wychodząc z niej, aż krzyknęła rozpaczliwie, z całej siły starając się wciągnąć go z powrotem. Wtedy runął w nią gwałtownym rzutem, teraz już nieprzerwanie prac do spełnienia. Rozkosz narastała w coraz szybszym, pierwotnym rytmie, w którym drgali oboje, spleceni ciasno, zachłanni, nieprzytomni z miłości i pożądania. Amy śmiała się i płakała. Kiedy poczuła, że

szczyt, ku któremu dąży, jest bliski, mocno oplotła Sama nogami.

Wielka fala uniosła ją i dziewczyna szybowała, wolna, dzika i szalona, a opadając wbiła zęby w ramię Sama. Ostry, zmysłowy ból podziałał na niego jak ostroga. Odnalazł swój własny szczyt, gdy eksplodował w niej z krzykiem. Przez moment trwali, połączeni więzami rozkoszy, a potem, nasyceni, przytulili się do siebie i zapadli w błogi sen.

Po paru godzinach Sama obudził chłód. Wysunął się z ramion śpiącej Amy i okrył ją troskliwie. Wstał, ale nim odszedł od łóżka, patrzył na nią przez długą chwilę, nie mogąc się nacieszyć swoim szczęściem. Wciąż nie potrafił uwierzyć, że go pokochała i zgodziła się dzielić z nim trudy wygnania.

Pochylił się i pocałował ją w czoło, a potem podszedł do szafy i wyciągnął stamtąd pudło. W środku były rzeczy na zmianę i kasetka z pieniędzmi. Ubrał się i większą część gotówki włożył do torby, którą woził przy siodle. Resztę wsadził do kieszeni i wyszedł na korytarz, rozglądając się za Dorette.

Pomimo późnej pory siedziała w swoim kantorku, robiąc rachunki. Kiedy zajął do środka, uniosła głowę znad biurka i uśmiechnęła się zapraszająco.

- Napijesz się? - zapytała i nie czekając na odpowiedź, podeszła do wąskiego mahoniowego barku, w którym trzymała najlepszą irlandzką whisky na swój prywatny użytek.

- Czegoś z twoich zapasów? Bardzo chętnie - rozpromienił się.

Dorette nalała mu solidną porcję i drugą, podobną,

sobie. Wręczyła Samowi szklaneczkę i wskazała fotel. Przez chwilę siedzieli w miłym, przyjacielskim milczeniu, smakując trunku.

- Odjeżdżamy wczesnym rankiem. Kapitan Slater, wiesz, ten zwiadowca, depcze mi po piętach. Będę potrzebował zapasów na drogę. Sprzedasz mi coś, żebym nie musiał czekać na otwarcie sklepów?

- Jasne. Czego potrzebujesz?

- Nabojów, żywności i kilku bukłaków na wodę. Jedziemy do Meksyku.

- Aż tak źle z tobą?

- Tamta kryjówka jest już spalona. Zresztą i tak bym wyjechał. Mam dosyć, Dorette.

- Jedziesz z nią?

- Tak. Ona jest głównym powodem.

- Nigdy tak nie postępowałaś z kobietą.

- Zmieniłem się. I Amy jest inna niż wszystkie.

- Wiem. Gdzie ją spotkałeś?

Wzruszył ramionami i pociągnął kolejny łyk.

- Zgarnąłem ją ze sobą, kiedy uciekałem z Santa Clara.

- To znaczy, że ją porwałeś? - zdumiała się Dorette.

- Ale ona wcale nie zachowuje się jak...

- Och, Dory, ona jest ze mną z własnej woli. I kocha mnie. Nie do uwierzenia, prawda?

- Powiem ci, że wcale się nie dziwię. - Na moment jej spojrzenie stało się smutne. - Kto wie, może powinienam być zazdrosna...

Sam parsknął śmiechem z niedowierzaniem.

- Przestań sobie kpić. Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć najlepiej, ile jest wart stary rabuś, który się skończył.

- Zgadza się. Tyle jest wart, ile złoto, które zarabował. .. dopóki je ma.

Dorette skrycie kochała Brody'ego od momentu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Była jednak zbyt trzeźwa, by mieć złudzenia. Nie pokochałby kobiety, która żyła tak jak jego matka.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwy - powiedziała ciepło. - Rozmawiałam z Amy. To słodka dziewczyna.

Czuły uśmiech złagodził twarde rysy Sama.

- Kocham ją.

Kobieta westchnęła i popatrzyła na niego poważnie.

- Czy ty w ogóle pomyślałeś, w co chcesz ją wpakować? Ona nie wie, co znaczy twarde życie.

- Jest twardsza, niż myślisz. Potrafi nie zsiadać z konia przez cały dzień, spać na ziemi i obywać się bez wygód.

- Dobrze, ale jak długo? Czy chcesz, żeby spędziła tak resztę swego życia?

- Nie musi. Mam pieniądze, za które kupię ziemię w Meksyku. Będzie miała dom, meble i ładne suknie. Wszystko, co zechce.

- A pomyślałeś, jak się będzie czuła w tym kraju, nie znając języka, wśród obcych, wiedząc, że nigdy już nie zobaczy swojej rodziny?

- Będzie miała mnie.

- Wiem, ale życie w Meksyku jest trudniejsze niż w Teksasie. Poza tym, choć tam będziesz poza zasięgiem prawa, granica nie zatrzyma twoich wrogów. Jeśli zwiedzą się, gdzie jesteś, pójdą za tobą, żeby zdobyć twoją głowę. Nie udawaj, że o tym nie wiesz.

Brody zmarszczył brwi. Przyjaciółka mówiła o tym, o czym sam na próżno próbował zapomnieć.

- Dopadnę ich, zanim oni dopadną mnie - powiedział twardo.

- I znów będziesz zabijał? A ona będzie żyć w wiecznym zagrożeniu i lękać się, czy za którymś razem nie zginiesz?

- Dory, przestań! - jęknął i gwałtownie postawił szklankę na stole, aż chlusnęła bursztynowy płyn. - Co ty, do cholery, usiłujesz mi wmówić?

- Nie wiem, Sam, mam złe przeczucia. Po prostu martwię się o ciebie... o was. Szczerze życzę ci szczęścia z tą dziewczyną. Ale obawiam się, że ją unieszczęśliwisz.

- Pozwól, że ja będę się o to martwić.

Dorette nie wydawała się przekonana. Westchnęła z rezygnacją.

- Nie mam żadnego interesu w tym, żeby psuć twoje szczęście. Jedź z Bogiem, tylko nie zapomnij od czasu do czasu przysłać przez kogoś wieści o sobie. Jeśli będą dobre, ma u mnie nocleg za darmo. I nie tylko nocleg... - parsknęła śmiechem.

- W porządku, naśle ci tu całe bandy włóczęgów - zachichotał.

Dopili swoje drinki, po czym Sam wrócił do pokoju.

Stanął przy łóżku i wpatrzył się w śpiącą dziewczynę. Wyglądała tak krucho i dziecinnie. Myślał o słowach Dorette i dręczyły go coraz głębsze wątpliwości. Czy Amy będzie mogła być naprawdę szczęśliwa, oddzielona od wszystkiego, co kochała, zmuszona żyć pomiędzy obcymi? Jemu nie robiło to żadnej różnicy. Od dawna żył jak włóczęga.

Niech to diabli, Dory ma rację. Przekłęci łowcy głów, prędzej czy później dopadną go nawet w Meksyku. Nietrudno będzie go znaleźć, kiedy kupi sobie ziemię.

Przecież nie ucieknie. Broniąc Amy i siebie, będzie musiał ich zabijać, po kolei. A ona znów będzie patrzyła na śmierć i przemoc. A tak chciał ją przed tym uchronić. Pamiętał, jak zareagowała na śmierć Purdona. Przemoc budziła w niej grozę i lęk. Czy mogłaby go w końcu znienawidzić?

A jeśli by go zabili? Zostałaby sama, bezradna i bezbronna w obcym kraju. Wtedy wszystko może się zdarzyć. Zresztą, mordercy, nie mogąc zabić jego, byłiby w stanie zemścić się na niej.

Westchnął ciężko i podszedłszy do okna, wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w ciemną ulicę. Dorette ma rację - te słowa jak dręczący refren wirowały mu w głowie. Wiedział o tym od początku, ale tchórzył przed samym sobą. Tak bardzo chciał mieć Amy, że egoistycznie unikał tego, co byłoby dla niej najlepsze. Kiedy porwał ją, oddzielając od rodziny i zmuszając do trudów ucieczki, kiedy zabierał jej dziewictwo, kiedy pozwalał się pokochać - myślał tylko o sobie. Była zbyt niewinna i niedoświadczona, by domyślać się jego prawdziwych intencji.

Jeśli zostawi ją tutaj, może spotka kiedyś porządnego człowieka, który uczyni ją naprawdę szczęśliwą. Mężczyznę, który zapewni jej godne życie. Była jedyną kobietą, którą pokochał, ale nie był wart jej uczucia. Zabrał jej miłość i ciepło, a w zamian mógł ofiarować tylko niepewność i lęk. Mężczyzna, który kochałby ją naprawdę, nigdy by tak nie uczynił.

Zawrócił do łóżka i wpatrzył się w śpiącą, jakby pragnął utrwalić w myślach ten obraz na zawsze. Teraz już wiedział z całą pewnością, że była aniołem, darem nieba, na który nie zasłużył. Wiedział, że gotowa jest

pojechać do Meksyku i dzielić z nim twarde życie bez słowa skargi, ale po raz pierwszy wzdragał się wykorzystywać jej uległość. Czuł, że Amy zmieniła go. Widocznie jakimś cudem zdołała przelać odrobinę swojego dobra w jego parszywą duszę. Teraz już nie wyobrażał sobie, że miałby ją oszukać i unieszczęśliwić dla własnych zachcianek. Teraz zrobi to, co jest dla niej najlepsze, choć ona nie zrozumie tego od razu.

Pochylił się i po raz ostatni musnął wargami jej czoło i usta. Nie oglądając się więcej, zabrał rzeczy i cicho wyszedł z pokoju. Dorette spojrzała na niego, zdziwiona, kiedy stanął w drzwiach jej biura.

- Odjeżdżam, Dory - powiedział. -I jadę sam.



Amy budziła się powoli. Grube kotary nie przepuszczały porannego światła. Usiadła i przeciągnęła się, ziewając. Zastanawiała się, gdzie może być Sam. Zapewne szykuje konie do drogi. Przecież mieli wcześniej wyjechać. Wskoczyła z łóżka i szybko włożyła swoje chłopięce rzeczy, które znalazła czyste i starannie złożone na krześle. Rozczesując włosy, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Dopiero teraz zaczęła się niepokoić.

Słońce stało już wysoko na niebie i ludzie spieszyli we wszystkich kierunkach. Dlaczego Sam się spóźnił?

Otworzyły się drzwi i weszła Dorette z tacą.

- Dzień dobry - powitała ją serdecznie. - Jewel usłyszała, że wstałaś. Przyniosłam śniadanie.

- Dzięki - Amy uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością i łakomie sięgnęła po plaster boczku. - Gdzie jest Sam? Czy już jadł?

- Tak, na pewno jadł. - Kobieta z poważną miną odstawiła dzbanek. - Amy, muszę ci coś powiedzieć.

- Co takiego?

- Sam odjechał.

Dziewczyna znieruchomiała z kawałkiem grzanki w ręku.

- Co?

- Odjechał. O północy.

- Ale dlaczego? Dokąd?

- Spokojnie. Prosił, żebym ci wszystko wyjaśniła.

- Nie rozumiem, co masz mi wyjaśniać? - Usta Amy zaczęły drżeć. - Czy to znaczy, że mnie okłamywał i tak naprawdę mnie nie chciał?

- O, nie! Nie kłamał. Jeszcze nie widziałam, by tak mu zależało na jakiejś kobiecie. On cię kocha! Ale zrozumiał, że zabierając cię do Meksyku, zmarnowałby ci życie. Są ludzie, którzy nie spoczną, dopóki nie dostaną pieniędzy za jego głowę, i będą go ścigać, nawet tam.

- Więc tym bardziej będę mu potrzebna - rzuciła gwałtownie Amy. - Mogłabym mu pomóc. A może uważał, że jestem za głupia i będę mu tylko ciężarem?

- Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie mów tak - żywo poprosiła Dorette. Zaczynała się czuć coraz bardziej winna. Dowiedziawszy się, że Brody po prostu ją porwał, nie spodziewała się, by dziewczyna żywiła do niego uczucia inne niż chwilowa sympatia. Nie przypuszczała, że jego odejście wprawi Amy w taką rozpacz. To ona, swoimi uwagami, przyczyniła się do bolesnego rozstania tych dwojga.

- Sam cię kocha, Amy. Bardzo pragnął być z tobą - powiedziała cicho. - Ale chciał oszczędzić ci twardego życia. Odszedł dla twojego dobra.

- Dla mojego dobra! - wykrzyknęła dziewczyna, zalewając się łzami. - Dla mojego dobra! Przecież ja o niczym nie marzyłam, tylko o byciu z nim! Boże, co mam teraz zrobić? - łkała.

- Amy... - Dorette usiadła przy niej, opiekuńczo obejmując ją ramieniem. - Wierz mi, kochanie, on bardzo cierpiał.

- Więc dlaczego odjechał? - zachlipała Amy, wry-

wając się z jej objęć. - Dlaczego mnie zostawił? Dlaczego?

Osunęła się na kolana i oparła głowę na łóżku, kurczowo obejmując ją rękami. Płakała długo i rozpaczliwie.

Victorie obudził blady promień słońca, wpadający przez brudne okno. Przez chwilę trwała w bezruchu, szczęśliwa, że leży w objęciach mężczyzny. Ta noc była najcudowniejszą nocą w jej życiu. Rozkosz, której doznała, przerosła jej najśmielsze oczekiwania. Kiedy skończyli się kochać, długo tulili się do siebie, wyczerpani i szczęśliwi. Slater leniwie pieścił jej ciało i szeptał słowa miłości. Jego głos, tak zwykle twardy i szorstki, brzmiał czule i młodzieńczo.

Po długiej chwili postanowili wreszcie wstać, żeby wyżąć mokre rzeczy i rozłożyć je przed kominkiem. Nadzy czekali, aż wyschną, i wkrótce, spoglądając na siebie, znów nabrali ochoty na miłość. Teraz robili to bez pośpiechu, a nasyciwszy się sobą, zasnęli.

Musnęła ustami pierś śpiącego Slatera, smakując słony smak skóry. Jego powieki drgnęły. Rozwarł je powoli i popatrzył na nią nieprzytomnie. Pieszczotliwie chwyciła go zębami. Spojrzenie zielonych oczu w jednej chwili stało się bystre i pożądliwe.

- Victorio...

- Dzień dobry - uśmiechnęła się.

- Dzień dobry - szepnął, pochylając się do pocałunku. Nagle uświadomił sobie, co naprawdę zdarzyło się w nocy, i ogarnęło go dotkliwe poczucie winy. Szybko wypuścił dziewczynę z objęć i usiadł, roztargnionym ruchem przeczesując włosy.

- Która właściwie jest godzina? - mruknął. - Musimy jechać.

Victoria spojrzała na niego, zdumiona. Nie oczekiwała, że spędzą ten ranek na pieśczościach i słodkich rozmówkach zakochanych, ale pragnęła usłyszeć od niego choć słowo na temat nocnych przeżyć.

- Jeszcze wcześniej. Słońce dopiero wzeszło.

- Fatalnie - rzucił nerwowo i zaczął się ubierać.
- Straciliśmy cenny czas.

Stracony, zmarnowany czas? A więc tak myślał o ich miłości? Nie mogła pojąć, czemu została potraktowana jak pierwsza lepsza.

Własna nagość zaczęła ją drażnić i krępować. Wstała i ubrała się szybko, odwracając się do niego plecami.

- Victorio... - zaczął z wahaniem. - Bardzo cię przepraszam.

- Przepraszasz? Za co?

- Za to, co zrobiłem w nocy.

Serce zabiło jej boleśnie. Teraz, w blasku dnia, żałował wszystkiego, co razem przeżyli!

- Uwiodłem cię. Popełniłem błąd. Powinienem cię chronić, a tymczasem cię wykorzystałem. Zabrałem ci niewinność.

Dziewczyna osłupiała. Nie dowierzała własnym uszom.

- Ty mnie uwiodłeś? - wykrztusiła wreszcie.

- Tak - potwierdził z zakłopotaną miną.

Wyprostowała się, opierając ręce na biodrach i patrząc mu prosto w oczy. Moment zwątpienia minął i teraz miała ochotę się roześmiać. Ale musiała mu dać nauczkę.

- Czujesz się winny? - zapytała zaczepnie.

- Jasne. Każdy przyzwoity mężczyzna czułby się tak na moim miejscu.

Niebieskie oczy zabłyśły kpiąco.

- Wyobrażasz sobie, że uwiodłeś biedną, słodką, niewinną ptaszynę, co? Bezbronną, przerażoną i wstydliwą?

- Victorio, mówię poważnie - zachnął się, marszcząc brwi.

- Naprawdę uważasz mnie za taką naiwną gęś? - wybuchnęła, teraz już naprawdę zła. - Rany boskie, Slater, musisz być najbardziej egoistycznym i zadufanym durniem w całym Teksasie! On twierdzi, że mnie uwiodł! Dobrze sobie. Nie pamiętasz, że sama tego chciałam, sama się napraszałam?

- Pamiętam, ale...

- Jeśli myślisz, że mógłbyś namówić mnie do grzechu bez mojej zgody, to bardzo się mylisz. Dobrze wiedziałam, co robię.

- Zgoda, ale jestem starszy i nieporównanie bardziej doświadczony. Powinienem bardziej nad sobą panować.

- Właśnie! I tylko dlatego czujesz się winny - oskarżycielsko wycelowała w niego palec. - Nie dlatego, że mnie uwiodłeś, lecz dlatego, że straciłeś nad sobą kontrolę! A przecież zrobiłeś tylko to, o czym marzyłeś już od Austin!

Slater gwałtownie zacisnął pięści. W zielonych oczach mignął stalowy błysk.

- Dziewczyno, do cholery, przestań przekreślać wszystko na swoją korzyść! - warknął. - Może i chciałaś się ze mną kochać, ale nie zdajesz sobie sprawy, co

naprawdę się stało. Powtarzam: masz za mało doświadczenia.

- Teraz narzekasz na mój brak doświadczenia? - zapytała lodowatym tonem. - Źle ci było ze mną? Dobrze, znajdę sobie innego nauczyciela.

Odwróciła się od niego z furją, ale złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Tylko spróbuj, to go... - zaczął groźnie.

- Co mu zrobisz? - zapytała, wyzywająco unosząc podbródek.

- Rozerwę go na kawałki - oświadczył, chwytając ją garścią za włosy i wpijając się drapieżnie w jej usta.

Kiedy wreszcie odsunęli się od siebie zdyszani, trudno było powiedzieć, kto wyszedł zwycięsko z tej utarczki.

Victoria uśmiechnęła się z satysfakcją, dając mu wyraźnie do zrozumienia, że zrobił dokładnie to, czego chciała. Westchnął z komiczną rezygnacją i pocałował ją lekko.

- Nie znam tak pięknej i tak doprowadzającej do pasji kobiety, jak ty - wyznał. - I już nie będę cię przepraszać. Chyba że ty zaczęłabyś żałować.

- Nie będę żałować.

- W takim razie jedźmy, bo robi się późno.

Nie było to klasyczne wyznanie miłości, ale musiała się zadowolić tym, co usłyszała. Przynajmniej na razie. Nie wątpiła, że na prawdziwe wyznania przyjdzie czas później. Humor wrócił jej całkowicie. Nawet nie miała potrzeby odzywać się do Slatera podczas jazdy. Wystarczało jej rozpamiętywanie tego, co się zdarzyło w nocy.

Tymczasem on pogрузił się w niewesołych rozmyślaniach. Miłosna noc zrobiła na nim o wiele większe wrażenie niż na Victorii. Miał wiele doświadczeń z kobietami, ale z tą niewinną dziewczyną przekroczył wszelkie znane mu granice. Kochając się z nią, miał oszałamiające wrażenie, jakby na jedno krótkie mgnienie połączyły się ich dusze, dopełniając całkowitego, cudownego związku ciał. Należeli do siebie w najbardziej naturalny, pierwotny sposób.

Należeli do siebie? Ta myśl wywołała w nim niepokój. Czy miałby się związać z Victorią na resztę życia? Czy ją kocha? Niełatwo jest kochać kobietę, która potrafi wznieść mężczyznę na niewyobrażalne wyżyny, by za chwilę gwałtownie zepchnąć go na samo dno. Co ich czeka? Wściekłe kłótnie i szalone noce, pasja i czułość, tortury i rozkosz?

Jeśli kiedykolwiek dotąd zdarzyło mu się pomyśleć o małżeństwie, to na pewno nie o małżeństwie z taką kobietą. Silną, niezależną, rzucającą mu nieustanne wyzwania.

A jednak ją kocha.

Dobrze, ale co powinien zrobić? Zaproponować jej małżeństwo? Nie ma niczego, co mógłby ofiarować Victorii Stafford. Tylko ranczo, które doprowadził do ruiny, i życie żony zwiadowcy, wypełnione nieustannym oczekiwaniem na powroty męża i lękiem, że nie wróci w ogóle. Nie, ona zasłużyła na kogoś lepszego.

Powinien odejść i zapomnieć o niej - to właśnie wynikało z jego rozważań. Jednak pięści same zaciskały mu się na myśl, że mogłaby się związać z innym mężczyzną. Tak bardzo jej pragnął...

Kiedy dojechali do San Antonio, Slater nadal się drę-

czył, nie będąc w stanie podjąć ostatecznej decyzji. Na szczęście, musiał się teraz skupić na ściganiu Brody'ego.

Stanęli pod domem Dorette. Zawahał się i zerknął na Victorie.

- Słuchaj, może byś zaczekała tu na mnie?

- Tu, przed wejściem do domu rozpusty? - zapytała ze złowieszczym błyskiem w oku. - Pomyśl o mojej reputacji!

- Może być gorąco.

Bez słowa zdjęła z siodła strzelbę i odbezpieczyła ją.

- Dobra, idziemy - westchnął zrezygnowany. Podszedł do drzwi i zapukał głośno. Otworzyła gruba Murzynka. Podejrzliwie zerknęła na odznakę na jego piersi, a potem na stojącą za nim dziewczynę. Zmarszczyła brwi i groźnie skrzyżowała potężne ramiona.

- Czego pan chce?

- Chcę wejść - powiedział spokojnie Slater, popychając drzwi, aż stanęły otworem.

- Ejże, zaraz, nie tak ostro - kobieta zablokowała wejście wielkim cielskiem.

- Otwieraj - syknął, wrywając colta z kabury. Murzynka cofnęła się przerażona.

- Panno Dorette, niech pani tu zejdzie, szybko! - zawołała.

Bezceremonialnie odsunął ją i wszedł do środka, dając znak Victorii. Zdażyła zauważyć buduarowy przepych salonów i nagie kobiety na obrazach, ale Slater już wchodził na schody. Miękki chodnik głuszył ich kroki. Nagle usłyszeli stukot obcasów i na galerijce pojawiła się kobieta o płomiennorudych włosach, ubrana

w mocno wydekoltowaną suknię z niebieskiej satyny, ozdobioną białymi piórami.

- Jestem Dorette - oznajmiła z godnością. - Ten dom należy do mnie. Jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia, powinien pan udać się do szeryfa.

- Niepotrzebny mi szeryf. Chcę Sama Brody'ego. Gdzie on jest?

- Brody? Nie przypominam sobie tego nazwiska. Ale na pewno tu go nie ma. W tej chwili jedynym mężczyzną w naszym domu jest pan - zagruchała z uśmiechem, który bardzo nie spodobał się Victorii.

- Lepiej sam sprawdzę.

- Moje dziewczyny teraz śpią. Nie chcę, żeby pan je budził.

- Chyba są do tego przyzwyczajone.

- Może jednak nie będzie musiał pan ich niepokoić. Był tu niedawno pewien mężczyzna, ale już odjechał. Przyprowadził kobietę i zostawił ją tutaj. Niech pan z nią porozmawia.

- Amy! - Victoria rzuciła się do przodu, odtrącając Slatera. - Gdzie ona jest?

- Trzecie drzwi na prawo.

Chciała biec, ale Slater złapał ją za ramię.

- Poczekaj, to może być pułapka. Ona coś za łatwo udziela informacji.

Dorette wzruszyła ramionami.

- Nie mam powodów, by ukrywać tę panienkę. Nie jest mi tu potrzebna. Będę wdzięczna, jeśli zechcecie ją zabrać.

Poprowadziła ich do drzwi, zapukała i weszła pierwsza. Victoria odepchnęła ją i wpadła do środka. Amy, ubrana w męski strój, siedziała skulona na wyściełanej

kozetce. Potargany warkocz zwisał na plecy. Na widok wchodzących uniosła głowę bez większego zainteresowania. Widać było, że niedawno płakała.

- Amy! - Victoria podbiegła do niej, wyciągając ramiona.

Na bladej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Cześć, Tory - powiedziała cicho.

Slater przypatrywał się tej scenie z mieszanymi uczuciami. Nie tak powinno wyglądać spotkanie siostr, które rozdzielił okrutny los. Cicho wszedł do pokoju i zaczął dyskretnie przeglądać szafy. Zajrzał nawet pod łóżko, ale nie znalazł nic. Tylko małe drzwi w kącie za kotarą, które prowadziły na zewnętrzne schodki.

- Cholera, musiał uciec tędy - zaklął, wyglądając na zewnątrz. - Pewnie wyślizgnął się, kiedy rozmawialiśmy na dole.

- Nie, on wyjechał w nocy - odezwała się Amy.

Slater z westchnieniem schował rewolwer.

- Chodźcie, dziewczyny. Zabieram was do hotelu Mengera. Potem zajmę się Brodym.

- Po co? - zapytała Amy. - On jest już daleko. Nawet nie wiem, dokąd pojechał.

- Zapewne do Meksyku.

- O, nie - zaprzeczyła szybko. - Na pewno nie. Myślę, że raczej na północ.

- Przed chwilą mówiłaś, że nie wiesz, dokąd jedzie - Slater popatrzył na nią uważnie. - Dziewczyno, czy ty go przypadkiem nie kryjesz?

- Ja? Ależ skąd! Dlaczego miałabym to robić?

- Slater, daj jej spokój - wtrąciła się ostro Victoria.

- Chodźmy stąd, i to szybko.

Nie mogła pojąć zachowania Amy. Była zbyt spokoj-

na, choć wyraźnie nieszczęśliwa. Jednak nie było w niej ani lęku, ani radości ze spotkania z siostrą, którą tak bardzo kochała. Victorii przyszło na myśl, że może dziewczyna wymazała z pamięci ostatnie przeżycia, tak jak kiedyś wyparte zostało z jej myśli wspomnienie śmierci rodziców. A skoro tak, nie należało pozwalać, by Slater dręczył ją pytaniami o człowieka, o którym tak bardzo chciała zapomnieć.

Slater nie miał wyjścia.

- Dobrze, chodźmy - powiedział z rezygnacją. Był przekonany, że Amy skłamała, i domyślał się, dlaczego to zrobiła. Musiała zapalać sympatią do swego porwacza i chciała ułatwić mu ucieczkę. Skwapliwość, z jaką zaprzeczyła przypuszczeniu, iż Brody jedzie do Meksyku, dała mu ostateczną pewność. Teraz pozostawało tylko bezpiecznie ulokować obie dziewczyny w hotelu i niezwłocznie wyruszyć w pogoń.

Nie tracili czasu. Victoria i Amy wsiadły na jednego konia. Ruszyli szybko, nie oglądając się. Zza węgła, wyglądał jakiś mężczyzna odprowadzając ich zdumionym wzrokiem.

Cam McBride był pewien, że ma już Brody'ego w ręku. śledził jego i tę dziewczynę od momentu, gdy opuścili kryjówkę w górach, i miał zamiar dopaść ich jeszcze przed San Antonio. Jednak ulewa pomieszała mu szyki, pozwalając im zyskać przewagę. Jechał do miasta wściekły, że nie próbował rozprawić się z nimi wcześniej. W głębi duszy był tchórzem, a Brody'ego bał się szczególnie. Dlatego zwlekał z ostatecznym rozstrzygnięciem i w rezultacie stracił ich z oczu.

W mieście poszedł do saloonu, by pocieszyć się

szklaneczką. Kiedy wychodził, z nawyku rozejrzał się po ulicy. Jakiś cud sprawił, że zobaczył Sama. Nie zaryzykował jednak otwartej walki i postanowił śledzić przeciwnika, czekając na lepszą okazję. Szedł za nim aż do domu Dorette i podsłuchiwał pod drzwiami. Z rozmowy wynikało jasno, że Brody ma zamiar spędzić noc ze swoją kochanką, więc McBride, uspokojony, poszedł się przespać i wrócił na posterunek o świcie.

Miał nadzieję, że kiedy wyjadą z miasta, znajdzie wreszcie okazję, by załatwić Brody'ego. I dziewczynę też. Należało się jej pozbyć jako niewygodnego świadka. Mogła zaalarmować władze i narobić niepotrzebnego szumu. Bo Cam McBride obiecał sobie, że nie pozwoli wrogowi umrzeć szybko. Będzie musiał odcierpieć za to, co zrobił kiedyś z jego twarzą.

I oto szczęście znów odwróciło się od niego. Zaklął szpetnie, widząc Slatera i Victorie, zabierających ze sobą Amy. Wszystko stało się jasne - Brody musiał wymknąć się w nocy.

McBride miał ochotę wyć z wściekłości. Ten cholerny drań znów go wykołował! A przecież wstawiał tej dziewczynie gadki o miłości i za Boga nie wyglądało na to, że ją zostawi. Ale ten facet to cwana sztuka. Może chciał tylko zwieść Slatera i jeszcze wróci po nią...

Camowi zaświtała nowa nadzieja. Okrutny uśmiech wykrzywił jego rysy. Szybko wsiadł na konia i ruszył za zwiadowcą i kobietami. Teraz trzeba tylko wykombinować, jak dorwać Brody'ego, żeby nie narazić własnej skóry.

Slater zaprowadził dziewczyny do hotelu Mengera i wynajął im pokój. Kiedy już się ulokowały, poprosił Victorie, by wyszła z nim na korytarz.

- Dacie sobie radę same? - zapytał z troską.

- Tak, oczywiście - odparła, zaskoczona. - Dlaczego pytasz?

- To dobrze. Koniecznie zatelegrafuj do ojca i dopóki nie przyjedzie po was, nie opuszczajcie hotelu. Ja jadę za Brodym.

No tak, jasne. Czego się mogła spodziewać? Ona odzyskała już Amy, ale on nie wypełnił jeszcze swego zadania.

- Jak sobie poradzisz... sam?

- Będę jechał drogą na południe i pytał ludzi. Ktoś musiał go widzieć, bo tylko przy drodze jest woda zdatna do picia.

- Przecież Amy mówiła, że wyruszył na północ.

- Nie powiedziała prawdy. Zbyt szybko zaprzeczyła.

- Ona nigdy nie kłamie. Nawet nie wie, jak to się robi.

- W takim razie Brody ją nauczył.

- Jak śmiesz?!

- Victorio, daj spokój - powiedział zmęczonym tonem. - Nie posądzam Amy o złe zamiary. Może chciała mnie skierować na fałszywy trop, bo bała się, że Brody wróci i będzie się mścił, kiedy dowie się, że go wydała. Na razie nic nie wiemy. Jednego za to jestem pewien - że Brody ucieka do Meksyku.

Westchnęła smutno i chwyciła jego rękę.

- Kiedy wrócisz? - zapytała, spuszczać oczy.

- Nie wiem. Nie czekaj. Wracaj do ojca - wyszep-

tał w odpowiedzi. Myśl, że za chwilę ma się z nią rozstać, przepełniała go ogromnym bólem. Tak chciałby obiecać jej, że wróci za kilka tygodni. Tak chciałby powiedzieć, że ją kocha, i poprosić, by została jego żoną.

A jednocześnie wiedział, że wszystko musi się skończyć. Przeżyli szaloną przygodę i ciągle jeszcze pełen był emocji, które łatwo można było pomylić z miłością. Nie mógł wymagać od niej decyzji w tej chwili. Potrzebowała czasu, aby wszystko spokojnie przemyśleć. Tymczasem musiał ścigać Brody'ego. Jak długo? Może tydzień, może miesiąc, a może rok. Ścigać aż do skutku, póki nie staną naprzeciwko siebie, gotowi na wszystko. Może nie wyjść żywy z tej walki. Okrucieństwem byłoby żądać, żeby na niego czekała.

Wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Boże, jak ciężko się rozstać, nie biorąc jej w ramiona, nie mówiąc jej, choć na koniec, słów miłości!

„Wracaj do ojca”. Te słowa ostatecznie uświadomiły jej, że kończy się piękny sen o miłości. Ich drogi rozdzielają się i nigdy nie zjedną, jeśli Slater nie zechce wrócić do niej. Pragnęła powiedzieć mu, że go kocha, błagać, by z nią został. Ale te słowa nie były w stanie przejść jej przez gardło. Victoria Stafford nie zwykła żebrać o miłość mężczyzny.

W głębi korytarza trzasnęły drzwi. Jakiś dżentelmen uchylił kapelusza na widok Slatera. Cofnęła ręce. To nie było miejsce na czułe pożegnania.

- Muszę jechać, Victorio - powiedział Slater, odступując krok do tyłu.

- Tak. Powodzenia - szepnęła, mnąc w drżących dłoniach fałdę spódnicy. - I... uważaj na siebie.

- Będę uważał - uśmiechnął się. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle odwrócił się i szybko ruszył ku schodom.

Patrzyła za nim oczami błyszczącymi od łez.

Odszedł. Bez jednego słowa miłości!



Ze spuszczoną głową wróciła do pokoju. Amy siedziała przy oknie, wpatrzona w ulicę. Tylko na moment odwróciła się, by zerknąć na wchodzącą siostrę.

Victoria usiadła na łóżku i ukryła twarz w dłoniach. Rozpacz przygniatała ją jak ogromny ciężar. Obojętność Slatera była przerażająca. Czy naprawdę nic do niej nie czuł? Czy żarliwe słowa, które szeptał jej w nocy, podyktowane były tylko chwilowym upojeniem i pożądaniem?

A może sama była sobie winna? Zawsze udawało się jej o siagać w życiu to, co chciała, bo umiała narzucać ludziom swoją wolę. Slater był jedynym, nad którym nie była w stanie zapanować. A miłości nie da się wymusić siłą. Przychodzi, kiedy chce albo nie przychodzi nigdy. Sama się napraszała, robiła wszystko, żeby się z nim kochać. Gorycz łez wzbierała jej w gardle niepowstrzymanym spazmem. Załkała rozpaczliwie i skuliła się na łóżku, wtulając głowę w ramiona.

- Tory, kochana, co się stało? - zaniepokojona Amy uklękła przy niej, tuląc policzek do jej mokrej twarzy.

- Och, Amy, jestem okropna - wykrztusiła Victoria, siłą powstrzymując płacz. - Powinnaś zająć się tobą, bo po tym, co przeszłaś z tym strasznym człowiekiem, musisz być...

- Nie! Nie mów tak o nim!

Gwałtowność jej reakcji zdumiała Victorie.

- Jak to? Jeszcze go bronisz? Przecież on cię porwał i... i zmusił do uległości!

Ku jej zdumieniu, Amy zaczęła chichotać jak pensjonarka, wstydliwie zasłaniając usta ręką.

- Wybacz, Tory, nie powinnam się śmiać, bo wiem, jak się o mnie martwisz, ale przemawiasz jak ciotka Margaret. A wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

- Inaczej? To znaczy jak?

- Och, cudownie, wspaniale. Do niczego mnie nie zmuszał. Chciałam go i byłam szczęśliwa. Kochaliśmy się.

Siostra patrzyła na nią, oniemiała.

- Wiem, że się o mnie martwiłaś, ale jak miałam ci powiedzieć, że jestem szczęśliwa? Kiedy cię zobaczyłam tam, w jaskini, z tym kapitanem, który chciał zabić Sama, nie mogłam się odezwać. Bałam się o niego, rozumiesz?

- Boże, Amy, jak mogłaś?! Jakiś kryminalista był dla ciebie ważniejszy niż ja? Slater miał rację. Nie wierzyłam, kiedy mówił, że kłamiesz, żeby go osłaniać. Dobrze wiedziałaś, że Brody jedzie do Meksyku!

- Tak, wiedziałam. I żałuję, że nie umiałam dobrze skłamać.

- Amy! Co ty wygadujesz?! Brody jest zabójcą i rabusiem. Porwał cię i uwiódł. On... - ze zdenerwowania zabrakło jej słów.

Siostra energicznie potrząsnęła głową. Oczy jej błyszczały.

- On nie jest złym człowiekiem, Tory! Był dla mnie bardzo dobry. Wcale nie chciał mnie tknąć. Musiałam

go namawiać, żeby się ze mną kochał. I traktował mnie inaczej niż wszyscy. Jak kobietę, a nie jak głupią gąskę albo dziecko, które niczego nie rozumie. Kochał mnie, uczył różnych rzeczy, słuchał i zawsze odpowiadał na wszystkie pytania, nigdy nie mówiąc mi, że czegoś nie powinnam albo że coś jest nie dla mnie. Dlatego go kocham i płaczę za nim. Ale wiem, że zostawił mnie dla mojego dobra. Wiem to od Dorette. Mówił jej, że życie z nim nie będzie dla mnie dobre - zakończyła drżącym głosem.

Teraz dopiero Victoria zaczęła rozumieć sens słów dziewczyny i poczuła palący wstyd.

- Amy, czy aż tak źle cię traktowaliśmy? Powiedz!

- Nie, skąd. Bardzo kocham ciebie i wujka Edwarda i wiem, że chcecie dla mnie jak najlepiej. Ale przy was byłam dzieckiem i żyłam jak dziecko. Ty myślałaś za mnie i dbałaś o mnie. Z mężczyzną, który cię kocha, jest zupełnie inaczej. Ja już jestem inna, Tory.

- Rozumiem - powiedziała powoli Victoria, myśląc o sobie samej w ramionach Slatera, o miłości i szaleństwie, jakie w niej wyzwolił. Czy podobnie czuła Amy, myśląc o Brodym? Jej słodka, niewinna siostrzyczka? Nie do uwierzenia!

Niespodziewanie napięcie ustąpiło i ze śmiechem objęła Amy.

- Kochana, czy to nie jest wariactwo? Obie zakochałyśmy się w mężczyznach, o których nikt by nie powiedział, że mogłybyśmy ich pokochać. I obie ich straciłyśmy - dodała z nagłym smutkiem, czując napływające do oczu łzy.

Rzuciły się sobie w ramiona i długo szlochały.

Później, kiedy przyszło uspokojenie, spędziły całe

popołudnie na długiej rozmowie. Opowiadały sobie wszystko, próbując wytłumaczyć jedna drugiej, czemu zostały porzucone. Zjadły kolację w pokoju, a Victoria odłożyła na następny dzień wysłanie telegramu do ojca. Wieczorem, kiedy szykowały się do łóżka, ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi.

Victoria zerwała się z bijącym sercem, myśląc o Slaterze. Kiedy zobaczyła, kto stoi w progu, twarz jej spospniała.

- Och, to ty, McBride. Po co przyszedłeś?

Cam McBride odepchnął ją bezceremonialnie, zamykając za sobą drzwi. Oburzona, już miała go wyprosić, gdy zobaczyła wycelowaną w siebie lufę rewolweru.

Patrzyły na niego, przerażone. Victoria tęsknie pomyślała o broni schowanej w torbie podróżnej. Nawet nie przyszło jej do głowy, by wyciągnąć ją, zanim otworzyła drzwi.

Cam przekradł się ku Amy i brutalnie złapał ją za warkocz, przyciągając do siebie.

- Chodź, ty dziwko Brody'ego - warknął, przykładając jej lufę do skroni. - Zupełnie nie wiem, co on w tobie widział. Co innego ona - obrzucił Victorie lubieżnym spojrzeniem. - Ale z ciebie też będę miał pożytek. Niech Brody sobie popatrzy, jak się zabawiamy, kiedy będzie powoli zdychał.

- Niece! - jęknęła Amy. Krew uciekła jej z twarzy.

- Tak, tak, kołeczku - mężczyzna uśmiechnął się okrutnie. - Tym razem mam zamiar go dopaść. A ty będziesz przynętą. No, jazda, dziewczynki, tylko grzecznie. Zmywamy się!

Slater był tak zmęczony, że zrezygnował z wieczornego posiłku. Pociągnawszy łyk wody z manierki, owinał się w koc i ułożył pod skałą. Niestety, upragniony sen nie nadchodził. Kiedy tylko przymknął oczy, myśli o Victorii nie dawały mu spokoju. Tęsknił za nią aż do bólu.

Musiał jednak zasnąć, a nad ranem obudził się, czując, że coś trąca go w nogę. Kiedy uniósł powieki, spojrzął prosto w śmiertcioną lufę winchestera. Nawet nie próbował sięgnąć po broń.

- Zapomnij o swoim colcie - ostrzegł Sam Brody.

- Widzę, że obrałem właściwy kierunek. Wiedziałem, że Amy kłamie.

- Amy? Powiedziała, że pojechałem gdzie indziej?

- w głosie Brody'ego zabrzmiał dziwny ton.

- Tak. Ale nie ma wprawy. Od razu się domyśliłem, że cię kryje. Masz zamiar mnie zabić?

- Nie, chyba że będę musiał. Chcę cię prosić o pomoc.

- Co takiego?

- Siadaj - Brody na moment odsunął lufę, pozwalając Slaterowi oprzeć się o skałę. Sam usiadł przed nim ze skrzyżowanymi nogami, czujny na każdy ruch.

- Dobra, Brody, gadaj.

- Dorette wie, dokąd pojechałem, i wysłała telegram. Czekał na mnie po drodze wczoraj po południu.

- Zawiadomiła, że cię śledzę?

- O tym też wspomniała. Ale jest coś ważniejszego. Cam McBride ma Amy.

- Rany boskie! - Slater zerwał się na równe nogi.

Brody skoczył jeszcze gwałtowniej.

- Co robisz, do jasnej cholery?! Człowieku, o mało cię nie zastrzeliłem!

Zwiadowca niecierpliwie machnął ręką.

- Daj spokój z tą pukawką. Czy ma też Victorie?

- Kogo? Aha, tę kuzynkę. Nie mam pojęcia. Mówił Dorette tylko o Amy.

Slater porwał pas z bronią i zapiął go drżącymi rękami. Serce waliło mu dziko, a wyobraźnia podsuwała najgorsze sceny.

- Zabiję tego bydlaka - wycedził, zaciskając pięści.

Sam chwycił go za ramiona i potrząsnął bezceremonialnie.

- Uspokój się, Slater, i zacznij wreszcie myśleć. Co się z tobą dzieje?

Slater odwrócił się i Brody ujrzał w jego oczach ten sam zimny błysk, jaki pojawił się w jego własnych, kiedy dowiedział się, że McBride porwał Amy.

- On ma Victorie. Była tam i na pewno nie opuściła Amy ani na krok. Chyba że... że ją zabił - dokończył z trudem.

- Rozumiem - uśmiech Brody'ego przeraziłby McBride'a. - I widzę, że nie muszę już prosić cię o pomoc.

- Ty też chcesz jechać? - zdumiał się Slater.

- Jasne. Jemu chodzi przede wszystkim o mnie. Dlatego porwał Amy i kazał Dorette zawiadomić mnie o tym. Jeśli się nie pojawię, ona zginie.

- Najpierw strzeli do ciebie, kiedy tylko cię zobaczy. A potem będzie musiał uciszyć dziewczyny, jako niewygodnych świadków.

- Zgadza się. To w jego stylu. Dlatego zwróciłem się do ciebie. Jeśli McBride mnie zabije, chcę, żebyś obronił Amy.

- Dobra, szkoda czasu na gadanie. Jedźmy!

Słońce chyliło się już ku zachodowi, płonąc na horyzoncie purpurą i złotem. Niezmordowanie gnali na przód i byli już niedaleko od celu. Telegram mówił o starej farmie Cofielda, położonej na południe od San Antonio.

Slater zerknął na swego towarzysza. Brody miał za sobą jeszcze dłuższą jazdę i jeszcze mniej snu, ale nie widać było po nim zmęczenia. Był twardy, ale to nie dziwiło Slatera. Zdumiewało go natomiast, iż wrócił z własnej woli, narażając się na pewną śmierć. Nigdy nie brakowało mu odwagi, ale tym razem zrobił coś więcej - gotów był poświęcić dla kogoś życie. Slater widział w jego oczach tę samą mieszaninę zimnej nienawiści, determinacji i lęku o kobietę, które sam odczuwał.

Mógł tylko podziwiać tego człowieka.

- Dlaczego narażasz się, żeby ją ratować? - zapytał niespodziewanie.

Brody drgnął, zaskoczony. Przez całą drogę mało rozmawiali, wymieniając tylko niezbędne uwagi.

- To cholernie zabawne pytanie - burknął w końcu.

- W takim razie rozbaw mnie odpowiedzią.

- Bo ją kocham, Slater - odpowiedział w końcu Sam, uciekając spojrzeniem w bok.

- Tak się domyślałem. Ale zostawiłeś ją w San Antonio, i to mnie zmyliło.

- Myślisz, że uszczęśliwiłbym ją, skazując na życie w ciągłej ucieczce? - zaśmiał się gorzko. - Nie chciałem narażać jej na spotkanie z takimi typami jak McBride. Nie chciałem, żeby patrzyła, jak zabijam ludzi albo jak sam umieram.

- W Meksyku mógłbyś zacząć od nowa.

- Dla morderców nie istnieją granice i dobrze o tym

wiesz. Dopóki żyję, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie mnie ścigał, skuszony nagrodą za moją głowę.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Cel był coraz bliżej.

- Jest jeszcze jeden sposób, by powstrzymać McBride'a i ocalić twoją głowę - powiedział wreszcie Slater.

Brody rzucił mu ponure spojrzenie.

- Co, chcesz mnie wsadzić do pudła?

- To lepsze niż śmierć.

- Mówisz tak, bo nigdy tam nie byłeś.

- Chcesz, żeby Amy musiała żyć ze świadomością, że zginąłeś dla niej?

- Jasne, że nie. Wolałbym wyjść z tego żywy, tylko nie wiem jak.

- Właśnie o tym myślę i chyba mam pewien plan.

- Dziwny z ciebie facet, Slater. Ścigałeś mnie przez dwa lata jak pies gończy i teraz powinno być ci obojętne, czy odstawisz mnie żywego czy umarłego.

- Może zabiłem już zbyt wielu ludzi. Nie interesuje cię mój pomysł, Brody?

- Czemu nie, mogę posłuchać - Sam wzruszył ramionami.

Victoria bezskutecznie usiłowała wyswobodzić się z więzów. Ręce miała wygięte do tyłu, skrupowane w przegubach i przywiązane do krzesła. Po raz pierwszy w życiu czuła się tak bezsilna. Kiedy McBride trzymał rewolwer za plecami Amy, musiała posłusznie wyjść z hotelu, osiodłać konia i pojechać za nimi. Zbir wiozł Amy przed sobą na siodle. Kiedy dojechali do zrujnowanego domu, związał je obie.

Z początku nie docenił Victorii i skrępował jej ręce z przodu, tak jak Amy, ale kiedy prawie udało się jej pochwycić rewolwer, przywiązał ją do krzesła. Spędzała już drugi dzień w tej pozycji. Odwiązywał ją tylko w czasie jedzenia albo kiedy wychodziła za potrzebą. Wtedy jednak trzymał lufę tuż przy głowie Amy.

Amy zaś była roztrzęsiona i przerażona. Płakała przez całą drogę, a w domu godzinami martwo patrzyła w podłogę. McBride, uznawszy, że z jej strony nic mu nie grozi, przestał ją wiązać i pozwalał przygotowywać posiłki. Pomimo to starał się nie spuszczać z niej oka.

Victoria dostrzegła spojrzenie mężczyzny. Obserwował ją z poządlwym, obleśnym uśmieszkiem. Zastanawiała się, kiedy dojdzie do wniosku, że może ją bezkarne zgwałcić. Brody nie pojawiał się, a irytacja i zniecierpliwienie McBride'a rosły.

Postarała się o najbardziej wyniosłą i lekceważącą minę, na jaką ją było stać, by pokazać mu, że się nie boi. Jednocześnie kątem oka obserwowała Amy, kręcącą się po kuchni i przygotowującą kolację. Było coś intrygującego w zachowaniu siostry. Jej spojrzenie stało się czujne, a ruchy coraz bardziej celowe. Co chwila zerkając na McBride'a, Amy krążyła po kuchni. Ostrożnie otwierała szafki i szuflady, jakby czegoś szukała. Nagle Victoria zrozumiała: siostra, korzystając ze swojej względnej swobody, usiłowała znaleźć nóż albo jakąś inną broń. Ta przerażona, ciągle popłakująca dziewczyna wykazała zdumiewający spryt i opanowanie! Victoria postanowiła za wszelką cenę odwrócić uwagę przesładowcy.

- Nadal się łudzisz, że Brody się tu zjawi? - zagad-

nęła pogardliwym tonem. - Z jakiej racji miałby ryzykować życie, żeby nas ocalić?

- Bo twoja kuzyneczka zawróciła mu w głowie - twarz McBride'a wykrzywił złośliwy uśmiech. - Sam słyszałem, jak ze sobą gruchali.

- Co za romantyczne bzdury! Faceci tacy jak Brody nie będą się poświęcać dla kobiety.

Amy z przykrością słuchała tego, co mówi siostra. Ona sama wiedziała najlepiej, że Sam się pojawi. Widziała miłość w jego oczach. Była pewna, że nie pozwoli, żeby ten straszny człowiek ją skrzywdził. Ale rozumiała też, że musi pomóc losowi i koniecznie coś zrobić.

Niestety, ludzie, którzy tu mieszkali, najwyraźniej nie używali noży. Drżąc ze strachu, na próżno przeszukiwała kolejne szuflady. Jedyнным przedmiotem, który od biedy nadawałby się do obrony, był ciężki żeliwny rondel o długiej ręczce, którego używała do podgrzewania mięsa. Zastanawiała się gorączkowo, jak ma podejść McBride'a. Jeśli zdołałaby podkraść się do niego i ogłuszyć go ciosem w głowę, byłyby wolne. Jednak paraliżowała ją obawa, że mężczyzna mógłby ją usłyszeć i złapać. Gdyby tak mogła zapytać Victorie o radę!

- McBride! - usłyszeli nagle donośny męski głos.

Cam i Victoria drgnęli, kompletnie zaskoczeni. Amy skamieniała. Sam! Boże, Sam jest tutaj! W jednej chwili odzyskała zdolność myślenia. Błyskawicznie chwyciła rondel za rączkę, schowała go za siebie i skradając się, ruszyła w stronę pokoju.

McBride porwał się z miejsca i z odbezpieczoną bronią przedostał się do okna. W blasku księżyca do-

strzegł sylwetkę mężczyzny, stojącego poza zasięgiem strzału. Czekał, czując, że pocał mu się ręce.

- To ja, Brody. Wypuść Amy.

- Najpierw muszę mieć ciebie. Rzuć broń i chodź tu.

- Nie ruszę się, dopóki nie zobaczę, że wszystko jest w porządku. Pokaż mi dziewczynę!

McBride zarechotał kpiąco.

- Nie zobaczysz jej, Brody. Ja tu dyktuję warunki.

- W takim razie pozwól jej wyjść.

- Masz mnie za idiotę? Właż albo zaraz usłyszysz strzał. Wtedy będziesz wiedział, co z nią.

Zapadła martwa cisza. W tym dramatycznym momencie nikt z obecnych w pokoju nie zauważył mężczyzny, który wślizgnął się przez kuchenne okno.

- Rzuć to, McBride - oschły głos Slatera rozległ się jak trzask bicia.

- Slater! - Victoria szarpnęła się w krzesło.

McBride natychmiast wzięła ją na muszkę.

- Nie - warknął. - Ty rzuć broń, Slater, jeśli nie chcesz zobaczyć, jak rozwalę główkę tej ślicznotce.

Zwiadowca z przekleństwem odrzucił colta. W tej samej chwili Amy z całej siły rąbnęła McBride'a ciężkim rondlem w ramię. Broń wypadła mu z ręki, a kula utkwiała w suficie. Slater jednym skokiem był przy nim. Potoczyli się na podłogę, walcząc zjadle.

- Rewolwer Slatera! - wrzasnęła Victoria. - Weź go, Amy!

Dziewczyna błyskawicznie chwyciła broń, ale walczący byli zbyt blisko, by mogła strzelić. Wstali chwiejnie na nogi i Slater ulokował potężny cios na szczęce przeciwnika. McBride z łomotem runął na stół, prze-

wracając go. Lampa spadła na podłogę i na deskach rozlała się płonąca kałuża nafty. Amy i Victoria zaczęły krzyczeć. McBride rzucił się na Slatera, dziko młóćąc pięściami.

Huknęły drzwi, otwarte mocnym kopnięciem, i do izby wpadł Brody z rewolwerem w ręku. I on nie mógł jednak wycelować w walczących, miotających się po podłodze mężczyzn. Wreszcie pochwycił broń za lufę i rąbnął McBride'a w głowę. Ten puścił Slatera i padł bezwładnie.

- Sam! - Amy rzuciła się ku niemu. Porwał ją w ramiona i przytulił mocno.

- Amy, o Boże, Amy - szeptał.

- Sam, nie opuszczaj mnie już nigdy! - błagała.

- Obiecuję, kochana, że nigdy cię nie zostawię - zapewnił żarliwie. Teraz już wiedział, że tego nie zrobi.

Slater wyciągnął nóż i zaczął rozcinać więzy Victorii. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie. Płomienie z trzaskiem lizały ściany.

- Uciekajmy stąd! - Brody chwycił Amy za rękę i wyprowadził z domu. W drzwiach obejrzał się za siebie. Slater uwalniał dziewczynę. Mieli ostatnią szansę ucieczki.

- Gdzie są konie?

- Tam - Amy wskazała na kępę drzew.

Nigdy jeszcze nie siodłał konia w takim tempie. Wskoczył na jego grzbiet, pociągając Amy za sobą. Własnego wierzchowca zostawił dalej, ukrytego za skałami. Nim ruszyli, jeszcze raz rzucił spojrzenie na płonący budynek. Victoria stała przed wejściem, rozpaczliwie załamując ręce i wpatrując się w płomienie. Gdzie podział się Slater? Brody już miał popędzić konia, kie-

dy dach załamał się trzaskiem. Snop iskier wystrzelił w niebo.

- Slater! - krzyknęła rozpaczliwie Victoria i rzuciła się do wejścia.

Sam już się nie wahał. Błyskawicznie zawrócił konia i jednym skokiem znalazł się przy niej.

- Stój! - krzyknął, chwytając ją w ostatniej chwili.
- Chcesz zginać?

- Puść mnie! - szarpała się dziko. - On tam został! Powiedział, że musi wyciągnąć McBride'a, i wtedy zapadł się dach. - Muszę go ratować!

- Szlachetny idiota! - zaklął Brody. W rozterce popatrzył na morze płomieni, a potem na Amy. Ostatnia szansa ucieczki przepadła. Zaciśnął szczęki i rzucił wodze Victorii. - Zostań tu - nakazał i naciągnąwszy kurtkę na głowę, skoczył w drzwi.

Fala gorąca omal nie zbiła go z nóg. Gryzący dym wypełnił płuca.

- Slater? - zawołał, przemykając skulony ku miejscu, gdzie upadł McBride.

- Brody?

Omali się nie roześmiał, słysząc zdumienie w głosie Slatera. Szybko skoczył w tę stronę, po omacku szukając ciała, i potknął się o buty. Zwiadowca tkwił w potrzasku. Nogi przygniatała mu belka ze zwałonego dachu. Na szczęście, padając oparła się jednym końcem o przewrócony stół, który przyjął na siebie miazdzący ciężar.

- Możesz poruszyć stopami?

- Tak. Nogi są całe - odparł Slater, krztusząc się dymem. - Ale nie mam jak tego odsunąć.

Brody wcisnął się pod uniesiony koniec belki i kucnął, zapierając się o nią plecami.

- Kiedy tylko to podniosę, wrywaj stamtąd - sapnął, naprężając wszystkie mięśnie. Zamknął oczy i prostował się powoli. Żył nabrzmiały mu na skroni. Dusił się, wstrzymując oddech, by nie wciągać gryzącego dymu. Nagle poczuł szarpnięcie za ramię. Slater stał nad nim.

- Chodź! - zawołał, wyszarpując go spod belki.

Zataczając się i kaszląc, wybiegli przed dom i padli na trawę, zachłannie wciągając chłodne powietrze. Dziewczyny rzuciły się ku nim.

Łzy i pocałunki Amy ocuciły Brody'ego. Rozejrzał się czujnie. Slater leżał z głową na kolanach Victorii. Miał przymknięte oczy, ale Brody wiedział, że gdyby tylko spróbował pobiec z Amy do koni, w ręku zwiadowcy pojawiłby się piekielny colt. Zresztą, nie miał siły biec.

Slater otworzył oczy i spojrzął na niego. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Jeśli Amy Wallace zdecyduje się opuścić terytorium naszego stanu wraz z Camem McBride, ma do tego pełne prawo - oznajmił wreszcie oficjalnym tonem.

- Co? - Victoria popatrzyła na niego, jakby był niespełna rozumu. - Co ty bredzisz? Przecież McBride został tam - obejrzała się na dogasające zgliszczka.

- Nie. Tam zginął Sam Brody. Tropiciel McBride zastrzelił go, broniąc Amy. A ona zapałała miłością do swego wybawiciela i razem opuścili Teksas, by zacząć nowe życie w innych stronach - mówił Slater, nie spuszczać oczu z Brody'ego.

Sam poczuł, jak coś ściska go w piersi. Amy zamrugała, zaskoczona, a potem zachichotała radośnie.

- Och, Sam, jak się cieszę! Dziękuję, panie Slater.

Brody skinął krótko zwiadowcy i odwrócił się ku niej.

- Gotowa?

Z uśmiechem ujęła go za rękę.

Victoria powoli wysunęła się z objęć Slatera.

- Amy? Jedziesz z nim?

- Tak. O, tak! - odparła rozpromieniona.

Victoria popatrzyła na Brody'ego. Ciągle nie rozumiała, co siostra mogła zobaczyć w tym człowieku. Jednak najwyraźniej była z nim szczęśliwa. Podeszła do Amy i objęła ją czule.

- Będzie mi ciebie brakowało - wyszeptała przez łzy.

- Mnie też, Tory. - Dziewczyna ucałowała ją serdecznie. - Może kiedyś cię odwiedzimy. Z dziećmi - dodała.

- Mam nadzieję - miała ściśnięte gardło.

Brody podprowadził konie. Amy odjeżdżając, odwróciła się. Ostatni raz pomachały sobie na pożegnanie.

- Odjechała - załkała Victoria. Slater opiekuńczo otoczył ją ramieniem.

- Chciała tego.

- Wiem.

- Na nas też czas. Gdzie jest twój koń?

- Wzięła go Amy. Przedtem McBride wiozł ją przed sobą, żeby trzymać mnie w szachu.

Oczy mężczyzny pociemniały, a twarda linia jego ust złagodniała nagle.

- W takim razie musimy jechać razem - stwierdził dziwnym tonem.

Przytaknęła w milczeniu, czując, jak fala gorąca

ogarnia jej ciało. Puścili wolno konia McBride'a, ukrywając siodło w ruinach domu. Skoro mieli wrócić do miasta i poświadczyć, że wyjechał do innego stanu, nie mogli wzbudzać podejrzeń.

Wierzchowiec Slatera stapał powoli, dźwigając podwójny ciężar. Victoria siedziała bokiem w siodle, oparta o uda mężczyzny i przytulona do jego piersi.

- Cieszę się, że mamy tylko jednego konia - mruknął, wtulając twarz w jej włosy.

- Ja też - szepnęła, rozkoszując się cudownym poczuciem ciepła i bezpieczeństwa w jego ramionach. Poruszyła się, sadowiąc wygodniej, i z satysfakcją wyczuła twarde dowód jego požądania. Zmysłowy, uwodzicielski uśmiezek pojawił się na jej wargach.

- Ty czarownico... - szepnął Slater chrapliwie.
- Chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa?

- Do zupełnego szaleństwa - potwierdziła, muskając wargami jego szyję.

Ujął wodze jedną ręką i zachłannie chwycił drugą dłonią jej pierś.

- Myślałam, że już mnie nie pragniesz - mruknęła, rozpinając mu koszulę. - Wtedy, kiedy odszedłeś tak bez słowa, nie...

- Jak mógłbym cię nie chcieć! - zaprzeczył żarliwie, owiewając jej ucho gorącym oddechem. - Jak w ogóle mogłaś tak myśleć? Nie przestałem cię pragnąć ani na chwilę. I ani na chwilę nie przestałem myśleć o tobie.

- Dlaczego w takim razie nic nie powiedziałaś? Dlaczego nie prosiłaś, żebym na ciebie czekała?

- A czy mogłem? Nie wiedziałem, kiedy wrócę i czy w ogóle wrócę. Mogłem zginąć z ręki Brody'ego. - Urwał na chwilę i poważnie spojrzał jej w oczy. - Poza

tym, nie miałem ci czego dać. I nadal nie mam, Victorio.

- Masz siebie. Tylko tego chcę. - Powolnym ruchem rozchyliła poły jego koszuli i przesunęła dłońmi po odsłoniętej piersi. Zadrżał, czując dotknięcie ust na swojej skórze, ale wplótł palce w czarne włosy i odchylił jej głowę do tyłu.

- Nie, Tory, poczekaj. Najpierw muszę ci coś powiedzieć.

Popatrzyła na niego błyszczącymi oczami. Widok jej rozjaśnionej pragnieniem i uczuciem twarzy sprawił, że przemowa, którą sobie starannie układał, zupełnie uciekła mu z myśli.

- Och, Victorio... Boże, jak ja cię kocham - zdołał tylko wyszeptać.

- To dobrze, bo ja też cię kocham. I tym razem nie pozwolę ci uciec.

- Już nie chcę uciekać. To właśnie chciałem ci powiedzieć. Chcę być z tobą. Czy... czy myślałaś o małżeństwie? Wiem, że niewiele mogę ci ofiarować. Mógłbym zrezygnować z pracy dla wojska. Już nie chcę być zwiadowcą. Mam dosyć takiego życia, ścigania łotrów, zabijania i samotności. Mógłbym znów przejąć swoje ranczo. Może udałoby się tam stworzyć nasz dom. Ale tylko kosztem ciężkich wyrzeczeń, do których nie przywykłaś. Dlatego...

Położyła mu palce na ustach.

- Ciicho, nic nie mów. Nie zależy mi na wygodzie i pieniądzech. Już ci mówiłam, że chcę tylko ciebie. Kocham cię, Slater, i chcę spędzić z tobą życie. I wyjdę za ciebie, nawet jeśli nic nie będziesz miał - swoje słowa przypieczętowała pocałunkiem.

Całowali się długo i zachłannie. Kiedy odsunęli się wreszcie od siebie, by nabrać tchu, Slater szybkim ruchem omotał wodze wokół kulbaki i zaczął rozpinać jej spódnicę.

- Hej, co robisz? - zawołała, zaskoczona.

Uśmiechnął się chytrze i podciągnął ją do góry, zmuszając, by usiadła okrakiem, odwrócona do niego twarzą.

- Jest coś, kochana, o czym marzę od dawna. Najwyższy czas, bym nauczył cię, jak się jeździ razem na koniu.

Bez namysłu zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Postaram się być pojętną uczennicą - obiecała solennie.

Slater, patrząc Victorii w oczy, powoli, bardzo powoli zbliżał usta do jej ust. Już nie musieli się spieszyć. Czas i świat istniały tylko dla nich.

